



# *Niebezpieczna gra*

Tytuł oryginalny:  
*Revenge of the heart*

## Od Autorki

Wstąpienie na tron cara Aleksandra III zapoczątkowało okres masowych prześladowań narodu żydowskiego zamieszkującego tereny Rosji. Nigdy przedtem nie podejmowano akcji przeciwko Żydom na taką skalę. Car zarządził, że jedna trzecia przedstawicieli tego narodu ma ulec zagładzie, jedna trzecia – całkowitej asymilacji, a pozostałych należy zmusić do opuszczenia granic Rosji.

Na oczach całej cywilizowanej Europy podjęto realizację tego zbrodniczego planu. Tysiące Żydów zamordowano, a ich mienie uległo konfiskacie. Około 225 tysięcy rodzin żydowskich opuściło Rosję udając się do państw Europy Zachodniej.

W 1892 roku odbyła się wielka akcja wysiedlania Żydów. Kierował nią brat cara, Wielki Książę Sergiusz, osobnik znany ze swego okrucieństwa. Oddziały kozackie otaczały w nocy dzielnice zamieszkałe przez rzemieślników i drobnych kupców żydowskich, a policja carska przeszukiwała dom po domu, wyganiając nieszczęsnych mieszkańców na ulicę, tak jak stali. Na mocy dekretu uznano ich za wrogów Rosji i jako takich wypędzano poza granice państwa.

Latem 1894 roku car Aleksander III zachorował ciężko na puchlinę wodną. Lekarze stwierdzili, że powodem choroby było uszkodzenie nerek w wyniku katastrofy kolejowej. Car żył po wypadku jeszcze kilka miesięcy w strasznych męczarniach. Umarł 11 listopada 1894 roku.

Jego syn, Mikołaj II, panował aż do roku 1917. W rok później został wraz z całą rodziną zamordowany przez bolszewików.

# Rozdział 1

1894

Warren Wood podszedł do kontuaru recepcji hotelu „Meurice” i wymienił swoje nazwisko.

Niespełna rok temu opuścił Europę, udając się w podróż. Recepcjonista nie rozpoznał go i zakłopotany posłał po dyrektora hotelu.

– Jak to wspaniale, że pan już wrócił, monsieur Wood! – wykrzyknął tamten na widok gościa. – Mam nadzieję, że wycieczka była udana.

W istocie trudno byłoby nazwać „wycieczką” wyprawę, którą odbył Warren po terenach Północnej Afryki. Gdyby miał ochotę opowiadać o niej, opisałby przede wszystkim dni i noce spędzane w niezwykle prymitywnych warunkach. Chwile, w których groziło mu niebezpieczeństwo, były znacznie liczniejsze niż te, kiedy mógł pozwolić sobie na zachwyty otaczającą go przyrodą.

Warren nie miał jednak ochoty na wspomnienia. Szczęśliwy, że znalazł się znowu w Paryżu, zapytał jak najspieszniej o wolne pokoje i o bagaż pozostawiony rok temu w depozycie. Z typowo francuską galanterią zapewniono go, że wszystkie jego życzenia zostaną natychmiast spełnione.

– Jest tu dla pana kilka listów, monsieur – powiedział dyrektor hotelu, gdy Warren kierował się już w stronę swojego pokoju. – Czy życzy pan sobie przejrzeć je teraz, czy mam przysłać później?

– Wezmę je ze sobą na górę.

Dyrektor udał się szybkim krokiem do gabinetu i po chwili powrócił trzymając przewiazaną sznurkiem sporą paczuszkę.

Z plikiem korespondencji w ręku młody Anglik podążył za boyem hotelowym, który niosąc jego niewielki bagaż wskazywał drogę do wolnego pokoju.

Nie był to ten sam pokój, w którym mieszkał Warren przed wyruszeniem na afrykańską wyprawę. Bardzo podobny do tamtego oraz położony także na trzecim piętrze, miał tę zaletę, że z jego okien roztaczał się malowniczy widok na położone wśród drzew dachy paryskich domów. Podczas gdy boy wnosił do środka jego torby podróżne, Warren podszedł

do okna. Patrząc na rozległą perspektywę tętniącego życiem miasta pomyślał, że mało jest na świecie miejsc tak pięknych i zniewalających swym urokiem jak Paryż w pełnym blasku słońca. Już w drodze z dworca do hotelu uświadomił sobie, że tęsknił do widoku tych domów z oknami o szarych żaluzjach i że rozpoznałby je zawsze i wszędzie.

W oddali widniał zarys mierzącej około tysiąca stóp wieży Eiffla, której stalowa konstrukcja, wzniesiona pięć lat temu z okazji Wystawy Światowej, wtopiła się już na dobre w krajobraz miasta. Budowla ta była dla Warrena zawsze symbolem francuskiej fantazji, żywotności i poczucia humoru.

W obecnej chwili patrzył jednak z roztargnieniem na drogi mu krajobraz. Znajomy widok sprawił, że w sercu Warrena zagościły ponownie żal i rozpacz – uczucia, o których tak bardzo chciał zapomnieć. I jak gdyby nagle w oddali zamajaczyły zarysy Tower, powróciła do niego fala bolesnych wspomnień.

Odwróciwszy się gwałtownie od okna, młody Anglik wręczył napiwek czekającemu cierpliwie boyowi i opadł na fotel sięgając po paczkę z listami. Zaskoczony jej okazałymi rozmiarami zastanawiał się usilnie, kto oprócz matki miałby ochotę zwracać sobie głowę pisaniem do niego listów w czasie, kiedy przebywał w Afryce.

Przeciąwszy sznurek odwinął papier. Spojrzał na jasnoniebieską kopertę leżącą na wierzchu pakietu i drgnął zaskoczony. Przez kilka chwil patrzył na list z takim wyrazem twarzy, jak gdyby nie wierzył własnym oczom.

Nie, nie mogło być mowy o pomyłce. Ten tak bardzo znajomy charakter pisma i delikatny zapach kwiatu magnolii... świadczyły aż nadto wyraźnie o tym, kim była nadawczyni. Warren wpatrywał się w kopertę jak zahipnotyzowany. Z jednej strony pragnął jak najszybciej zapoznać się z jej zawartością, z drugiej odczuwał lęk. Dlaczego, pytał sam siebie, dlaczego Magnolia zapragnęła napisać do niego tutaj, do Paryża? Musiała zatem otrzymać adres od jego matki – jedynej osoby, która wiedziała, gdzie zatrzyma się w drodze powrotnej do domu.

Warren pomyślał, że spośród wszystkich ludzi na świecie właśnie Magnolia była tą osobą, od której nie życzył sobie żadnych wiadomości...

Zacisnął stanowczo usta i ze zmarszczonymi brwiami powoli rozciął kopertę.

Warren Wood uważany był zawsze za bardzo przystojnego młodego człowieka. Rok spędzony wśród niewygód i niebezpieczeństw sprawił jednak, że zniknął gdzieś beztroski urok wymuskanego dandysa, twarz nabrała ostrych, męskich rysów, a każdy ruch ciała świadczył o sile i wytrzymałości mięśni. Wspólna wyprawa z Edwardem Duncanem okazała się wspaniałą szkołą życia. W czasie trwającej niemal rok eskapady Warren uświadomił sobie, że życie nie składa się jedynie z przyjemności i rozrywek. Przeżyte doświadczenia sprawiły, że beztroska przeszłość młodego arystokraty oddaliła się bezpowrotnie.

Bywały takie chwile podczas wyprawy, kiedy myślał, że nie zniesie tego wszystkiego ani minuty dłużej. Oprócz żywiołów wrogiej i nie znanej mu afrykańskiej przyrody najbardziej dały mu się we znaki wprost niewiarygodnie niesmaczne jedzenie i konieczność dosiadania wielbłądów. Warren nienawidził całym sercem tych leniwych, złośliwych i trudnych do opanowania zwierząt. Długotrwała jazda na grzbiecie takiej okropnie cuchnącej bestii powodowała u młodego podróżnika dolegliwości bardzo zbliżone do choroby morskiej... Po kilku miesiącach bolesnych doświadczeń nauczył się panować nad tymi „żaglowcami pustyni”. Nigdy jednak nie był w stanie ich polubić, jakkolwiek uwielbiał konie i nie wyobrażał sobie życia bez psów. Czasami myślał, że wielbłądy dziwnie przypominają mu niektórych jego kompanów z czasów beztroskiej młodości. Myśl ta tak długo nie dawała mu spokoju, aż zwierzył się z niej swemu współtowarzyszowi podróży.

- Doprawdy mam wrażenie, że powinienem trzymać się z daleka zarówno od jednych, jak i od drugich - powiedział.

Słyszac to Edward roześmiał się, a w śmiechu jego brzmiała nutka gorzkiej ironii. Kiedy w dzień poprzedzający przyjazd Warrena do Paryża rozstawali się w Marsylii, Duncan powiedział:

- Do zobaczenia, Warrenie! Chyba nie muszę ci mówić, jak bardzo cieszę się, że razem odbyliśmy tę wyprawę, i jak wspaniałym jesteś towarzyszem podróży.

Słowa przyjaciela brzmiały tak szczerze, że Warren poczuł się niemal zakłopotany. Pamiętał bowiem dokładnie, co było bezpośrednią przyczyną jego decyzji o wzięciu udziału w wyprawie. Nigdy nie przypuszczał, że ten pozornie pochopny i desperacki krok zaowocuje taką przemianą w nim samym, zahartuje go psychicznie i fizycznie.

Jadąc z Marsylii do Paryża był przekonany, że wszystko co najgorsze ma poza sobą. I pierwszą rzeczą, na którą natknął się w hotelu „Meurice”, był list od Magnolii...

To ona przyczyniła się do jego wyprawy do Afryki. Wyjechał, aby zapomnieć.

Tamtego pamiętnego dnia Warren siedział przy swoim stoliku w St. James's Club, a jedyne jego towarzystwo stanowiła kolejna, pełna brandy szklanka.

- Hello, Warrenie! - powiedział Edward siadając na sąsiednim krześle. - Dawno cię nie widziałem. Spędzałem ostatnio trochę czasu na wsi i...

- Hello - odpowiedział Warren takim tonem, że Edward przerwał i przyjrzał mu się uważnie.

- Co się stało? - zapytał. - Nie widziałem u ciebie takiej miny od czasu, gdy przegrałeś zawody w skoku w dal w Eton!

Warren milczał wpatrując się w szklankę. Edward zrozumiał, że nie pora teraz na żarty.

- Cóż takiego ci doskwiera? - spytał już zupełnie innym tonem. - Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Możesz - odpowiedział powoli Warren. - Powiedz mi, jak mam strzelić sobie w łeb, żeby skończyć z tym jak najprędzej.

Przyjaciel spoglądał na niego zaskoczony.

- Czy mówisz poważnie?

- Jak najbardziej! Jeśli nie odważyłem się na to do tej pory, to tylko ze względu na moją matkę. Jedynie jej mogę ufać na całym tym podłym, parszywym świecie, gdzie wszyscy ciągle kłamią, kłamią i kłamią!

Ostatnie słowa Warren wykrzyknął tak gwałtownie, że Edward rozejrzał się wokół z niepokojem. W sali klubowej nikt nigdy nie podnosił głosu i zachowanie Warrena mogło wywołać niepotrzebną sensację. Na

szczęście w pomieszczeniu znajdowało się tylko dwóch starszych członków klubu. Wtuleni w obszerne skórzane fotele w odległym kącie sali, pogrążeni byli w poobiedniej drzemce.

– Nigdy nie poddawałeś się takim nastrojom – zauważył Edward. – Co się stało?

Warren wybuchnął histerycznym, pełnym gorczy śmiechem. Edward, który znał go jeszcze od czasów szkolnych, stwierdził, że przyjaciel jest pijany. Nigdy nie widział Warrena w takim stanie. Zrozumiał jednak, że należy pozwolić mu się wygadać.

– Opowiedz mi, co się stało – poprosił cicho.

Warren odetchnął głęboko, jak gdyby myślał, że może podzielić się z kimś swoim bólem, sprawiła mu ulgę.

– To nie jest żadna niezwykła historia – powiedział. – Po prostu przekonałem się, że na tym paskudnym świecie liczy się tylko to, co posiadasz, a nie ty sam!

– Nie mówisz chyba o Magnolii? – spytał Edward unosząc brwi.

– A o kim innym mógłbym mówić? – wybuchnął Warren i ściszywszy głos dodał: – Kiedy zabierałem ją ze sobą do Buckwood, nawet przez myśl mi nie przeszło, że nie jest we mnie zakochana tak jak ja w niej!

Milczał przez chwilę, po czym zacisnął palce wokół szklanki tak, że zbieleły mu paznokcie.

– Ja ją kochałem, Edwardzie! – wyrzucił z siebie gwałtownie. – Kochałem całym sercem! Była kobietą, o jakiej zawsze marzyłem, i chciałem ją uczynić swoją żoną!

– Wiem o tym – odpowiedział Edward spokojnie. – Cóż zatem zaszło między wami?

Warren ponownie roześmiał się gorzko, po czym dodał:

– Pytasz, co się stało? Poznała Raymonda!

Edward spojrzał na niego zdumiony.

– Masz na myśli swego kuzyna? – zapytał. – Ależ, na litość boską, on dopiero od niedawna jest pełnoletni!

– Jakie to ma znaczenie; skoro jest hrabią? – wzruszył ramionami Warren i ciągnął dalej drwiącym tonem: – Sam więc widzisz, mój drogi Edwardzie, jakim głupcem byłem nie wiedząc, że jedynym prawdziwym

źródłem szczęścia kobiety są pieniądze i tytuły. I nie ma żadnego znaczenia, kim jest mężczyzna, który im to zapewni!

Edward potrząsnął głową i otworzył usta, ale Warren mówił dalej:

- Może mieć krzywe nogi, potwornego zęba i brodawki na nosie! Ale jeśli tylko można się spodziewać, że kiedyś odziedziczy tytuł markiza, wtedy chęć poślubienia go jest jedynym uczuciem, do którego zdolna jest każda kobieta. A ja myślałem, że one mają serce!

Ostatnie słowo wypowiedział z miażdżącą pogardą, po czym wychyliwszy jednym haustem zawartość szklanki podniósł dłoń, aby przywołać kelnera. Na szczęście żadnego z nich nie było w barze. Patrząc na przyjaciela z troską, Edward powiedział:

- Opowiedz mi całą historię, Warrenie, zanim zdołasz upić się do nieprzytomności. I wierz mi; to nie ciekawość mną kieruje, lecz współczucie.

- Dziękuję ci, stary przyjacielu - odpowiedział Warren wzdychając. - Ani przez chwilę nie wątpiłem w twoje szczerze intencje. Przysięgam ci jednak na Boga: już nigdy nie zaufam żadnej kobiecie!

- Ale chyba Magnolia nie zamierza poślubić Raymonda? - spytał Edward z niedowierzaniem kręcąc głową.

- Owszem, zamierza - odparł krótko Warren. - Teraz kiedy spoglądam w przeszłość, widzę jasno, że zagięła na niego parol od chwili, gdy razem ze mną przekroczyła progi Buckwood! A Raymond, złapany w sieć spojrzeń jej urzekających oczu, nie miał żadnych szans.

Edward powoli pokiwał głową. Istotnie, pomyślał, Magnolia Keane była nie tylko piękną kobietą. Sztukę uwodzenia mężczyzn opanowała znakomicie. Na osobę, która znalazła się w kręgu jej zainteresowania, potrafiła wywierać wpływ wprost hipnotyczny. Edward znał jednak wiele faktów z jej przeszłości - z czasów, zanim spotkała Warrena Wooda. Ujrzawszy ich po raz pierwszy razem, Duncan pomyślał, że byłoby wielką pomyłką ze strony przyjaciela, gdyby dał się usidlić tej dziewczynie.

Magnolia pochodziła z dobrej, choć zubożałej rodziny ziemiańskiej. Po osiągnięciu stosownego wieku przybyła do Londynu z twardym postanowieniem znalezienia sobie w stolicy bogatego i ze znakomitego rodu męża.



Nie miałyby z tym zresztą żadnych trudności, rozważał dalej Edward, chociażby dlatego, że była rzeczywiście piękną dziewczyną. Ojciec Magnolii, posiadając znaną w całym hrabstwie sforeę psów gończych, miał wielu przyjaciół wśród utytułowanych miłośników polowania na lisy. Pułkownik Keane nie był jednak zbyt bogatym człowiekiem. Wiele oszczędności i wyrzeczeń kosztowało go wynajęcie domu w Londynie, co było koniecznością, kiedy przyszedł czas towarzyskiego debiutu córki. Dom był skromny, a z powodu jego położenia z dala od modnych dzielnic oraz ograniczonych zasobów finansowych państwo Keane nie mogli wydawać przyjęć i balów u siebie. Jak można więc było przewidzieć, zaproszenia, które otrzymywali, napływały nie tak licznie, jak się tego spodziewała Magnolia. Prawdę mówiąc większość wspaniałych balów w sezonie ominęła państwa Keane, a ich debiutującej w eleganckim świecie córce nie udało się spotkać tylu potencjalnych kandydatów do ręki, ilu sobie wymarzyła.

Pod koniec pierwszego sezonu stało się faktem, że Magnolia nie otrzymała ani jednej propozycji małżeństwa, jakkolwiek wielu mężczyzn ubiegało się o jej względy. Niestety, większość z nich była już żonata. Magnolia stała się głównym tematem plotek rozpowszechnianych z upodobaniem przez stare, żądne sensacji majątne wdowy z towarzystwa. Niejedna pani domu skreśliła nazwisko Keane z listy zaproszonych na bal gości...

W następnym roku Magnolia ponownie przybyła do Londynu. Promieniejąc swą urzekającą urodą, otoczona tłumem stałych wielbicieli pojawiała się na balach myśliwskich i na wyścigach. Tym razem postanowiła, że obecny sezon musi zakończyć z pierścionkiem zaręczynowym na palcu.

U schyłku sezonu nadal nie była zaręczona. Asystował jej jednak stale pewien bardzo dystyngowany baronet, starszy od Magnolii o osiemnaście lat. Magnolia prowadziła z nim subtelną i wyrefinowaną grę, podobnie jak rybak igra ze swą zdobyczą, zanim ostatecznie zaciśnie wokół niej sieci. W ostatniej chwili rybka wymknęła się jednak z pułapki. Magnolia wprost nie mogła uwierzyć własnym uszom, gdy niedoszły narzeczony oświadczył jej, że w wyniku niefortunnych inwestycji stracił prawie cały

swój majątek. Oznajmił też, że w obecnej sytuacji nie widzi możliwości utrzymania swego domu oraz majątku i zamierza – jak wyznał szczerze – ożenić się dla pieniędzy.

Magnolia postanowiła zrobić dobrą minę do złej gry i nie dać poznać po sobie, jak bardzo rozczarowała ją ta porażka. W momencie, kiedy zorientowała się, że zdobycz wymknęła jej się z rąk, zaczęła rozpowiadać naokoło, że nie zamierza wychodzić za mąż za człowieka znacznie starszego od siebie, który w dodatku „ma nawyki starego kawalera”.

– Być może to głupio z mojej strony – mówiła – ale nie można przecież żyć samą miłością. Trzeba czasami pośmiać się razem, pożartować. Obawiam się jednak, że radość życia to pojęcie zupełnie obce temu biednemu Jamesowi.

Byli tacy, którzy domyślali się prawdy. Inni jednak dali się zwieść i mówili, że tak piękna dziewczyna jak Magnolia ma jeszcze wiele czasu na to, aby zrobić dobrą partię. I tylko ona wiedziała, jak nieubłaganie mijają dla niej miesiące i że jeśli pozwoli sobie na jeszcze jeden błąd, zostanie zupełnie „na lodzie”.

Magnolia była całkiem świadoma faktu, że mężczyźni jej czasów zwykli żenić się z dziewczętami młodymi i niewinnymi. Powszechnie uważano bowiem, że takie właśnie są idealnymi żonami. Jeśli któryś pragnął znaleźć w kobiecie coś więcej, miał zawsze do dyspozycji wiele pięknych, inteligentnych i błyskotliwych dam z wielkiego świata.

Tuż przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia Magnolia zaczęła powoli tracić nadzieję na korzystne zamażpójście. I wtedy spotkała Warrena Wooda.

Był dla niej ucieleśnieniem męskiego ideału: przystojny, starannie wykształcony, dobrze wychowany i mile widziany w eleganckim świecie... Jego ojciec, lord John Wood, był młodszym bratem markiza Artura Wooda, pana na Buckwood. Zorientowana świetnie w towarzyskich stosunkach wyższych sfer, Magnolia wiedziała doskonale, z jak starego i szanowanego rodu wywodzi się jej kolejny adorator. Pierwszy pan na Buckwood otrzymał swe włości od królowej Elżbiety I w nagrodę za męstwo na polu walki. To właśnie sir Walter Wood w czasie jednej z bitew

zatopił trzy hiszpańskie galeony, biorąc do niewoli ich załogi i oficerów, a odebrane jeńcom bezcenne perły złożył u stóp swej królowej.

Wkrótce po poznaniu Warrena Magnolia postanowiła, że to właśnie on będzie jej wybranym. Co prawda, udało jej się ustalić, że Warren nie jest zbyt bogaty. Pozycja towarzyska, którą osiągnęłaby będąc jego żoną zaspokajała w pełni jej wymagania. Bez wątpienia otworzyłyby się przed nią nareszcie drzwi co znamienitszych domów.

W wieku dwudziestu ośmiu lat Warren miał już za sobą doświadczenia miłosne z wieloma pięknymi kobietami. Nie był więc ani łatwowierny, ani na tyle naiwny, żeby stracić głowę dla byle pięknej buzi. Sam nie wiedząc jak i kiedy dał się jednak oczarować Magnolii bez reszty.

Oszołomiony swym zachwytem, mógł myśleć tylko o tym, jak pełne uroku są jej czarne, błyszczące oczy, jak niezwykle delikatna i biała skóra, wokół której unosiła się zawsze subtelna woń kwiatu magnolii. Znacznie później dowiedział się, że prawdziwe imię narzeczonej brzmiało „Mary”, a ona sama postanowiła zmienić je na bardziej romantyczne wtedy, gdy zaczęła być świadoma swego wdzięku.

Niewielu mężczyzn potrafiłoby się oprzeć tak pięknej i pociągającej kobiecie, jaką była Magnolia, gdy zdecydowała się oczarować któregoś z nich...

I wreszcie nadszedł dzień, w którym Warren zapytał pannę Keane, czy zechce zostać jego żoną. Tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że dwa miesiące wcześniej umarła matka Magnolii. Doprawdy, nie mogła tego zrobić w gorszej chwili! Z powodu żałoby nie mogło być mowy o oficjalnym ogłoszeniu zaręczyn przez następne cztery miesiące. Należało dodać do tego jeszcze trzy miesiące, które powinny były upłynąć między zaręczynami a ślubem. Nie chcąc zrażać do siebie swych przyszłych przyjaciół z wyższych sfer, Magnolia nie mogła postępować wbrew ustalonym zwyczajom.

Panna Keane przyjęła oświadczenia Warrena. Poprosiła go jednak, aby do czasu, gdy będą już mogli ogłosić światu tę wspaniałą nowinę, zachowali ją tylko dla siebie, w najgłębszej tajemnicy.

– Rozumiem cię, ukochana – powiedział szczęśliwy narzeczonny. – Oczywiście zrobię, co tylko zechcesz, z wyjątkiem jednej rzeczy: nie będę

czekał ani minuty dłużej, niż to jest konieczne. Kiedy tylko minie okres żałoby, połączymy się na zawsze.

- Kocham cię, najdroższy - zapewniła go Magnolia. - I jeśli tobie oczekiwanie wydaje się nieznośne, mnie będzie ono dłużyło się jeszcze bardziej.

Patrząc na nią Warren pomyślał, że nie ma chyba na świecie istoty bardziej godnej uwielbienia. Chwycił ją w ramiona i pocałował gorąco, a ona oddała mu pocałunek nieśmiało i zaraz potem zmieszana wysunęła się z jego objęć.

- Musimy być bardzo ostrożni, Warrenie - powiedziała biorąc go delikatnie za rękę. - Nie wolno nam zdradzić się z niczym. Będę natomiast szczęśliwa, mój jedyny, jeśli zechcesz przedstawić mnie swojej rodzinie.

Warren uśmiechnął się czule.

- Domyślam się, że chciałabyś już zobaczyć Buckwood - powiedział. - To najpiękniejsze miejsce na świecie. Od czasu, gdy cię poznałem, zacząłem żałować, że to nie ja będę jego przyszłym właścicielem! - Roześmiał się wesoło i dodał: - Nie umiem prawić gładkich komplementów! Chciałbym ci jednak powiedzieć, że w Buckwood będziesz wyglądała jak drogi klejnot we właściwej oprawie!

Opowiedział jej o tym, że był zawsze ulubieńcem stryja Artura. I jakkolwiek rodzice Warrena mieszkali w osobnym, niedaleko położonym majątku rodzinnym, on sam przywykł traktować Buckwood na równi ze swoim domem. Spędzał tam wiele czasu, jeżdżąc na koniach należących do stajni stryja i polując w okolicznych lasach.

- Stanowimy bardzo zżytą rodzinę - powiedział na koniec. - I jestem pewien, że stryj Artur pokocha cię tak, jak pokochałby cię mój ojciec.

Lord John zmarł bowiem blisko półtora roku temu. Warren wciąż nie mógł pogodzić się z tą stratą i instynktownie szukał oparcia w bracie ojca, który tylekroć dawał mu dowody przywiązania. Szczęśliwy narzeczony nie miał cienia wątpliwości, że stryj uzna Magnolię za najpiękniejszą i najbardziej czarującą kobietę na świecie i podobnie jak on ulegnie jej urokowi. Pragnąc jak najszybciej ujrzeć aprobatę 'w oczach lorda Artura, postanowił niezwłocznie udać się wraz z narzeczoną do Buckwood.

Przedtem jednak odwiedzili wspólnie lady Elizabeth Wood w jej majątku ziemskim. Wizyta ta rozczarowała nieco Warrena, gdyż uznał, że matka przyjęła Magnolię zbyt chłodno. Wytłumaczył sobie jednak, iż będąc jedynakiem nie mógł spodziewać się entuzjastycznego przyjęcia żadnej młodej kobiety podejrzanej o zamiar schwywania go w małżeńskie sidła. Z pewnością matka pragnęła jego szczęścia żywiąc jednocześnie przekonanie, że nie ma na świecie kobiety, która byłaby godna jej ukochanego syna.

Reakcja lorda Artura nie zawiodła natomiast oczekiwań Warrena. Magnolia nalegała, aby fakt ich zaręczyn zachować nadal w tajemnicy. Warren wspomniał więc jedynie stryjowi, iż „rozważa możliwość poślubienia tej dziewczyny”, i poprosił go o radę.

– To urocza istota, drogi chłopcze! – powiedział 13markiz. – Niezwykle urocza! Mam nadzieję, że nie będzie miała nic przeciwko życiu na wsi. Powinieneś porozmawiać z nią o tym zawczasu.

– Ależ ona całe swoje dzieciństwo spędziła na wsi! – odpowiedział Warren. – Jej ojciec ma znaną w całym kraju sforę psów gończych.

– Tak, tak, prawda. Mówiłeś mi już o tym – odpowiedział markiz i zamyślił się na chwilę. – Chyba go sobie przypominam. Miły jegomość. No cóż, spodziewam się, że córka takiego ojca będzie wiodła prym podczas naszych corocznych polowań na lisy!

– Na pewno tak będzie! – zgodził się Warren z zapalem.

Nie chciał pamiętać, że sprawa jazdy konnej Magnolii stanowiła jedyną skazę w jej doskonałym w jego oczach wizerunku. Warren zauważył bowiem, że narzeczona, znalazłszy się na grzbiecie konia, zdradza wyraźne objawy zdenerwowania, przez co traci sporo ze swego zwykłego uroku. Młodemu człowiekowi przez myśl nie przeszło, że dziewczyna boi się upadku i oszpececia. Jej zachowanie tłumaczył zbytnią nerwowością oraz onieśmieleniem.

Warren spodziewał się, że jak zwykle zastanie w Buckwood trochę gości. Istotnie, markiz zaprosił kilkoro swoich przyjaciół i przebywali oni już w majątku od pewnego czasu. Tego samego dnia, w którym przyjechał do Buckwood Warren wraz z Magnolią, pojawił się tam również syn lorda Artura, Raymond, razem z trzema kolegami z Oksfordu. Uwolniwszy się

od nudnych zajęć i wykładów, młodzieńcy ci byli w znakomitych humorach. Ich radość wyrażała się przede wszystkim w beztroskich i hałaśliwych zabawach, wśród których zjeżdżanie po poręczach marmurowych schodów rezydencji należało do najspokojniejszych. Ich żarty i figle płatane wszystkim naokoło nie ominęły również Magnolii.

Nie widząc nic złego w żartobliwej zabawie, Warren był zachwycony reakcją Magnolii na młodzieńcze psikusy. Ta urocza dziewczyna, którą podziwiał w Londynie za zachowanie pełne godności i wdzięku, potrafiła również śmiać się z całego serca i droczyć z młodymi ludźmi traktującymi ją po trosze jak śliczną, kapryśną kotkę.

Nadeszły mroźne dni. Skoro tylko lód na jeziorze stał się wystarczająco mocny, wesołe towarzystwo zaczęło spędzać długie godziny ćwicząc zapamiętałe jazdę na łyżwach.

Warren nie był zaskoczony faktem, że Magnolia okazała się znakomitą łyżwiarką. Wspaniale wyglądała na lodzie ze swą smukłą, gibką figurą, jakby stworzoną do tego sportu. Kosmyki jej czarnych włosów wymykały się spod uroczej czapki ze srebrnego lisa, w której obramowaniu twarz o ogromnych, błyszczących oczach wydawała się jak z obrazka.

Młodzi ludzie walczyli o miejsce przy jej boku, co zazwyczaj kończyło się tak, że Magnolia frunęła po lodowej tafli z dwoma partnerami naraz.

Warren przyglądał się tym zabawom życzliwie. Sam nie brał w nich udziału, jakkolwiek lubił jazdę na łyżwach. Nie pociągały go jednak szalone gonitwy ani wymyślne akrobacje. Kiedy więc stryj zaproponował mu wspólną przejażdżkę konną, przystał na nią z ochotą.

Od czasu, kiedy markiz znacznie przytył, poruszał się powoli, jak gdyby każdy pospieszny ruch kosztował go zbyt wiele wysiłku. Jadąc stępą przez ośnieżony park lord Artur opowiadał Warrenowi, jakie kroki poczynił, aby wszystko było w należyтым porządku, gdy Raymond odziedziczy po nim majątek.

– Chciałbym, żeby zainteresował się choć trochę tym, co robię z myślą o jego przyszłości – mówił zatroskany. – Gdybyś miał okazję, Warrenie, porozmawiaj z nim o tych sprawach i powiedz mu, że tak wielki majątek wymaga ogromnego zainteresowania ze strony właściciela. Zarządzanie

naszymi dobrami to przede wszystkim poważna odpowiedzialność i ciężka praca.

- Jestem pewien, że Raymond zdaje sobie z tego sprawę, stryju - odpowiedział Warren. - Jest tylko jeszcze bardzo młody. Patrzyłem dzisiaj, jak bawi się ze swymi przyjaciółmi: to jeszcze jego szczenięce lata. Myślę jednak, że w odpowiednim czasie stanie się równie dobrym panem tych włości, jak jego ojciec.

- Bóg jeden wie, jak bardzo pragnąłbym, żeby to była prawda - mruknął markiz, a potem, jakby chcąc szybko zmienić temat, powiedział: - Muszę porozmawiać z tobą o naszym nowym dzierżawcy. Nie jestem całkiem pewien, czy dobrze postąpiłem dając go na miejsce...

Było dobrze po zmierzchu, gdy lord Artur i Warren wrócili do Buckwood. Łyżwiarze dawno już opuścili lodowisko i zebrali się wokół stołu bilardowego. Zamiast jednak zająć się grą zaczęli wymyślać coraz to nowe żarty. Uśmiechnawszy się do siebie Warren nazwał ich igraszki „psimi figlami” i z zachwytem przyglądał się Magnolii.

Była taka piękna, z zaróżowionymi lekko policzkami i błyszczącymi oczyma, że Warren nagle zapragnął wziąć ją w ramiona i ucałować z całego serca. Lecz kiedy próbował odciągnąć ją od reszty towarzystwa, delikatnie uwolniła swe ramię.

- Ależ Warrenie, mój najdroższy - szepnęła poprawiając rozwichrzone nieco włosy. - Nie powinniśmy oddalać się stąd razem. Kocham cię bardzo, ale pamiętaj, że przyrzekliśmy sobie być ostrożni!

Warren przyznał jej rację i przeszedł sam do gabinetu, aby sprawdzić, czy przywieziono już z Londynu najświeższe gazety. Przerzucając z roz-targnieniem prasę pomyślał, jak wspaniałą rzeczą będzie poślubienie kobiety, która tak świetnie potrafi znaleźć się w każdym towarzystwie.

Cztery dni później Warren powiedział Magnolii, że najwyższy czas wracać już do Londynu. I wtedy bomba pękła.

Analizując minione zdarzenia, Warren sam nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że dał się zwieść tak łatwo.

W przeddzień odjazdu Magnolii i Warrena do Buckwood przybyli młodzi ludzie z sąsiednich majątków, zaproszeni przez Raymonda na wieczór tańców. Młody hrabia przygotował wszystko niezwykle starannie.

Oprócz tańców tradycyjnych wynajęci muzycy grali również skoczne lansjery, kadryle i tak zwane szkockie kołowrotki, w czasie których spódnice dziewcząt wirowały zamasyście pośród pisków i okrzyków radości. Zatańczywszy z Magnolią kilka walców, Warren poczuł się znużony hałaśliwą zabawą. Kiedy nastrój panujący w sali osiągnął poziom „psych figłów”, postanowił przenieść się do salonu, gdzie co staczejni uczestnicy spotkania grali w brydża. Wychodząc ujrzał jedynie Raymonda szepczącego coś do ucha Magnolii. Zaciekawiał się przelotnie, jakie też wspólne sekrety mogą łączyć tych dwoje. Był jednak bardzo zadowolony, że najwyraźniej zostali dobrymi przyjaciółmi.

Następnego dnia Warren wraz z Magnolią jechali do Londynu wynajętą specjalnie salonką. Było w niej niewielkie pomieszczenie, w którym podróżowała również pokojówka Magnolii.

- Muszę ci coś powiedzieć, Warrenie - powiedziała Magnolia, gdy pociąg zbliżał się już do celu podróży.

- Cóż to takiego, najdroższa? - spytał młody człowiek. - Czy mówiłem ci już dzisiaj, że pięknie wyglądasz? Za każdym razem, gdy cię widzę, jesteś jeszcze bardziej czarująca niż poprzedniego dnia!

- Dziękuję ci, kochany - odpowiedziała z uśmiechem. - Chciałabym bardzo, abyś zrozumiał dobrze to, co ci chcę powiedzieć. Kocham cię całym sercem, ale nie mogę zostać twoją żoną!

- O czym ty mówisz? - spytał Warren zaskoczony. Był pewien, że się przesłyszał.

- Nie bądź zły na mnie, proszę - powiedziała cicho Magnolia, patrząc na niego oczyma pełnymi łez.

- Oczywiście, że nie jestem zły na ciebie! - zachnął się młody człowiek. - Jakże bym mógł. Wydaje mi się jedynie, że źle cię zrozumiałem.

- Powiedziałam tylko, drogi Warrenie, że pomimo iż kocham cię nad życie, zamierzam zostać żoną Raymonda.

Warren patrzył na narzeczoną szeroko otwartymi oczyma. Miał wrażenie, że wszystko wokół spowija nagle dziwna gęsta mgła.

- Zostać żoną Raymonda? - powtórzył chrapliwym, nieswoim głosem, kiedy wreszcie zdołał wykrztusić z siebie cokolwiek. - Jak to możliwe? Przecież on dopiero od listopada jest pełnoletni!



- Powiedział, że chce mnie poślubić, gdy tylko minie okres mojej żaloby.

- I myślisz, że możesz postąpić ze mną w ten sposób? – spytał Warren z trudem dobywając głosu.

- Naprawdę bardzo mi przykro, drogi Warrenie. Powinieneś postarać się mnie zrozumieć...

- Zrozumieć? Cóż takiego mam zrozumieć?

Magnolia spuściła wzrok i zawahała się. I wtedy Warren pojął jej zamiary.

- Masz na myśli to, że pewnego dnia Raymond stanie się panem na Buckwood! – stwierdził.

- Sam mówiłeś, że to miejsce najbardziej odpowiednie dla mnie ze wszystkich na świecie!

- A więc o to ci chodzi!

Warren czuł narastające pulsowanie w skroniach. Stukot kół pociągu odbijał się w jego mózgu z wielokrotnionym echem. Lecz zanim zdołał wypowiedzieć choć jedno ze słów, które cisnęły mu się na usta, pociąg wjechał na stację Paddington.

Magnolia bardzo starannie zaplanowała czas, w którym oznajmiła narzeczonemu swoją decyzję. Drzwi salonki otworzyły się i weszła pokojówka niosąc bagaż podręczny. W obecności służby nie wypadało prowadzić dalszej rozmowy na tak osobiste tematy. Bez słowa więc Warren odprowadził Magnolię do powozu. Uchyliwszy na pożegnanie kapelusza, odwrócił się na pięcie i znikł w mroku.

I dopiero gdy jechał dorożką do swego klubu, uświadomił sobie nagle, że oto właśnie stracił Magnolię. Poczł tak gwałtowny przypływ żalu i rozpacz, że przez chwilę przekonany był, iż nie zniesie tego ani minuty dłużej.

Kochał ją przecież! Kochał tak jak nikogo przedtem. Uwierzył we wszystko, co mówiła mu o swojej miłości. Przypominał sobie wyraźnie fragmenty niektórych ich rozmów.

- Obawiam się, że nie jestem zbyt zamożnym człowiekiem, najdroższa – mówił, kiedyś do niej podczas przechadzki po parku. – Pomimo stałych

funduszków przyznanych mojemu ojcu przez stryja Artura, wciąż muszę wspierać finansowo matkę.

- Kocham cię dla ciebie samego, a nie dla twoich pieniędzy - odpowiedziała wtedy Magnolia swym łagodnym, najśłodszy na świecie głosem. - I gdybyś nie miał nawet pensa przy duszy, kochałabym cię tak samo.

- Jesteś najwspanialszą kobietą na świecie! - wykrzyknął wzruszony. Będąc w Buckwood, powiedział jej pewnego razu:

- Kiedy tylko ogłosimy oficjalnie nasze zaręczyny, dowiem się, który ze swych licznych majątków postanowił stryj przeznaczyć dla nas. Wiem o kilku niewielkich, lecz uroczych domach. Przy odrobinie starania moglibyśmy urządzić każdy z nich bardzo przytulnie.

- Pragnę jedynie stworzyć ci miły, pełen ciepła dom.

- Wiem o tym, najdroższa - odpowiedział wtedy Warren. - Oczywiście dołożę wszelkich starań, abyśmy mogli mieć i w Londynie skromną siedzibę.

- Powinien być przynajmniej tak duży, abym mogła godnie podejmować twoich przyjaciół - mówiła Magnolia. - Nie chcę, abyś przez małżeństwo ze mną pozbawił się towarzystwa ludzi, którzy cię podziwiają. Wiele kobiet będzie mi zazdrościło tak przystojnego, mądrego i atrakcyjnego męża!

- Postaram się więc kupić dom z obszerną jadalnią i salonem! - przyrzekał Warren.

Mówiąc to zastanawiał się, jak zdoła tego dokonać. Postanowił żyć oszczędnie i ograniczyć jak najbardziej własne wydatki, aby móc zapewnić Magnolii wszystkie te rzeczy, których mogłaby zapragnąć będąc już jego żoną.

Na szczęście miał wielu bogatych i wysoko postawionych w hierarchii społecznej przyjaciół. Był zawsze chętnie widziany w ich domach i spodziewał się, że pozostaną one nadal otwarte dla Warrena Wooda wraz z małżonką. Najwyraźniej Magnolii bardzo zależało na bogatym życiu towarzyskim. Oznaczało to, że zaraz po ślubie będzie zapewne chciała sprawić sobie wiele wytwornych sukien. Warren wyrzucał sobie kilka dość kosztownych ekstrawagancji, których dopuścił się będąc jeszcze

kawalerem. Gdybyż wtedy mógł przewidzieć, co przyniesie mu przyszłość! Żadna ofiara dla szczęścia ukochanej kobiety nie wydawała mu się teraz zbyt wielka. Czuł, że jeśli będzie trzeba, złoży u stóp Magnolii wszystko, czym był i co posiadał.

Jadąc dorożką ze stacji Paddington do St. James's Club Warren potrząsał z niedowierzaniem głową. Magnolia mówiła, że kocha go nade wszystko. Jak mogła więc zdecydować się na małżeństwo z młodzieńcem tak bardzo jeszcze niedojrzałym!

Raymond był dość inteligentnym chłopcem o wielu pozytywnych cechach charakteru. Śmiały i bezpośredni w sposobie bycia, wydawał się jednak pochłonięty całkowicie młodzieńczą żądzą rozrywki i beztrąsko usuwał na bok obowiązki i kłopoty dnia codziennego.

Jakkolwiek markiz nigdy nie wspomniał mu o tym, Warren wiedział, że senior rodu był nieco rozczarowany postępowaniem syna. Wciąż docierały do jego uszu pogłoski o skargach nauczycieli na Raymonda. Młody hrabia Wood dwukrotnie omal nie został usunięty z Oksfordu za brak postępów w nauce. A gdy ojciec zaczął zapoznawać go z przyszłymi obowiązkami pana na Buckwood, również nie przejawiał żadnego zainteresowania sprawami majątku, chyba że wiązały się dla niego z jakąś kolejną rozrywką.

Warren zaczął podejrzewać, że Raymond należy do tych osób, które nie wydorosleją nigdy. Nie wyobrażał sobie, aby młody szalawica miał kiedykolwiek ustatkować się i założyć rodzinę. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że mógłby ożenić się właśnie z Magnolią.

Sama myśl o tym, że jego ukochana chce wyjść za Raymonda tylko dlatego, aby stać się w przyszłości markizą, panią na Buckwood, napełniała Warrena niesmakiem i zgrozą. Jednocześnie jednak czuł, że kocha tę dziewczynę nadal, pragnie jej i że życie bez niej nie ma już dla niego żadnej wartości.

W takim nastroju przekroczył próg swego klubu. Nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, jak będzie od tej chwili wyglądało jego życie. Usiadł więc przy stoliku w salonie pijąc jedną szklankę brandy po drugiej.

Wtedy właśnie przysiadł się do niego Edward Duncan.

- Posłuchaj mnie uważnie, Warrenie - powiedział wysłuchawszy opowieści przyjaciela do końca. - Mam dla ciebie pewną propozycję. Chcę, abys się nad nią poważnie zastanowił.

- Najlepszym wyjściem dla mnie jest skok z mostu do Tamizy! - odrzekł Warren ochryplym głosem. - Jeśli nawet nie zdołam się utopić, to może przynajmniej umrę z zimna!

- Mam lepszy pomysł.

- Cóż to takiego? - burknął Warren niecierpliwie.

- Mógłbyś pojechać ze mną do Afryki! - powiedział Edward spokojnie.

- Do Afryki?

W głosie Warrena słychać było nutę zaskoczenia i Edward pomyślał, że udało mu się przynajmniej zainteresować tą propozycją przyjaciela.

- Zamierzam zgromadzić niezbędne materiały do nowej książki - powiedział. - Chciałbym udać się do Maroka, a potem zbadać te części pustyni, gdzie nie stanęła jeszcze stopa nie tylko Anglika, ale i żadnego innego białego człowieka. Jest wielce prawdopodobne, że przyjdzie nam walczyć z dzikimi zwierzętami. Możemy również zginąć podczas burzy piaskowej na pustyni lub z ręki jakiegoś wrogo nastawionego tubylca!

- Byłoby to dla mnie najlepsze rozwiązanie - zauważył Warren rażniejszym już nieco tonem.

- Zgadzam się z tobą - odparł Edward. - Jeśli tylko nie masz nic przeciwko nowym kłopotom, a zależy ci na oryginalnej śmierci...

Nastąpiła chwila ciszy.

- Jedź ze mną! - nalegał Edward. - Zapewniam cię, że nie pożałujesz tej decyzji. Zawsze to lepiej niż siedzieć tutaj lamentując i zastanawiając się, co też Magnolia robi teraz z Raymondem!

Ponieważ Warren milczał nadal, Duncan dodał:

- Znacznie ciekawiej będzie spędzić ten czas walcząc o życie z drapieżnikami lub jadowitymi wężami albo siedząc w namiocie, który w każdej chwili może być zmieciony przez pustynną burzę!

- To, co mówisz, nie brzmi zbyt zachęcająco...

- Wcale nie zamierzałem zwodzić cię obietnicami miękkiego łóżka i innych wschodnich rozkoszy - odparł Edward. - Proponuję ci natomiast

twardą, męską walkę z przeciwnościami losu. Mam wrażenie, że tego właśnie w tej chwili potrzebujesz.

Ponownie zapadło milczenie.

– Dobrze, pojedę z tobą, jeśli tego naprawdę chcesz – oświadczył nagle Warren desperacko zaciskając pięści. – Uprzedzam cię jednak, że nie będę brał udziału w żadnych przygotowaniach. Nie zamierzam wytrzeźwić aż do samego wyjazdu!

Siedząc wygodnie w fotelu w apartamencie hotelu „Meurice”, Warren wspominał wydarzenia, które miały miejsce przed blisko rokiem. Myślał o nagłym impulsie, który nakazał mu wtedy ulec namowom Edwarda. Zastanawiał się też, jakim naiwnym był głupcem, obdarzając swym uczuciem kobietę, która ceniła tylko pieniądze i tytuły.

I teraz, po tym wszystkim, co przeżył, trzymał w dłoni list od Magnolii i czuł budzące się w głębi serca emocje, o których chciał zapomnieć. Patrzył na tak bardzo znajome linie liter kreślonych jej ręką, wdychał lekki zapach kwiatu magnolii i przymknawszy oczy widział pod powiekami kształty smukłej talii i dziewczęcych piersi. Wydawało mu się, że czuje jej gorące wargi na swoich i przyspieszone bicie serca tuż przy swoim sercu. Pożądał jej kiedyś i wiedział, że pragnęła go również jako mężczyzny.

– Magnolio! Magnolio! – szepnął z rozpaczą kryjąc twarz w dłoniach. Jego serce odwróciło się od niej, lecz ciało nadal tęskniło do jej ciała.

I cóż takiego sprawiło, że postanowiła do niego napisać?

## Rozdział 2

Warrenowi wydawało się przez chwilę, że słowa pisane na bladoniebieskim papierze listowym wirują przed jego oczyma. Potem zaczął czytać:

*Mój najdroższy, ukochany Warrenie,*

*Jak mogłeś postąpić tak okrutnie wyjeżdżając nagle w nieznanym kierunku? Wprost nie mogłam uwierzyć, kiedy powiedziano mi, że opuścisz Anglię.*

*Myślałam, że oszaleję nie mogąc zobaczyć się z Tobą, porozmawiać i wytłumaczyć się z mojego niemądrego postępowania!*

*Miałam aż nadto czasu, aby zrozumieć, że jesteś jedynym mężczyzną, który liczy się w moim życiu!*

*Kocham Cię. Jeśli tego zażądasz, poproszę na kolanach, abyś mi przebaczył.*

*Szaleję z niepokoju na myśl o tym, że mogłabym utracić coś tak bezcennego i cudownego jak Twoja miłość. Nie doceniałam Twych uczuć tak, jak na to zasługiwały. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć jedynie, że do tej pory nie spotkałam nikogo takiego jak Ty.*

*Twój stryj mówi, że jesteś teraz gdzieś w Afryce i że nie zna Twojego adresu. Wysyłam więc ten list do Paryża, gdzie, jak słyszałam, zatrzymasz się w drodze powrotnej do domu.*

*Proszę Cię, kochany, przebac mi, że byłam taka niemądra. Pomyśl, jacy szczęśliwi byliśmy przed naszym przyjazdem do Buckwood, i pozwól mi zagościć ponownie w Twoim sercu!*

*Zapomnij o wszystkim, co złe. Pozwól, proszę, abyśmy znów mogli cieszyć się sobą jak wtedy, gdy pocałowałeś mnie po raz pierwszy.*

*Kocham Cię! Kocham Cię całym sercem!*

*Twoja pokorna i pełna skruchy  
Magnolia*

Warren skończył czytać, lecz patrzył nadal na list, jak gdyby nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Spojrzawszy na datę umieszczoną obok nagłówka stwierdził, że Magnolia napisała go pięć miesięcy temu, czyli w miesiąc po jego wyjeździe z Anglii. Sama myśl, że dziewczyna mogła w ciągu tak krótkiego czasu radykalnie się zmienić, wydawała mu się dalece nieprawdopodobna. Przeczytał list ponownie.

Przeczuwał, że coś się musi kryć za tym nagłym przyływem uczuć byłej narzeczonej. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy.

Przejrzał resztę korespondencji, odkładając na bok rachunki i koperty zawierające, jak przypuszczał, zaproszenia. Prawie wszystkie były zaadresowane do White's Club w Londynie i stamtąd zostały przesłane do Paryża, prawdopodobnie razem z korespondencją Edwarda. Adres hotelu „Meurice” widniał na kopercie listu od matki.

Warren od razu rozpoznał wytworny, staranny charakter pisma lady Elizabeth. Otwierając list pomyślał przelotnie, że litery kreślone ręką Magnolii sprawiały wrażenie przesadnie ozdobnych.

Nie wdając się jednak w zbędne rozważania czytał:

*Mój kochany Synu,*

*Wczoraj otrzymałam Twój list z Casablanki, w którym piszesz, że jesteś już w drodze do domu. Wiadomość ta przyszła doprawdy w samą porę i ucieszyła mnie niezmiernie. Wydaje mi się, że to Bóg wysłuchał moich modlitw. Byłam już bowiem bardzo zaniepokojona Twoim milczeniem. Tak bardzo chciałabym, abyś był już tu z powrotem!*

*Po otrzymaniu tego listu postaraj się jak najprędzej przyjechać do domu. To bardzo ważne.*

*Wiem, że wiadomość, którą muszę Ci przekazać, zaniepokoi Cię i zasmuci. Otóż kuzyn Twój, Raymond, spadł z konia trzy dni temu i dziś rano zmarł w wyniku doznanych obrażeń.*

*Wraz z kilkoma przyjaciółmi urządzili o północy wyścigi konne z przeszkodami. Przedtem odbywało się przyjęcie i sądzę, że wszyscy uczestnicy zawodów wypili trochę za dużo.*

*Doktor Gregory, który przyniósł mi dziś wiadomość o śmierci Raymonda, powiedział również, że stryj Artur miał atak serca.*

*Biedny Artur czuł się ostatnio nie najlepiej, zwłaszcza że przybrał znacznie na wadze. Wiadomość o wypadku i śmierci Raymonda była dla niego zbyt dużym ciosem. Jest teraz w stanie śpiączki, lecz doktor Gregory twierdzi, że jego szanse na odzyskanie przytomności są znikome.*

*Rozumiesz zatem, drogi Warrenie, że Twój powrót jest sprawą niecierpiącą zwłoki. Pozostaje mi jedynie modlić się, abyś dostał mój list jak najszybciej. Proszę, wyślij do mnie telegram, kiedy tylko go otrzymasz.*

*Przykro mi bardzo, że radość ze szczęśliwego zakończenia Twojej wyprawy zmacona została przez tak niespodziewane i straszne wieści. Łączę się z Tobą w smutku i żalu. Jednocześnie wiem, że przyjmiesz odpowiedzialność, która teraz na Tobie spoczywa, z godnością – tak, jak zrobiłby to Twój ojciec.*

*Błogosławiąc Cię, mój Synu, czekam z niecierpliwością na wiadomości od Ciebie.*

Jeżeli list Magnolii zaskoczył i zadziwił Warrena, to wiadomości od matki wprawiły go w osłupienie.

Nie mógł wprost uwierzyć, że kuzyn Raymond, tak młody i pełen życia, zszedł już z tego świata. Niepokoił się też bardzo o stryja Artura, gdyż wiedział, jak niewielkie były szanse jego wyzdrowienia.

Warren zdawał sobie sprawę z tego, że zaistniała sytuacja spowoduje całkowitą odmianę nie tylko obecnego trybu życia, ale i obowiązków w przyszłości. Wprawdzie lady Elizabeth nie napisała tego wprost, lecz on domyślił się, kto będzie następnym markizem, panem na Buckwood. Nigdy przedtem, nawet w najśmielszych marzeniach, nie widział siebie w tej roli. Jego ojcu również nie przyszło na myśl, że mógłby kiedykolwiek odziedziczyć Buckwood po bracie. Ani lord John, ani jego syn nie ulegali fałszywym ambicjom, a uczucie zawiści obce było sercu każdego z nich.

- Nie ma na świecie człowieka, który lepiej od Artura pełniłby rolę seniora naszego rodu - zwykł mawiać ojciec Warrena.

Później, kiedy był już bardzo chory i całkiem świadomy faktu, że może nie przeżyć ciężkiej operacji, powiedział do syna:

- Dbaj o matkę, mój drogi. Staraj się też pomagać stryjowi, w czym tylko zdołasz. Wiem, że on liczy na ciebie.

- Tak, oczywiście, ojcze - odpowiedział Warren.

Lord John uśmiechnął się do niego blado.

- Jesteś dobrym synem, Warrenie - powiedział cicho. - Zawsze byłem z ciebie bardzo dumny!

Wspominając wszystko, co kiedykolwiek słyszał od ojca, Warren wiedział, że obowiązki wynikające z posiadania tytułu markiza są niebagatelne. Zaczął się zastanawiać, czy zdoła udźwignąć ten ciężar bez niczyjej pomocy.

Zdawał sobie sprawę, że wielu członków rodziny Wood będzie teraz w nim pokładać swe nadzieje, że sprawiedliwie i godnie będzie strzegł majątku i honoru rodu. Przez chwilę wydawało mu się, że przerasta go ta rola.



Jako obecny markiz, pan na Buckwood, miał być odpowiedzialny za majątki rozsiane po całej Anglii. Sama lista sierocińców, przytułków, szkół publicznych i innych przedsięwzięć charytatywnych dotowanych przez Buckwood zajmowała bite cztery strony w rejestrach majątkowych.

Markiz Wood z racji tytułu i urodzenia musiał piastować odpowiedzialne stanowisko na dworze królewskim. Warren wiedział, że królowa Wiktorija bardzo lubiła jego stryja i często zapraszała go do Windsoru, aby zasięgnąć rady. Kiedy Warren myślał o tym, czuł, że kręci mu się w głowie. Do tej pory czcił swoją królową wmieszany w tłum jej poddanych i nie przypuszczał nigdy, że los zawiedzie go kiedykolwiek w pobliże jej tronu.

Nagle przypomniał sobie prośbę matki o szybką odpowiedź i zerknął pospiesznie na nagłówek jej listu. Stwierdziwszy, że napisała go trzy dni temu, postanowił jak najspieszniej zapytać w recepcji o najbliższy pociąg do Calais oraz poprosić o nadanie telegramu. Odkładając plik korespondencji na stolik zauważył, że na kopercie listu od matki zaznaczono, kiedy przybył on do hotelu. Widniała tam data „27 lipca”, co oznaczało, że list dotarł do Paryża wczoraj.

Warrenowi przyszła do głowy pewna myśl. Podniósł więc szybko z podłogi list od Magnolii i zerknął na kopertę. Widniała na niej, napisana niewątpliwie tą samą co poprzednio ręką, notatka: „27 lipca”...

Przez chwilę Warren przyglądał się kopercie nie wierząc własnym oczom. Spojrzał jeszcze raz na nagłówek listu, gdzie ręką Magnolii wypisana była data 20 października 1893.

I nagle zrozumiał wszystko. Kąciki jego ust wygięły się w gorzkim, ironicznym uśmiechu. Oto niespodziewanie uzyskał rozwiązanie zagadki nagłego przyływu uczuć Magnolii. Niczego innego nie mógł się po niej spodziewać. W chwili gdy dowiedziała się, że Raymond nie żyje, postanowiła spróbować odzyskać dawnego narzeczonego.

Warren poczuł, jak ogarnia go fala gniewu. Rzuciwszy list na podłogę podszedł do okna i wpatrzył się w dal zamyślony. Zachodzące słońce oświetlało ostatnimi promieniami dachy Paryża. Był to niezwykle malowniczy i urzekający widok. Warren miał jednak przed oczami tylko śliczną twarz Magnolii. Widział ją w wyobraźni, jak zasiada nad listem do

niego z głębokim postanowieniem, że tak czy inaczej musi zostać markiza, panią na Buckwood.

Warren pomyślał, że byłby zdolny zabić ją w tej chwili.

Jak mogła ta dziewczyna, którą niegdyś kochał, zachować się w sposób tak niegodny? Jak śmiała przypuszczać, że on da się zwieść wierutnym kłamstwom? Jeśli tliły się w jego sercu jeszcze jakieś iskielki uczuć dla niej, w tej chwili zgasły bezpowrotnie. Gdyby nawet pojawiła się teraz przed nim i klęcząc błagała o przebaczenie, odepchnąłby ją z odrazą.

Wydawało mu się, że śledzi drogę, jaką biegły jej myśli po stracie Raymonda. Za wszelką cenę postanowiła odzyskać uczucia przysłego markiza. Prawdopodobnie była przekonana, że postąpiła bardzo przebiegle wysyłając list z datą sprzed dziewięciu miesięcy. A on już gotów był uwierzyć w przemianę, jaka zaszła w sercu Magnolii po jego wyjeździe! I uwierzyłby zapewne, gdyby recepcjonista hotelu „Meurice” nie był tak skrupulatny w odnotowywaniu daty odbieranej korespondencji!

Jedynie lady Elizabeth wiedziała, gdzie zatrzyma się syn będąc w Paryżu i Warren był bardzo ciekaw, jakich podstępów użyła Magnolia, aby uzyskać jego adres.

Ponownie przejrzał resztę korespondencji. Tak jak podejrzewał, był tam jeszcze jeden list adresowany do Paryża. Został napisany przez doradcę prawnego stryja Artura i wysłany tego samego dnia, co list lady Elizabeth. Warren domyślał się, że wobec zaistniałej sytuacji matka zdecydowała się przekazać adres hotelu „Meurice” zaprzyjaźnionemu z rodziną Wood prawnikowi. Uzyskanie upragnionego adresu od najwytrawniejszego nawet radcy prawnego nie stanowiło dla Magnolii żadnego problemu.

Doradca prawny rodziny zawiadamiał w pełnych współczucia słowach o śmierci kuzyna Raymonda. Informując następnie Warrena o całkowitej niezdolności stryja do zarządzania w obecnej chwili majątkiem, prosił go o możliwie jak najszybszy przyjazd i przejęcie choć części obowiązków seniora rodu.

Także i z tego listu wynikało jasno, że nie ma już żadnej nadziei na powrót do zdrowia lorda Artura. Warrenowi ponownie wydało się, że na jego barki spadł ciężar trudny do udźwignięcia.

Odłożywszy pismo od prawnika na stół Warren spojrzął na leżący na podłodze list Magnolii. Nie podniósł go jednak i nie położył razem z innymi. Kierując się szybko w stronę drzwi przydepnął po drodze butem bładoniebieskie, perfumowane kartki.

Był piękny wieczór. Gwiazdy migotały na niebie jak diamenty, a jasna tarcza księżyca wzniosła się już wysoko, gdy Warren ruszył na przechadzkę wzdłuż brzegów Sekwany.

W czasie pobytu w Afryce nieraz wyobrażali sobie obaj z Edwardem, jak będzie wyglądał ich powrót do cywilizacji.

- Musimy zatrzymać się choć na kilka dni w Paryżu - mawiał wtedy Edward. - Należy nam się jakiś etap przejściowy między warunkami skrajnie prymitywnymi a kulturą wysublimowaną aż do absurdu!

Rozglądając się po pustyni, której rozżarzone piaski ciągnęły się aż po linię horyzontu, Warren odpowiadał kpiąco:

- Przypuszczam, że chodzi ci głównie o rozrywki dostępne u „Maxima” i w „Moulin Rouge”!

- Zawsze, kiedy jestem w podróży - uśmiechał się Duncan - a zwłaszcza w takiej podróży jak ta, wydaje mi się, że zaczynam zapominać, jak atrakcyjne potrafią być kobiety! I jakże przyjemnie jest po powrocie spędzić kilka chwil z jedną z uroczych syren od „Maxima” lub popatrzeć na dziewczęta tańczące kankana w „Moulin Rouge”!

Warren śmiał się słysząc te słowa.

- Jeśli o mnie chodzi, jedyną rzeczą, o jakiej marzę, jest kieliszek dobrze schłodzonego szampana! - mówił. - Oszaleję, jeśli będziemy dłużej pić tę wstrętną wodę ze skórzanych bukłaków!

- Zwariowałbyś zapewne i bez tego! - stwierdzał krótko Edward wskazując na pałac słońce ponad ich głowami.

Po kilku dniach wędrówki woda w bukłakach istotnie nabierała bardzo nieprzyjemnego smaku.

- Jutro będziemy mogli wreszcie uzupełnić nasze zapasy wody i żywności. Obawiam się jednak, że nie będą to potrawy przypominające w czymkolwiek obiady w restauracji „Palais Royal” – mówił Edward. – Mam wrażenie, że przez nasz dotychczasowy tryb życia twoje ubrania będą musiały iść do przeróbki, zanim powrócisz do cywilizowanego świata!

Warren śmiał się z tych uwag. Jednak, gdy dzisiaj wieczorem wyciągnął z kufra swój frak, musiał przyznać rację przyjacielowi. Jego ubrania, szyte na miarę w czasach, gdy ani śniło mu się o wyprawach do Afryki, wymagały obecnie ręki doświadczonego krawca.

Mimo iż znacznie zeszczupłał, mięśnie jego były twarde jak stal i ubrania sprawiały wrażenie zbyt ciasnych w ramionach.

Warren wiedział, że to niezliczone godziny spędzone na wierzchowcu lub na wielbłądzie w trudnych warunkach panujących na pustyni zahartowały jego ciało. Posiłki traktował raczej jako środek do podtrzymania sił, nie zastanawiając się nad ich wyglądem i smakiem. Teraz jednak, znalazłszy się w Paryżu, nie miał nic przeciwko wykwintnej kolacji w restauracji położonej nie opodal hotelu.

Pomyślał też, że gdyby nie był tak przejęty tym, co zdarzyło się w domu, mógłby wpaść z wizytą do pewnej uroczej młodej damy, z którą spędził niejeden wieczór podczas ostatniego dłuższego pobytu w Paryżu.

W drodze do Afryki zatrzymali się co prawda wraz z Edwardem w tym mieście na krótko. Warren tak był jednak przygnębiony zdradą Magnolii, że pozostawił Edwardowi sprawę zorganizowania rozrywek na jedną noc, którą mieli tu spędzić. Na początku zabawili nieco w „Folies-Bergere”. Kiedy przeszli do „Maxima”, Warren przeprosił Edwarda i wrócił do hotelu nie zatańczywszy nawet z żadną z uroczych fordanserek.

Później, będąc już w Afryce, znowu zaczął wspominać z nostalgią paryskie rozrywki. Często snuł plany dotyczące pierwszego wieczoru, jaki spędzi w tym mieście po powrocie. Teraz jednak nie chciał, aby cokolwiek przeszkodziło mu w rozmyślaniach. Zjadł kolację, siedząc samotnie przy stoliku, a ponieważ wieczór był ciepły, postanowił przed snem pójść na spacer brzegiem Sekwany.

W hotelu zawiadomiono go, że zarezerwowano mu miejsce w pociągu, z którego można było przesiąść się bezpośrednio na parowiec opuszczają-

jący Calais w południe następnego dnia. Warren wyliczył, że przy odrobinie szczęścia znajdzie się w domu wieczorem trzeciego dnia podróży. Na wszelki wypadek wysłał telegram do matki, aby nie martwiła się, gdyby przyjechał nieco później, choć tego nie przewidywał, bo o tej porze roku podróż przez kanał La Manche powinna była przebiegać bez zakłóceń, co zdarzało się nieraz jesienią i wiosną.

Wieczór był ciepły i cichy. Nawet liście drzew rosnących nad Sekwaną zdawały się trwać w bezruchu.

Przechadzając się powoli po bulwarze, Warren przyglądał się osrebrzonym księżycowym światłem budynkom. „Jakie to dziwne – myślał – że to jest ten sam księżyc, którego światło tak niedawno przeświecało przez liście palm napotkanej na pustyni oazy.”

Nie zawsze udawało się młodym podróżnikom znaleźć dogodne miejsce na nocleg. Częściej musieli rozstawiać namiot wśród skał i ciernistych krzewów, w których roiło się od węży i skorpionów. Niezmiernie uciążliwe były również roje rozmaitego robactwa, tylko czekającego na okazję, aby wpełznąć do śpiwora wędrowca lub przechadzać mu się po odkrytym karku. Rozmyślając o tym Warren uśmiechnął się bezwiednie. Gdzieś w głębi brukowanej ulicy posłyszał oddalający się stukot końskich podków. Jakże inny był to dźwięk od ciężkiego człapania wielbłądów, ich gardłowego pochrząkiwania przerywanego okrzykami arabskich pogańczy!

„Oto cywilizacja” – pomyślał.

Miał wrażenie, że zrzucił noszone długo odzienie ze zgrzebnej tkaniny i teraz czuje na skórze chłodny, delikatny dotyk jedwabiu.

Przeszedł przez most i zatrzymał się, pragnąc podziwiać skąpane w księżycowym blasku wieże katedry Notre-Dame. Widok ten przypomniał mu czasy, kiedy jako młodzieniec po raz pierwszy przyjechał do Paryża. Mieszkał wtedy w hotelu na lewym brzegu Sekwany, ponieważ wszystko było tam znacznie tańsze.

Pamiętał dokładnie tę chwilę, kiedy po raz pierwszy ujrzał Notre-Dame i aż przystanął urzeczony jej pięknem.

Teraz oparł się plecami o chłodne kamienie muru wznoszącego się tuż nad brzegiem i obserwował, jak czerwone i zielone światła przepływającej barki odbijają się w leniwym nurcie rzeki.

Po chwili spostrzegł, że nie jest sam. Ktoś stał na niewielkim pomoście zbudowanym przez flisaków, którzy ładowali tutaj konie na barki. Kładka ta znajdowała się tuż nad powierzchnią wody. Warren rozpoznał w ciemności zarys smukłej dziewczęcej sylwetki. Pomyślał też, że nieznajoma pochyła się chyba zbyt mocno do przodu, jak gdyby chciała coś dostrzec w głębinach rzeki.

Zdziwiło go nieco, że dziewczyna nie ma kapelusza ani nawet szala okrywającego głowę. Intensywne światło księżyca igrało srebrnymi odblaskami w jej jasnych włosach. Pochylała się nad wodą ruchem pełnym gracji i nawet w mroku można było dostrzec jej niezwykle szczupłą talię.

Warren zamierzał znowu oddać się wspomnieniom z czasów swej wczesnej młodości. Patrząc na dziwnie nieruchomą postać wpatrzoną w wodę dziewczyny, poczuł niepokój. Jego zmysły wyostrzone przez wiele miesięcy pobytu wśród niebezpieczeństw ostrzegały go przed tym, co mogło się stać za chwilę. Jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że takie pełne napięcia skupienie ma miejsce tuż przed podjęciem ostatecznej decyzji...

Nie zastanawiając się dłużej Warren zbiegł po schodkach prowadzących na pomost. Poruszał się cicho i zwinnie. Stanąwszy obok dziewczyny, powiedział po francusku:

– Proszę uważać, mademoiselle! W tym miejscu i, Sekwana jest bardzo niebezpieczna!

Nie miał zamiaru przestraszyć nieznajomej. Ona jednak na dźwięk jego głosu zadrżała nagle, jak gdyby przeszył ją dreszcz.

Zdumiony Warren usłyszał słowa wypowiedziane po angielsku cichym, urywanym szeptem:

- Proszę... odejść. Bardzo proszę... zostawić mnie samą.
- Jak można zachowywać się tak niemądrze! – odpowiedział również w swym ojczystym języku.
- Co to może pana...obchodzić?
- Jeśli zauważy panią któryś z żandarmów, będzie pani miała sporo kłopotów!

Warren mówił cicho i spokojnie, starając się nie spłoszyć dziewczyny zbyt gwałtownym gestem. Dopiero teraz odwróciła głowę, aby spojrzeć na niego. Choć było ciemno, widział jej jasną twarz o drobnych rysach i dużych, błyszczących oczach.

Warrenowi wydawało się, iż dziewczyna okazała lekkie zaskoczenie na widok jego wieczorowego ubrania.

- Proszę odejść! - powtórzyła odwracając ponownie i głowę. - To nie... pana sprawa.

- Nie jestem tego taki pewien, zważywszy że pochodzimy z tego samego kraju! - odparł Warren.

- Proszę... bardzo proszę! Niech pan sobie pójdzie!

W jej głosie słychać było nutę tak beznadziejnego przygnębienia, że Warren powiedział:

- Mówi pani, że to nie moja sprawa? Jako Anglik czułbym się zobowiązany do wyratowania nawet psa albo kota, który wpadłby do rzeki. Wolałbym jednak, jeśli to możliwe, nie skakać w ubraniu do wody!

- Niech więc pan już idzie i... nie przeszkadza mi dłużej.

Pomimo że dziewczyna mówiła powoli, głos jej załamał się i ostatnie słowa wypowiedziała ledwo dosłyszalnym szeptem.

- A zatem chce pani umrzeć - powiedział Warren kiwając głową. - Dokładnie dziewięć miesięcy temu pragnałem tego samego. Mam jednak przyjaciela, który widząc, do czego zmierzam, zdołał zapobiec nieszczęściu. Dziś jestem mu za to niezmiernie wdzięczny.

- To... to zupełnie co innego. Pan... jest mężczyzną.

- Jestem przede wszystkim człowiekiem, który nauczył się cenić swoje życie. Wracam właśnie z miejsc, gdzie istoty ludzkie walczyć muszą ciężko o przetrwanie każdego następnego dnia. Takie doświadczenia leczą skutecznie z samobójczych myśli.

Warren widział teraz wyraźnie profil dziewczyny na tle połyskującego nurtu rzeki. Mimo ciemności miał wrażenie, że jest to twarz o delikatnych, szlachetnych rysach. Jednocześnie wydało mu się, że policzki nieznanym są lekko zapadnięte, a ledwo widoczna w mroku sylwetka - niezwykle szczupła.

- Jako człowiek uratowany niegdyś przed tym, co pani zamyśla właśnie uczynić - ciągnął dalej łagodnym tonem - ośmielę się złożyć pani pewną propozycję. Myślę, że dobrze byłoby usiąść gdzieś spokojnie przy szklaneczce wina i rozważyć, co pchnęło panią do tak desperackiej decyzji.

Słyszając jego słowa, dziewczyna zadrżała ponownie.

- Mówiłam już, że nie chcę z panem rozmawiać! - powiedziała szybko.  
- Jeśli szuka pan dziewczyny na dzisiejszy wieczór, to... wiele ich spaceruje o tej porze po ulicach!

Zaskoczony tym, że odebrała jego słowa w tak jednoznaczny sposób, Warren pospieszył z wyjaśnieniem:

- Przysięgam, że nic takiego nie miałem na myśli! Gdybym zresztą pragnął towarzystwa jednej z tych kobiet, nie szukałbym jej na flisackim pomoście nad Sekwaną!

Nadal mówił takim tonem, jakim zwracałby się zapewne do upartego i niezbyt rozsądnego dziecka. Dziewczyna milczała przez chwilę.

- Przepraszam - szepnęła w końcu. - Jestem niegrzeczna. Pan tylko chciał... być uprzejmy.

- Mogła się pani zresztą spodziewać takich zaczepek - powiedział Warren. - Jeśli młoda kobieta przechadza się po Paryżu o tej porze, sama...

- Nie przechadzałam się po Paryżu! - odpowiedziała gwałtownie. - Przyszłam tu... wiedziona pewną myślą. A pan... udaremnił to, co chciałam uczynić.

- Wobec tego cieszę się, że przeszkodziłem pani. Czy teraz moglibyśmy pójść gdzieś i porozmawiać spokojnie? Potrafię panią zrozumieć, gdyż sam byłem niedawno w podobnej sytuacji.

- Nie sądzę, aby moja opowieść mogła pana zainteresować.

- A ja uważam, że to przeznaczenie skierowało moje kroki w tę stronę właśnie wtedy, gdy zamierzała pani dokonać tego desperackiego czynu.

- Skąd... pan mógł wiedzieć, co zamierzam zrobić?

W głosie dziewczyny pojawiła się ledwie wyczuwalna nuta ciekawości. Uznawszy to za dobry znak, Warren ciągnął dalej:



- W czasie ostatnich kilku miesięcy ja i mój towarzysz podróży często znajdowaliśmy się w niebezpieczeństwie. Zawierzałem wtedy swemu instynktowi. Był to głos wewnętrzny, który ostrzegał mnie w krytycznych momentach i nieraz uratował nam obu życie. Otóż ten głos odezwał się we mnie ponownie, gdy ujrzałem, jak pani pochyła się nad wodą. Przewidywając, że za chwilę może stać się coś złego, postanowiłem do tego nie dopuścić.

Dziewczyna westchnęła lekko. Cofnęła się o krok znad krawędzi pomostu, jak gdyby zrozumiała, że jej plany zostały udaremnione, przynajmniej w tej chwili.

Milcząc szli obok siebie wzdłuż bulwaru. Zerkając na nieznaną w świetle księżyca Warren zauważył, że jest ona jeszcze młodsza, niż wydawało mu się na pomoście. Gdyby nie upięte do góry włosy, można było pomyśleć, że to jeszcze dziecko. Przyjrzawszy się uważniej, Warren stwierdził, że wrażenie to było spowodowane faktem, iż dziewczyna była niezwykle wprost szczupła. Należało właściwie powiedzieć – wychudzona. Warrenowi przypomniały się napotykanne na pustyni plemiona koczownicze cierpiące wskutek niedożywienia. Właśnie wtedy widywał takie lekko zapadnięte policzki i wiotkie przeguby dłoni. Tak, to mogła być przyczyna, dla której dziewczyna zapragnęła umrzeć.

- Niedaleko stąd jest niewielka restauracja – powiedział nie zastanawiając się długo. – Jadałem tam często przed laty. Proponuję, abyśmy sprawdzili, czy jest jeszcze otwarta. Zamówimy coś, posiedzimy, a pani opowie mi o sobie.

- Nie mam zamiaru opowiadać panu o sobie. Nie mogę też przyjąć pańskiego zaproszenia, gdyż nie jestem pewna pańskich intencji.

- No to ja pani opowiem o sobie – odparł Warren. – A pani może słuchać lub nie.

Dziewczyna przystanęła nagle i przez chwilę wydawało się, że zaraz rzuci się do ucieczki.

- Chciałbym porozmawiać z panią – ciągnął Warren czytając w jej myślach – ponieważ mam pewien problem, który nie daje mi spokoju. Sprawia on, że muzyka i inne rozrywki drażnią mnie jedynie. To dlatego

dzisiejszego wieczoru poszedłem na samotną wycieczkę po bulwarach. Może pani potrafi mi pomóc?

- Nie wygląda pan na człowieka, którego dręczą poważne problemy - zauważyła dziewczyna.

Warren wiedział, że mówiąc to miała na myśli jego elegancki i modny strój wieczorowy.

- Obawiam się, że może pani szybko zmienić zdanie! - odpowiedział, gdy ruszyli znów wzdłuż ulicy. - Ja też tak myślałem jeszcze dzisiaj rano. Bardzo proszę, pójdźmy gdzieś, gdzie będzie pani mogła spokojnie mnie wysłuchać. Obiecuję, że na pierwsze żądanie odprowadzę panią do domu!

Warren miał wrażenie, że przez twarz dziewczyny przebiegł bolesny skurcz, jak gdyby powiedział coś przykrego.

Po chwili skręcili w małą przecnicę, gdzie jak pamiętał, powinna znajdować się restauracja, której szukał. Istotnie, była tam jeszcze i chociaż wszystkie stoliki ustawione na zewnątrz okazały się puste, w środku siedziało jeszcze parę osób.

Widząc eleganckiego mężczyznę, właściciel restauracji podszedł i kłaniając się zaproponował przytulny stolik w rogu sali.

Usiadłszy na wskazanym miejscu Warren zwrócił uwagę, że towarzysząca mu dziewczyna nie jest wcale zmieszana ani zakłopotana miejscem, w którym się znalazła. Wyraźnie nie przeszkadzał jej fakt, że stanowią dość dziwną parę - wytworny mężczyzna we fraku i młoda kobieta bez kapelusza, szala i rękawiczek...

Dopiero teraz zauważył, jak bardzo znoszona jest jej suknia. Spostrzegłszy też wyjątkowo piękny kształt szyi oraz ramion, pomyślał przelotnie, że gdyby nie wyraźne objawy wycieńczenia, byłaby bardzo piękną kobietą.

Właściciel restauracji podał obydwójgu kartę z menu, lecz dziewczyna nie zerknęła nawet na nią.

- Czy ja mam zamawiać? - spytał Warren.

- Tak, proszę - odpowiedziała skinąwszy głową.

Warren rzucił jej przelotne spojrzenie. Czuł, że mogłaby poczuć się zakłopotana, gdyby przyglądał jej się zbyt obcesowo w tej chwili. Nie trzeba było bowiem wprawnego oka, aby stwierdzić, że dziewczyna od

dawna nic nie miała w ustach. Sprawiała wrażenie, jakby samo przeczytanie spisu potraw było ponad jej siły.

Patrzył na jej dłonie o niezwykle szczupłych, niemal przezroczystych palcach, na wystające kostki nadgarstków i domyślał się, że musiała nie dojadać już od dawna.

Jej delikatnej twarzy nie odbierały jednak uroku nieco zapadnięte policzki i wyraźnie zarysowane kości policzkowe. Miała bowiem przesłiczne duże oczy, które mimo czającego się w nich smutku stanowiły główny atut jej urody.

Warren zamówił zupę pomidorową z grzankami i potrawkę z kurczaka, którą właściciel polecał jako specjalność zakładu.

- Pamiętam, jak przychodziłem tu specjalnie na to danie wiele lat temu - powiedział.

- Cała przyjemność po mojej stronie, że mogę gościć pana znowu, monsieur - odpowiedział kłaniając się restaurator.

Warren zamówił jeszcze butelkę szampana i poprosił, aby przyniesiono ją niezwłocznie. Kiedy zażywny Francuz oddalił się wreszcie w stronę kuchni, Warren zwrócił się z uśmiechem do swojej towarzyszki:

- Myślę, że już czas, abyśmy się sobie przedstawili. Nazywam się Warren Wood.

- A ja Nadia.

- Czy to już wszystko?

- Nadia...Charrington.

- A więc jest pani Angielką! - niemal wykrzyknął Warren, który zastanawiał się nad tym już od dłuższego czasu. Wprawdzie jej akcent i wymowa wydawały się bez zarzutu, jednak wygląd zewnętrzny przeczył tym domysłom. Rysy twarzy dziewczyny nie były typowo angielskie i Warren domyślał się, że w jej żyłach płynie domieszka innej krwi. Postanowił jednak nie poruszać teraz tej kwestii, aby zbyt ciekawością nie spłoszyć Nadii.

- Teraz, skoro już znamy nasze nazwiska - powiedział - czy mógłbym zapytać, jak znalazła się pani w Paryżu?

Nadia uśmiechnęła się nieznacznie, jak gdyby usłyszała coś zabawnego.

- Przynależ pan, że będzie mówił tylko o sobie – przypomniała.  
- Dobrze, a więc dotrzymam słowa – odparł z uśmiechem. – Od czasu do czasu mi się to zdarza.

Nie chciał, aby przypuszczała, że przyrzeczenie jego było tylko wybiegiem, którego użył, żeby nie odeszła.

- Przyjechałem do Paryża dzisiaj rano prosto z Afryki – zaczął swoją opowieść. – I jutro rano odjeżdżam w dalszą drogę do Anglii.

- Był pan w Afryce? Jaki był cel pańskiej podróży?

- Towarzystwem przyjacielowi, który zbierał materiały do swojej książki o plemionach zamieszkałych w Północnej Afryce. Dotarliśmy do miejsc, w których nie stanęła nigdy stopa białego człowieka. To cud, że wróciliśmy cali i zdrowi!

- To brzmi bardzo groźnie!

- W rzeczy samej! I był to, jak już pani mówiłem, najlepszy sposób, by wyleczyć się z samobójczych myśli.

Warren dostrzegł krótkie spojrzenie, które Nadia rzuciła na jego ubranie, i domyślił się, że zauważyła drogi materiał, z jakiego zostało uszyte.

- Nie wygląda pan na kogoś – powiedziała z wahaniem – kto mógłby mieć powód do samobójstwa...

- Z różnych przyczyn ludzie pragną skończyć ze sobą. Brak pieniędzy jest tylko jedną z nich.

- O tak, z pewnością ma pan rację – zgodziła się. – Ale zupełny brak środków do życia i... samotność to chyba najbardziej przerażające, co może się zdarzyć.

Mówiąc o samotności, Nadia opuściła głowę i ściszyła głos.

- Kogo pani straciła? – spytał Warren pochylając się ku niej.

- M... moją matkę...

- A ojciec?

- Mój ojciec... od dawna nie żyje.

Głos jej zadrżał, gdy wymawiała ostatnie słowa. Warren domyślił się, że śmierć ojca była dla Nadii szczególnie bolesnym wspomnieniem.

- Czy są jacyś krewni, którzy mogliby się panią zaopiekować?

- Nie... nie w Paryżu.

Warren nie musiał już pytać, dlaczego w zaistniałej sytuacji nie wyjechała z Paryża. Jeden rzut oka na jej wychudłą twarzyczkę wystarczył za całą odpowiedź.

– Jak to możliwe, że w tym gwarnym i przeludnionym mieście znalazł się ktoś tak samotny i opuszczony jak pani? Żadnych przyjaciół, krewnych, znajomych...

Nadia opuściła głowę milcząc. Warren patrzył na nią zamyślony, zauważając mimochodem, że dziewczyna ma wyjątkowo długie, ciemne rzęsy.

– Wygląda na to – powiedział z uśmiechem – że pojawiłem się w najbardziej właściwej chwili: jak anioł stróż zesłany, aby ustrzec panią przed zbyt pochopnym czynem!

– Nie powinien był pan tego robić.

– Dlaczego?

– Bo to tylko... przedłuży moje cierpienie – szepnęła Nadia.

Warren potrząsnął głową i chciał coś powiedzieć, lecz w tej chwili podszedł do nich restaurator niosąc tacę z czarkami parującej zupy. Obok nich ustawił na stoliku koszyczek ze świeżymi, gorącymi rogalikami i masło w szklanym pucharku.

Dopiero teraz mógł Warren przekonać się, jak rozpaczliwie głodna była Nadia. Nie rzuciła się łapczywie na jedzenie, czego się po trosze obawiał. Wręcz przeciwnie – siedziała nieruchomo, jak gdyby odliczając sekundy do chwili, gdy podniesie rękę i sięgnie po jeden z rogalików. Następnie również bardzo powoli nabrała na koniec noża kawałek masła i rozsmarowała na grzance. Odczekała jeszcze kilka sekund, po czym nieśpiesznie podniosła rogalik do ust.

Warren udawał, że niczego nie zauważa. Spróbował szampana, którego restaurator nalał mu odrobinę do kieliszka, i skinął głową. Poleciwszy umieścić butelkę w wiaderku z lodem, zamówił jeszcze wodę mineralną.

W tym czasie Nadia nabrała pełną łyżkę zupy i piła ją małymi łyżkami.

Jedli dalej w milczeniu. Warrenowi wydawało się, że w miarę jedzenia cera dziewczyny zaczyna nabierać nieco żywszych kolorów. Kiedy Nadia

skończyła zupę i sięgnęła po szklanę z wodą mineralną, Warren powiedział:

- Radzę wypić choć jeden łyk szampana. To dobrze robi na apetyt.

- Naprawdę myśli pan, że mi go brakuje?

- Znam to z własnego doświadczenia - odpowiedział. - Zdarzało mi się nieraz, że długo nie miałem nic w ustach i myślałem, że jestem bardzo głodny. Tymczasem, usiadłszy do posiłku, odczuwałem zadziwiający brak chęci zjedzenia czegokolwiek.

- Czy i tego nauczył się pan w Afryce?

- Tak - odparł Warren poważnym tonem. - Tego oraz wielu innych rzeczy.

- Chętnie posłucham czegoś jeszcze na ten temat.

- Naprawdę to panią interesuje czy tylko... chce pani być uprzejma?

Po raz pierwszy tego wieczoru Nadia uśmiechnęła się blado.

- W tej chwili interesuje mnie wszystko, co choć na chwilę oderwie moje myśli od zmartwień - powiedziała. - Od tak dawna nie myślałam już o niczym innym...

- Kiedy umarła matka pani?

Przez chwilę dziewczyna milczała, patrząc gdzieś daleko przed siebie.

- Dwa dni temu - powiedziała cicho. - Dziś... dziś rano została pochowana - i jak gdyby chcąc uprzedzić następne pytania, mówiła dalej: - Sprzedałam wszystko: mamy obrączkę ślubną, ubrania i resztę rzeczy, które miałyśmy ze sobą. Lecz nawet to nie starczyło na pokrycie kosztów pogrzebu. Ksiądz, który chował moją mamę, musiał zwrócić się o pieniądze do... instytucji charytatywnej.

Ostatnie słowa Nadia wyszeptała niemal ze wstydem.

- Rozumiem - powiedział powoli Warren. - A więc nie zostało pani już nic oprócz sukni, którą ma na sobie?

- Czy... naprawdę musimy o tym mówić?

- Po to tu przyszliśmy.

- A więc dobrze... powiem panu wszystko. Istotnie, nie mam już nic, nawet kąta, do którego mogłabym wrócić na noc. Czy dziwi to pana, że w takiej sytuacji nurt Sekwany wydał mi się najodpowiedniejszym miejscem?

- Jeśli udałoby się pani zrealizować te plany. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że dzisiejszy wieczór zakończyłby się dla pani w areszcie!

Nadia uniosła głowę i spojrzała Warrenowi prosto w oczy.

- Któż mógłby mi przeszkodzić w tym, co zamierzałam uczynić? Codziennie słyszy się o wyławianych z Sekwany ciałach ludzi, którzy postanowili w ten sposób skrócić swe cierpienia!

- Jest więc pani jednym z tych... szczęśliwców, którzy mają okazję zastanowić się, czy rzeczywiście ich decyzja była słuszna.

- Szczęśliwców? Cóż to za szczęście bez żadnej przyszłości?

Podczas gdy Warren zastanawiał się, co powinien teraz powiedzieć, nadszedł restaurator niosąc potrawkę z kurczęcia. Danie przyrządzone było wyśmienicie. Kawałki delikatnego, duszonego w śmietanie mięsa podano wraz z młodymi ziemniakami i całym zestawem jarzyn.

Tak jak Warren przewidział, Nadia zjadła jednak bardzo niewiele. Wypiła za to trochę szampana. Odkładając nóż i widelec, spojrzała na Warrena ze skrucą.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Miał pan rację. Ja... ja po prostu nie jestem w stanie już więcej zjeść.

Przywoławszy kelnera Warren polecił zabrać talerze i zamówił kawę.

- Proszę mi powiedzieć - zaczął łagodnie - jak to się stało, że znalazła się pani w tak rozpaczliwym położeniu? Zauważyłem, że pani wykształcenie i sposób zachowania są bez zarzutu, tak jak to bywa w najlepszych europejskich domach.

- Nie chciałabym być nieuprzejma - odparła dziewczyna - ale... nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

- Ależ dlaczego? Proszę mi wytłumaczyć!

Nadia splotła nerwowo dłonie i po chwili milczenia powiedziała przerwany głosem:

- Tej historii nie wolno mi opowiadać nikomu... mama i ja... musiałyśmy się ukrywać. W końcu przybyliśmy do Paryża... Pieniądze topniały coraz szybciej. I wtedy... mama zachorowała.

- I resztę zasobów wydała pani na lekarzy! - domyślił się Warren.

Nadia skinęła głową.

- Nie dawali żadnej nadziei - mówiła dalej. - Nie potrafili nawet ulżyć jej w cierpieniu... a ja tak bardzo chciałam, żeby chociaż dobrze jadła... Może nie potrafiłam odpowiednio się nią opiekować... Myślę, że to dobrze, że umarła. To znaczy, że to lepiej... dla niej...

- Rozumiem, co chce pani przez to powiedzieć - rzekł Warren współczująco. - To musi być straszne: patrzeć na cierpienia bliskiej osoby z poczuciem własnej bezsilności!

Mówiąc to myślał o dniu, w którym umarł jego ojciec. Mając za sobą bolesne przeżycia, wiedział, co musiała odczuwać ta delikatna, wrażliwa dziewczyna pochodząca najwyraźniej z dobrego domu.

- Chciałbym, żeby opowiedziała mi pani wszystko od początku - powiedział nachylając się ku niej.

Potrząsnęła głową.

- To niemożliwe - odpowiedziała cicho. - Chciałam... podziękować panu za... wspomniała poczęstunek.

Spojrzała na niego wyczekująco i Warren miał wrażenie, że Nadia spodziewa się, iż wstanie on teraz i odejdzie od stolika.

- Nie myśli chyba pani, że tak od razu pożegnają się i pójdą swoją drogą - powiedział. - Nawet gdybym dał pani teraz pewną sumę pieniędzy, nie uciszyłoby to mojego niepokoju. Myśli pani, że mógłbym spać spokojnie, nie wiedząc, co się z panią dzieje? - Uśmiechnąwszy się, dodał: - Jestem przekonany, że pani też jest ciekawa, jaki będzie koniec tej całej historii!

- Może nie będzie żadnego?

- Nonsens! Sama pani nie wierzy w to, co mówi! Zarówno w pani życiu, jak i w moim zakończył się jedynie pewien rozdział. W naszym wieku należy mieć nadzieję, że następne będą o wiele bardziej zajmujące!

Nadia patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Co... ja mam teraz zrobić? - spytała bezradnie jak dziecko zagubione w ciemności.

- Mam pewien pomysł, jak rozwiązać pani i moje problemy jednym posunięciem. Jest to dość śmiały plan i przyznam się, że mam obawy przed zaprezentowaniem go pani!

- Wcale nie musi pan tego robić.



- Właśnie, że muszę. Im dłużej się nad nim zastanawiam, tym bardziej widzę, że wszystko układa się w jedną logiczną całość.

- To, co pan mówi, brzmi... dość niezwykle - powiedziała Nadia ostrożnie.

Warren spojrział na nią i zrozumiał, że dziewczyna ponownie zważyła w szczerość jego intencji. Siedziała na brzegu krzesła, wpatrując się w niego z napięciem. Kilka krótkich spojrzeń rzuconych w stronę drzwi świadczyło o tym, że w każdej chwili gotowa jest rzucić się do ucieczki. Zrobiłaby to z pewnością, gdyby Warren zbyt pochopnie przedstawił jej swoje plany.

- Niech pani tego nie robi, proszę - powiedział patrząc na nią poważnie. - Teraz ja opowiem pani moją historię.

Zaskoczona tym, że jej myśli zostały odczytane, Nadia oblała się rumieńcem. Patrząc na nią Warren stwierdził ze zdumieniem, iż w swoim zmieszaniu wygląda nadspodziewanie uroczo.

## Rozdział 3

Starannie dobierając słowa, Warren zaczął swoją opowieść:

- Wspomniałem już pani, że jestem tylko przejazdem w Paryżu w drodze powrotnej z Afryki. Przez niemal dziesięć miesięcy nie miałem wiadomości z domu ani nie czytałem żadnych gazet.

Stwierdziwszy, że Nadia słucha go z coraz większą uwagą, mówił dalej:

- Decyzja o wyprawie do Afryki była desperackim krokiem z mojej strony. Za wszelką cenę chciałem bowiem zapomnieć o pewnej kobiecie, z którą byłem sekretnie zaręczony. Odeszła ode mnie, skoro tylko udało jej się znaleźć mężczyznę stojącego wyżej w hierarchii społecznej. Okazało się, że nie pragnęła miłości, lecz tytułu i zaszczytów!

Przez cały wieczór Warren starał się przemawiać do Nadii głosem łagodnym i ściszym. Teraz jednak, kiedy powróciły wspomnienia pamiętnej rozmowy z Magnolią, nie zdołał opanować wzburzenia, które zabrzmiało w jego głosie i odmalowało się na twarzy.

- Kiedy poszedłem na spacer po bulwarach – ciągnął zmarszczywszy brwi – zastanawiałem się nad jednym: jak po powrocie do Anglii uniknąć spotkania z tą pełną fałszu i obłudy kobietą! – Zaciskając pięści dokończył: – Porzuciłem już myśl o samobójstwie. Sądzę jednak, że teraz byłbym zdolny do morderstwa!

Nadia patrzyła na niego zaskoczona. Jej duże, wyraziste oczy wyrażały współczucie. Przestraszona nieco gwałtownością słów Warrena, przycisnęła splecione dłonie obronnym gestem do piersi. Młody człowiek spostrzegł to i dodał łagodniejszym tonem:

- Proszę mi wybaczyć. Nie powinienem był tracić panowania nad sobą. Mam jednak nadzieję, że zrozumie pani moją sytuację i... spróbuje mi pomóc.

- Z całego serca pragnęłabym pomóc panu – powiedziała Nadia po chwili milczenia. – Nie wiem tylko, czy... i w jaki sposób byłoby to możliwe.

- Zanim spotkałem panią dzisiejszego wieczoru nad Sekwaną, myślałem tylko o jednym: jak odplacić pięknym za nadobne tej kobiecie, która zraniła mnie tak, że chciałem skończyć ze sobą! – Zastanowiwszy się przez chwilę, Warren mówił dalej: – Spośród wielu pomysłów, które przychodziły mi do głowy, najbardziej przypadł mi do gustu taki: aby opłacić aktorkę, która pojechałaby do Anglii wraz ze mną.

- I co chciałby pan przez to osiągnąć? – spytała Nadia zaskoczona.

- Zrozumiałem, że istnieje tylko jeden sposób, aby przekonać tę kobietę, że nic już dla mnie nie znaczy – wyjaśnił Warren. – Muszę powrócić do domu z żoną lub narzeczoną u boku.

Oczy Nadii rozszerzyły się nagle, gdyż pojęła cel, ku któremu zmierzał Warren. On jednak milczał, jak gdyby uznał, że powiedział już dosyć. Dziewczyna zapytała:

- I... zamierza pan... znaleźć tę aktorkę?

- Nie będę miał na to czasu. Jutro rano wyjeżdżam. Wysłałem już telegram do matki.

- A więc... dlaczego mówi mi pan o tym? – wyszeptała Nadia tak cicho, że Warren ledwo ją usłyszał.

- Zdradziłem pani moje plany – powiedział – ponieważ uważam, że nasze spotkanie było zrządzeniem losu. Zupełnie tak, jakby jakaś niewidzialna siła czuwała dzisiejszego wieczoru zarówno nad panią, jak i nade mną.

- Nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałam?

- Proponuję, żeby to pani pojechała ze mną do Anglii, podając się za moją narzeczoną. Proszę się nie obawiać, że narazi pani na szwank swoje nazwisko. Wymyślimy pani zupełnie inne i żeby moja zemsta była całkowita, wymyślimy również tytuł dla pani!

Uśmiechnął się z gorzką ironią wypowiadając ostatnie słowa. Widząc jednak przerażenie w oczach Nadii, pospieszył z wyjaśnieniem:

- Chciałem panią prosić o odgrywanie tej roli tylko do pewnego czasu, dopóki to będzie konieczne. Potem oznajmimy wszystkim zainteresowanym, że zerwaliśmy zaręczyny. Kiedy już będzie po wszystkim, dam pani wystarczającą sumę pieniędzy, aby zapewnić jej dostatnie życie przez długi czas. Spróbujemy też odszukać pani krewnych z rodziny Charringtonów.

Warren przerwał, gdyż w oczach Nadii dostrzegł nagle niedowierzanie.

- Pan... żartuje, prawda? – spytała unosząc brwi.

- Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej poważnie.

- Ależ to...niemożliwe! Jak mogłabym...uczynić coś takiego?

- A dlaczego nie?

- Chociażby dlatego, że... zna mnie pan zaledwie od kilku kwadransów. Nic pan nie wie o... mnie.

- To nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Najważniejsze jest to, że nikt w Anglii pani nie zna. Uwierzą we wszystko, cokolwiek im powiemy.

- Mogłabym... źle odegrać tę rolę. Wszystko może... wyjść na jaw.

- Nie ma powodu do takich obaw. Ewentualne *faux pas*, których nie darowano by pani jako Angielce, przejdą nie zauważone, ponieważ będzie pani występować jako cudzoziemka.

Nadia spojrzała na Warrena zaskoczona i niespodziewanie roześmiała się.

- Nie mogę uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę - powiedziała. - Mam wrażenie, że śnię albo... że przez pomyłkę trafiłam do jakiejś zwariowanej komedii!

- Jeśli już mowa o teatrze, sądzę, że jest to raczej dramat, który łatwo mógłby przeistoczyć się w tragedię!

Warren zamyślił się wspominając posępnie, jak bardzo był zdesperowany, gdy Edward znalazł go nad szklanką brandy w klubie. Pamiętał jeszcze, jak długo goiły się rany, które jego sercu zadała Magnolia. Minęło wiele miesięcy życia wśród niewygód i niebezpieczeństw na pustyni, zanim przestały go nachodzić złe myśli. I chociaż zranione serce dawno przestało już boleć, ślad po tym, co było, pozostał w jego duszy na zawsze.

- A może, gdy... zobaczy pan tę damę znowu - powiedziała Nadia jakby czytając w jego myślach - zrozumie pan, że... kocha ją nadal i zechce pan... jej przebaczyć?

- Nigdy! - wykrzyknął Warren ze zmienioną nagle twarzą, uderzając zaciśniętą pięścią w stół, aż zadźwięczały szklanki. - Przenigdy! - powtórzył z mocą. - Nadiu, powiem pani całkiem szczerze: skończyłem już na zawsze z miłością! Kiedyś się pewnie ożenię, aby zapewnić spadkobiercę rodu. Będzie to jednak małżeństwo z rozsądku: przemyślane i przypieczętowane kontraktem! Francuzi, którzy wymyślili takie związki, bardzo je sobie chwala! - Kąciki jego ust wygięły się ku dołowi w gorzkim uśmiechu, gdy mówił: - Kto raz się sparzył, na zimne dmucha. Nigdy już nie dam się upokorzyć żadnej kobiecie!

- Rozumiem, co pan czuje - powiedziała Nadia. - Sądzę jednak, że w pana nieszczęściu był też i łut szczęścia. Czyż nie lepiej było przed ślubem przekonać się o tym, jaka jest w istocie ta kobieta?

Warren spojrział na nią zdumiony trafnością tej uwagi. Podobne myśli nieraz snuły mu się po głowie, nigdy ich jednak nie wypowiedział, nawet przed sobą samym.

Jego gietka wyobraźnia natychmiast przedstawiła mu obraz tego, co mogłoby się zdarzyć, gdyby Magnolia, będąc już jego żoną, doszła do wniosku, że wolałaby być z Raymondem... Jak wyglądałoby ich wspólne życie wypełnione bezustannymi wyrzutami, że nie mieszkają w Buc-

kwood, a ona nie ma tytułu markizy... A on był kiedyś przekonany, że Magnolię zadowoli zamieszkanie w niewielkim majątku ziemskim!

Słowa Nadii uświadomiły mu, że życie takie byłoby jednym wielkim pasmem cierpienia i bólu. Okrutny cios, jaki zadała mu Magnolia, objawiając nagle swoje prawdziwe oblicze, był bardzo bolesny, lecz uratował go przed nieporównanie większą tragedią. Czym bowiem mogły być długie lata spędzone u boku kobiety, która nie potrafiłaby szczerze odwzajemnić jego uczuć?

Uwolnwszy się z trudem od tych rozważań, Warren powiedział:

- Powróćmy teraz do naszej obecnej sytuacji. Czy pomoże mi pani?
- Naprawdę myśli pan, że potrafię to uczynić?

Spojrzał na nią uważnie.

- Mogę mówić całkiem szczerze? - spytał, a gdy skinęła głową, wyjaśnił: - Pochodzi pani z dobrego domu. To widać na pierwszy rzut oka. Nie muszę pytać o wykształcenie, bo wiem, że otrzymała pani bardzo staranne. Gdyby jadła pani ostatnio nieco lepiej i włożyła nową suknię, okazałoby się, iż jest pani niezwykle piękną młodą damą.

Warren mówił to wszystko obojętnym, chłodnym tonem, całkowicie nieświadom wrażenia, jakie wywarły na Nadii jego słowa. Policzki jej zaróżowiły się lekko, co sprawiło, że wymizerowana twarz promienieć zaczęła delikatnym dziewczęcym wdziękiem. Nie była już stroskana, zabiedzona istotą, tak niedawno jeszcze pogrążoną w rozpacz. W jednej chwili stała się młodą kobietą, która usłyszała komplement od mężczyzny.

Nagle oczy jej posmutniały.

- Powiedział pan: gdybym włożyła inną suknię... - szepnęła z rozpaczą. - Ależ... mówiłam już panu, że ja... nie mam nic! Sprzedałam wszystko, nawet... moje buty - dodała rumieniąc się ze wstydu.

- A więc nie mamy chwili do stracenia - odrzekł Warren zerkając na swój złoty zegarek z dewizką.

Było już prawie pół do dwunastej.

Warren uniósł rękę przywołując właściciela restauracji i poprosił o rachunek. Otrzymawszy go położył plik banknotów na talerzyku, po czym podniósł się od stołu.

- Chodźmy już! - rzekł podając ramię Nadii. - Teraz musimy znaleźć jakiś powóz, a potem przedstawię pani dalszy plan działania.

Dziewczyna siedziała jednak nieruchomo, ze spuszczoną głową. Warren domyślił się, że nie zrezygnowała jeszcze całkiem z myśli o ucieczce i powrocie nad rzekę. Postanowił nie ponaglać jej więcej. Milcząco oczekiwał na ostateczną decyzję Nadii.

I nagle, jak gdyby jakiś wewnętrzny głos nakazał jej porzucić myśl o śmierci, Nadia uniosła głowę i uśmiechnęła się lekko do Warrena. Powstawszy od stołu oparła się na ramieniu swego towarzysza. Wyszli razem z restauracji i skierowali się w stronę głównego bulwaru. Zgodnie z przewidywaniami Warrena wkrótce napotkali wolną dorożkę.

- Rue de Rivoli, na nocny targ! - rzucił Warren pomagając wsiąść Nadii.

- Bien, monsieur! - odpowiedział dorożkarz zadowolony, że o tak późnej porze udało mu się znaleźć klientów.

- Dlaczego jedziemy na nocny targ? - spytała Nadia, kiedy dorożka toczyła się przez puste ulice.

- Ponieważ jest to jedyne miejsce czynne jeszcze o tej porze - wyjaśnił Warren. - A ja muszę kupić pani płaszcz i jakiś kapelusz, zanim udamy się do mojego hotelu.

Nadia rzuciła mu krótkie, spłoszone spojrzenie. Aby uspokoić ją dodał:

- Żona właściciela hotelu jest bardzo zaradną kobietą. Zamierzam poprosić ją, aby pomogła pani zaopatrzyć się szybko w odzież niezbędną na podróż do Anglii. Kiedy już znajdziemy się na miejscu, moja matka zajmie się skompletowaniem reszty ubrań. Powiem jej, że pani bagaż zaginął w czasie podróży do Paryża.

- Czy pana matka w to uwierzy?

- Obydwoje musimy sprawić, aby tak się stało. Najpierw jednak ustalimy, jaką wersję podać madame Blanc. Obawiam się, że jest ona nieco... wścibska.

Warren zamilkł, ponieważ dorożka przejechała już przez most, za którym niedaleko zaczynała się rue de Rivoli. W miejscu, gdzie ulica ta łączyła się z placem de la Concorde było mnóstwo niewielkich sklepików,

z których część pozostawała otwarta przez całą dobę. Tuż obok znajdował się „pchli targ” – jak nazwano szereg straganów ustawionych wprost na ulicy. Można było tu kupić wszystko: żywność, używane ubrania i najdziwniejsze przedmioty – o każdej porze dnia i nocy.

Warren polecił dorożkarzowi czekać i podawszy dłoń Nadii pomógł jej wsiąść. Trzymając ją mocno pod ramię, zaczął przedzierać się przez nocny tłum kłębiący się po „pchlim targu”. O tej porze zamykano już większość restauracji, kończyły się spektakle w teatrach i rewie. Na ulice wylegli rozbawieni bywalcy nocnych lokali. Zewsząd słychać było śmiechy i żartobliwe docinki.

Przeciskając się zręcznie przez rozbawioną cizbę, Warren dotarł wraz z Nadią do sklepu, którego witryny były wciąż jeszcze rześkie oświetlone, a drzwi otwarte.

Wewnątrz, obok bogato zdobionych sukien, wisiało na wieszakach kilka lekkich płaszczy. Paryżanki używały ich zazwyczaj do okrywania swych wieczorowych strojów.

Warren zdjął jeden z nich, lecz uznawszy, że jest przesadnie strojny, odłożył na bok. Wybrał inny, uszyty z ciemnoniebieskiego materiału, i zarzucił Nadii na ramiona.

Skrojona obszernie pelerynka leżała doskonale, a sięgając niemal do samej ziemi zakrywała ubogą, znoszoną suknię dziewczyny. Warren uznał, że zrobił dobry wybór.

– Teraz proszę, aby dobrała pani sobie kapelusz – powiedział i wskazał odpowiednią półkę.

Leżały tam przeróżne nakrycia głowy: słomkowe, aksamitne, zdobione bogato sztucznymi kwiatami i inne – całkiem skromne i niepozorne.

Nadia zawahała się.

W końcu, nie rzuciwszy nawet okiem na strojne cacka, wybrała niewielki granatowy kapelusik o niezwykle zgrabnym kształcie, przyozdobiony jedynie szeroką czarną wstążką.

Przymierzyszy go, odwróciła się, patrząc pytająco na swego towarzysza.

- Znakomicie! - wykrzyknął z uznaniem Warren, wręczając pieniądze zmęczonej ekspedientce, która najwyraźniej marzyła już tylko o zamknięciu sklepu.

Kiedy wsiedli do dorożki, Warren podał woźnicy adres hotelu i zwrócił się do Nadii:

- Teraz czas na pani rolę w tej sztuce! Sam jestem ciekaw, czy okaże się pani dobrą aktorką!

- To, co pan mówi... przeraża mnie nieco.

- Nie ma powodu bać się madame Blanc. Muszę się jednak przyznać, że kiedy byłem młodszy, nieraz czułem onieśmienie wobec tej okazałej damy! - dodał uśmiechając się Warren.

Nadia westchnęła lekko.

- Proszę powiedzieć mi, co mam robić - poprosiła.

Warren skinął głową.

- Ta część mojego planu jest najbardziej ryzykowna - zaczął. - Dziś rano poleciłem właścicielowi hotelu zamówić dla mnie bilet na najbliższy pociąg do Calais. I teraz nagle, w środku nocy, wracam wraz z młodą kobietą. Każdy Francuz jednoznacznie zrozumie taką sytuację!

Widząc zmieszanie na twarzy Nadii, młody człowiek uniósł dłoń w uspokajającym geście i powiedział:

- Zanim przedstawię pani mój plan, muszę zapytać, czy zna pani oprócz angielskiego i francuskiego jakiś inny język?

Zaskoczona tym pytaniem Nadia zawahała się. Widać było, że zastanawia się nad odpowiedzią, której powinna udzielić. Warren wyczuł instynktownie, iż poruszył sprawę, z którą dziewczyna nie chciała się zdradzić.

Warren nie był zdziwiony faktem, że tak łatwo udawało mu się wyczuwać nastroje Nadii. Sądził, że zawdzięcza to swojej intuicji znacznie wyostrzonej w czasie afrykańskiej wyprawy.

- Mówię jeszcze po... węgiersku - wyznała Nadia z wahaniem.

- Znakomicie! - wykrzyknął Warren. - Właśnie tego nam potrzeba. Język węgierski! Nigdy jeszcze nie spotkałem człowieka, który by nim władał! - i uśmiechnąwszy się do Nadii dodał: - To świetnie pasuje do opowieści, którą już sobie ułożyłem. Proszę pamiętać o tym, że nie może



pani zrezygnować całkiem ze swej tożsamości. Im więcej pozostawimy faktów autentycznych, tym lepiej.

- Zupełnie jakbym czytała jakąś powieść przygodową! - stwierdziła Nadia.

- Zrobimy wszystko, by brzmiała wiarygodnie.

- A więc dobrze. Jestem Węgierką. I co dalej?

- Proszę mi podać jakieś nazwisko często spotykane na Węgrzech.

- Ferencs... albo na przykład Rakoczy!

- Ferencs brzmi dobrze - zawyrokował Warren. - A pani ojciec... jest bardzo bogatym węgierskim szlachcicem.

Nadia milczała, a więc mówił dalej:

- Z powodu olbrzymiej fortuny ojca została pani porwana dla okupu. Zdarzyło się to podczas podróży do Paryża.

Przymknąwszy oczy Warren ujrzał w wyobraźni opowiadaną przez siebie historię.

- Mężczyźni, którzy panią porwali, byli bezwzględni i okrutni. Oświadczyli pani ojcu, że zagłodzą panią na śmierć, jeśli nie zapłaci im bardzo wysokiego okupu. Zabrali ubrania, biżuterię i wszystko, co pani posiadała.

- To brzmi... przerażająco! - wykrzyknęła Nadia, lecz lekkie drżenie jej głosu zdradziło, że ma raczej ochotę roześmiać się głośno.

- Zdarzyło się jednak coś, co zapobiegło nieszczęściu - ciągnął Warren śmiertelnie poważnym tonem. - Przeglądając pocztę natrafiłem bowiem na anonim, w którym ktoś zdradzał mi miejsce pani pobytu. Udało mi się wykraść panią niczego nie spodziewającym się opryszkom.

Nadia klasnęła w dłonie.

- To zupełnie tak, jak w jednej z tych powieści, których mama nigdy nie pozwalała mi czytać!

- Teraz musi więc pani nie tylko wczuć się w jej treść - odpowiedział Warren - ale też postarać się, aby inni uznali ją za prawdę.

- Na przykład madame Blanc?

- Dokładnie tak! Ta dama musi być o tym świecie przekonana, żeby zechciała pomóc pani zaopatrzyć się w garderobę potrzebną w podróży.

- Naprawdę myśli pan, że ona... nam uwierzy?

- To zależy od tego, czy dobrze odegramy swoje role!

W kilka godzin później Warren mógł wreszcie położyć się do łóżka. Jednak zanim to uczynił, podszedł do okna i z uśmiechem pełnym satysfakcji spojrzął na osrebrzone księżycowym światłem dachy Paryża. Był teraz całkowicie przekonany o tym, że postąpił właściwie. Nadia nie zawiedzie go na pewno – myślał – ani teraz, ani po przyjeździe do Anglii.

Jak dobrze odegrała swoją rolę zaszokowanej i przerażonej ofiary porwania! Sama wpadła na bardzo dobry pomysł, aby nie odzywać się zbyt wiele. W przypadku kogoś, kto miał za sobą ciężkie przeżycia, było to wszak takie naturalne! Monsieur i madame Blanc wysłuchali opowieści Warrena ze szczerą uwagą. Wymizerowana twarzyczka i duże, pełne smutku oczy Nadii sprawiły, że w madame Blanc odezwały się macierzyńskie uczucia.

- Nie mogłem przyprowadzić mojej kuzynki do hotelu w stanie, w jakim ją zastałem – wyjaśniał Warren. - Kupiłem jej więc trochę rzeczy na targu przy rue de Rivoli. Sama pani jednak rozumie, madame, że Nadia będzie potrzebowała całkiem innych ubrań, aby móc wyruszyć jutro ze mną w drogę do Anglii.

Żona właściciela hotelu zapewniła Warrena, że pomoże skompletować Nadii garderobę i uczyni to rano, kiedy odpowiednie sklepy zostaną otwarte, ponieważ naturalną rzeczą jest, iż mademoiselle la comtesse musi mieć wszystko, co najlepsze.

- Ma pani rację – przyznał Warren. - I proszę pamiętać, że cena nie gra roli.

Mówiąc to zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie niedługo odziedziczy olbrzymią fortunę po stryju i już nigdy więcej nie będzie musiał liczyć się z pieniędzmi. Madame Blanc powiedział natomiast, iż ojciec Nadii zwróci wszystkie koszty poniesione w związku z oswobodzeniem córki.

- Byłoby bardzo niemądrze – mówił uśmiechając się do zażywej damy – gdybyśmy kupili mojej kuzynce jakieś tandetne ubrania, które wyrzuciłaby zaraz po przyjeździe do Anglii. Zresztą, odkąd pamiętam, Nadia była zawsze najlepiej ubraną panną spośród moich kuzynek.

Proszę postarać się, madame, żeby nowe suknie nie ustępowały tym, które zabrali porywacze!

- Ależ oczywiście, monsieur! - zapewniała madame Blanc z zapalem.  
- Etienne! - zwróciła się do swego męża. - Ile czasu pozostało do wyjazdu naszego gościa?

Okazało się, że bardzo mało. Po wielu dyskusjach i perswazjach Warren zgodził się na wieczorny pociąg do Calais, co oznaczało, że jego przyjazd do Anglii ulegnie znacznemu opóźnieniu. Przyznał jednak, że Nadia nie mogłaby z nim podróżować nie mając stosownego ubioru.

Historia porwania, którą tak łatwo przełknęli państwo Blanc, nie nadawała się do opowiadania po drugiej stronie kanału La Manche. Warren planował przedstawić w Anglii zupełnie inną wersję spotkania z Nadią.

Według tego wariantu spotkał Nadię w Paryżu po drodze do Afryki. Zakochał się w niej, a uzyskawszy zapewnienie o wzajemności uczuć poprosił, aby ukochana czekała na jego powrót z wyprawy. Kiedy to nastąpiło, ogłosili oficjalnie swoje zaręczyny i razem udali się w dalszą drogę powrotną.

Taka wersja zdarzeń była dość bezpieczna. Nikt oprócz Edwarda nie wiedział, ile czasu trwał naprawdę ich pobyt w Paryżu i co się wtedy zdarzyło.

Wszystkie elementy zmyślonej historii zaczęły układać się w logiczną całość. Warren poczuł zadowolenie na myśl, że nareszcie znalazł rozwiązanie nurtującego go problemu. Gdyby nie spotkał Nadii, do tej pory zadreślałby się myślami o perfidnym wyrachowaniu Magnolii.

Spojrzał uważnie na dziewczynę rozmawiającą właśnie z madame Blanc. Spostrzegł, że Nadia wygląda na zmęczoną i wyczerpaną. Tyle zdarzyło się tego wieczoru!

- Jestem pewien, madame - zwrócił się do żony właściciela hotelu z czarującym uśmiechem - że zaopiekuje się pani troskliwie moją kuzynką. Jutro chciałbym zabrać Nadię ze sobą do Anglii. Jestem pewien, że moja matka będzie wstrząśnięta słysząc o jej perypetiach.

- Nie wątpię, monsieur - przytaknęła madame Blanc. - Mademoiselle może zająć pokój mojej córki, która przebywa na wsi u przyjaciółki.

- Będę pani bardzo zobowiązany, madame.

Zażywna dama zaprowadziła Nadie do sypialni na piętrze i poczęstowawszy gorącym mlekiem pomogła jej się rozebrać. Była przerażona widząc, w jak żalonym stanie jest cała odzież dziewczyny, i przyrzekła sobie, iż dołoży wszelkich starań, żeby zakupione nazajutrz suknie były jak najpiękniejsze. Zaczęła też planować, ile sztuk bielizny, par rękawiczek, butów i pończoch trzeba będzie zamówić już z samego rana.

- Wstanę jutro bardzo wcześnie - powiedziała uśmiechając się do Nadii. - Rozejrzę się trochę po sklepach i wybiorę kilka rzeczy w pani rozmiarze. Nie będzie to trudne, ponieważ jest pani bardzo szczupła. Kiedy się już pani obudzi i zje śniadanie, pójdziemy do miasta razem i powie mi pani, czy mój wybór był trafny.

- Jestem przekonana, madame, że wskazanym przez panią sukniom nie będzie można nic zarzucić! - odpowiedziała Nadia.

Patrząc na rozmarzony uśmiech gospodyni Nadia pomyślała, że nie ma Francuzki, która nie czułaby się uszczęśliwiona, mogąc wydać nieograniczoną sumę pieniędzy na ubiory, nawet jeśli miały być one kupowane dla innej kobiety!

Dziewczyna była jednak tak znużona wydarzeniami dzisiejszego wieczoru, że zasnęła niemal natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki.

Madame Blanc zamknęła cicho drzwi sypialni i zeszła na dół, gdzie Warren wraz z jej mężem nadal prowadzili ożywioną rozmowę.

- Biedna ptaszyna. Taka była zmęczona! - rzekła wzdychając.

- Mam nadzieję, że podróż do Anglii nie wyczerpie jej zbyt - powiedział z troską Warren. - Muszę jednak jak najszybciej znaleźć się w domu.

- Obawiam się, że znam powód pana pośpiechu - odparła madame Blanc. - Nie chciałam jednak wspominać o tym przy mademoiselle la comtesse.

- Co ma pani na myśli? - spytał Warren zdziwiony.

W odpowiedzi gospodyni wręczyła mu najświeższy numer „Le Temps”, wskazując artykuł zamieszczony na pierwszej stronie.

Warren pochylił się nad gazetą i czytając doznał dziwnego wrażenia, że i tym razem przeczucie go nie zawiodło:

## ŚMIERĆ ANGIELSKIEGO ARYSTOKRATY

*Z głębokim żalem dowiedzieliśmy się dzisiaj o śmierci markiza Artura Wooda, pana na Buckwood. Smutny ten fakt nastąpił w posiadłości markiza, w hrabstwie Oxfordshire...*

Następnie gazeta wymieniała funkcje, które pełnił zmarły na dworze królewskim, oraz opisywała liczne majątki rodowe rozsiane po całej Anglii. Wspomniano również o wizycie markiza w Paryżu z okazji otwarcia Wystawy Światowej. Artykuł kończył się następującymi słowami:

*Jedyny syn markiza zmarł niedawno w wyniku obrażeń doznanych wskutek upadku z konia. Zgodnie z prawem tytuł oraz cały majątek przypadają w spadku bratankowi zmarłego. Mr. Warren Wood od kilku miesięcy przebywa jednak za granicą i prawdopodobnie nic jeszcze nie wie o całej sprawie.*

*Radcy prawni i zarządcy majątku rodziny Wood czynią wszystko, co w ich mocy, aby skontaktować się ze spadkobiercą.*

- Pozwoli pan, że złożę mu najszczerze kondolencje i zarazem... gratulacje - powiedział właściciel hotelu, gdy Warren odłożył gazetę.

- Dziękuję. Rozumieją państwo teraz, że mój powrót do domu jest sprawą nie cierpiącą zwłoki.

- Oczywiście, milordzie. Nie będzie jednak można kupić nowych sukien dla mademoiselle la comtesse, dopóki sklepy nie zostaną otwarte...

- Rzeczywiście - skinął głową Warren - w obecnej sytuacji odpowiednie ubranie dla mojej kuzynki jest sprawą niezwykle ważną.

Madame Blanc zamyśliła się na chwilę.

- Czy nie sądzi pan - spytała ostrożnie - że nowe suknie mademoiselle powinny być raczej w czarnym kolorze?

W pierwszym momencie Warren pomyślał, że byłoby to właściwe chociażby ze względu na żałobę po matce Nadii. Jednak wkrótce odrzucił ten pomysł, gdyż uznał, że nie pasuje on do ułożonej przez niego historii. Nosząc żałobę Nadia nie mogłaby wszak zostać jego narzeczoną!

- Nie ma powodu, aby moja kuzynka nosiła żałobę po sir Arturze - powiedział potrząsając głową. - Jesteśmy spokrewnieni poprzez rodzinę mojej matki. Śmierć stryja nie dotyka Nadii w najmniejszym stopniu.

- Jak to dobrze! - wykrzyknęła madame Blanc z ulgą. - Zawsze uważałam, że nawet najpiękniejsza kobieta w żałobie staje się podobna do wrony!

Warren uśmiechnął się. Wiedział dobrze, że Francja jest jedynym krajem, w którym kobiety nawet w żałobie potrafią wyglądać atrakcyjnie. Delikatne wstawki z białej koronki w czarnej sukni, połysk czarnego jedwabiu czy twarz prześwitująca zza delikatnej woalki z czarnego tiulu mało miały wspólnego z ciężką krepą noszoną powszechnie przez angielskie wdowy! Głośno jednak powiedział:

- Pragnąłbym bardzo, aby dzięki pani moja kuzynka znów wyglądała pięknie i sztywnie jak przed tymi strasznymi przeżyciami.

- Mam nadzieję, milordzie, że tych łotrów spotka zasłużona kara.

- Ojciec Nadii, hrabia Ferencs, dopilnuje tego na pewno - odpowiedział Warren. - Bezpieczniej jednak będzie, jeśli wyjedziemy z Francji jak najszybciej. Ludzie tego pokroju, zawiedzeni w swoich nadziejach zdobycia olbrzymiej fortuny, mogą stać się bardzo niebezpieczni!

- To prawda - przyznała madame Blanc. - Musicie państwo koniecznie zdążyć na jutrzejszy wieczorny ekspres do Calais.

- Wszystko jest już załatwione - wtrącił jej mąż. - Osobny przedział w pociągu, najlepsza kabina na parowcu do Dover oraz posłaniec, który gotów będzie spełnić każde pana życzenie w czasie podróży!

- Dziękuję bardzo! - skinął głową Warren.

Stojąc przy oknie w swoim pokoju, Warren wspominał wydarzenia dzisiejszego wieczoru niemal z rozbawieniem.

Jakże niespodziewanie odmieniło się jego życie! Zupełnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Teraz nagle pojawiają się gońcy, lokaje i całe roje służby gotowej wypełniać jego polecenia na pierwsze skinienie. W Anglii zaś czekać na niego będzie cały zastęp radców prawnych, sekretarzy i administratorów, których zadaniem było zarządzanie ogromnym majątkiem stryja. To dzięki starannemu doborowi tych ludzi wszystko zorganizowane było tak sprawnie i działało bez zarzutu jak dobrze naoliwiony mechanizm skomplikowanej maszyny. Dzięki temu Warren nie spodziewał się żad-

nych nieprzewidzianych kłopotów, które mogłyby zakłócić przejęcie rządów przez nowego markiza.

„Mam szczęście. Mam niewiarygodne szczęście!” – pomyślał.

Światło księżycy zalewało srebrzystą poświatą cały pokój. Warren zasunął zasłony i poszedł spać.

Kiedy Warren wraz z Nadią opuścili pokład parowca, który przywiózł ich do Dover, zamówiona wcześniej salonka czekała już podstawiona na torach.

Niemal przez cały czas kiedy parowiec pokonywał mozolnie szare wody kanału La Manche, Nadia spała w komfortowej kabinie Warrena. Nowy markiz Wood przechadzał się po pokładzie wdychając słoną bryzę morską i podziwiając widok zachodzącego słońca. Wiele rozmyślał też nad swoją nową sytuacją, która z każdą chwilą wydawała mu się coraz bardziej pociągająca. I nie tylko dlatego, że kosztowne luksusy, na jakie mógł sobie teraz pozwolić, stanowiły tak wielki kontrast z warunkami życia w Afryce. Warren powoli zaczął sobie uświadamiać, że od tej pory w takim zbytku będzie upływać jego życie.

Siedząc naprzeciwko Nadii w salonce pociągu zdrażającego do Londynu, Warren stwierdził, że mimo wyraźnych objawów zmęczenia dziewczyna wygląda niezwykle czarująco.

Młody człowiek uznał, że najwyższy czas ujawnić rzekomej narzeczonej prawdę o odziedziczonym tytule i swojej nowej pozycji. Zauważył, że Nadia wyglądała na zaskoczoną, kiedy jeszcze w Paryżu właściciel hotelu niby mimochodem zwrócił, się do niego „milordzie” zamiast jak zazwyczaj – „monsieur”.

– Kiedy zasnęła pani wczoraj wieczorem – zaczął Warren – państwo Blanc pokazali mi gazetę z artykułem o śmierci mojego stryja.

– Przykro mi bardzo, że pański stryj nie żyje – powiedziała Nadia patrząc na niego ze współczuciem.

– Prawdę mówiąc, spodziewałem się tego – odparł Warren. – Matka uprzedziła mnie listownie o jego chorobie. Po nagłej śmierci swego jedynego syna stryj po ataku serca zapadł w śpiączkę. Utrata ich obydwu

oznacza, że jestem obecnie szóstym markizem Wood, panem na Buckwood!

Nadia milczała patrząc przez okno.

– To znaczy, że jest pan teraz kimś naprawdę ważnym, prawda? – spytała po chwili.

– Tak, bardzo ważnym – odpowiedział Warren. – Nie miałem nawet czasu, żeby oswoić się z tą myślą. Nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, iż mogę odziedziczyć ten tytuł!

– Cieszę się, że los się do pana uśmiechnął. Obawiam się jednak, że... ta dama, o której pan mówił, będzie jeszcze bardziej zawiedziona!

– A nawet wściekła! – stwierdził Warren nie bez satysfakcji w głosie. Po chwili jednak szybko zmienił temat: – Przecwiczmy teraz nową wersję naszego opowiadania. Tym razem musimy dopracować najdrobniejsze szczegóły.

– Tak się boję, że wszystko zepsuje! I że wtedy pan będzie... wściekły na mnie!

– Przrzekam pani, że nic takiego się nie stanie – powiedział Warren. – Po tym, jak wspaniale odegrała pani swoją rolę wobec państwa Blanc, wróżę pani pewną karierę na deskach teatru „Drury Lane”!

Na wspomnienie wieczoru w hotelu „Meurice” Nadia roześmiała się z rozbawieniem.

– Patrząc na nowe bagaże pani sędzę, że nie musimy już biegać po sklepach w Londynie. Ma pani chyba dosyć ubrań na kilka tygodni pobytu na wsi.

– Obawiam się, że madame Blanc wydała bardzo dużo pieniędzy – szepnęła Nadia ze skruchą.

– To nie ma żadnego znaczenia. Najważniejsze, że wygląda pani odpowiednio, aby odegrać swoją rolę.

– Pod tym względem pana chyba nie zawiodę – odpowiedziała Nadia. – Nigdy w życiu nie miałam tylu pięknych sukien. To niesamowite, że madame Blanc zdołała kupić je wszystkie tak szybko! – Roześmiała się cicho i dodała: – Mam wrażenie, że spędziła noc na wyciąganiu z łóżek różnych krawcowych. Wygadała się przypadkiem, że w jednej z pracowni szwaczki musiały stawić się do pracy o czwartej nad ranem. Powiedziała



im, że szykują wyprawę ślubną! Oczywiście zostały odpowiednio opłacone.

Teraz roześmiał się i Warren.

– Nie wydaje mi się, żeby miały ochotę przyjmować tego dnia jeszcze inne zamówienia! – powiedział.

– Madame mówiła mi, że były bardzo zadowolone z tak dużego obstalunku. Zgodziły się też uszyć trzy inne suknie, które madame Blanc odbierze później!

– Oto przykład francuskiej fantazji! – uśmiechnął się Warren. – Paryżanka nie przegapi żadnej okazji, aby sprawić sobie coś nowego. Myślę, że suknie pani kosztowały dwa razy drożej, niż gdyby były szyte w normalnym tempie. Mam nadzieję, że są tego warte.

– Chciałabym bardzo, aby spodobały się i panu. Czuję się nieco zakłopotana z powodu poniesionych przez pana kosztów.

Warren zmarszczył brwi.

– Zapłaciłbym sto razy więcej, gdybym wiedział, że w ten sposób osiągnę zamierzony cel! – powiedział ostrym tonem.

Zmiana, która zaszła nagle w jego zachowaniu, sprawiła, że Nadia spojrzała na niego zaskoczona. Widząc, że Warren z trudem stara się zapanować nad sobą, szybko zmieniła temat. Zasypując go lawiną pytań dotyczących Buckwood, bliższych i dalszych członków rodziny sprawiła, że z wolna twarz jego zaczęła przybierać spokojniejszy wyraz.

Nadia okazała się zadziwiająco pojętną uczennicą. Z łatwością zapamiętywała skomplikowane koligacje rodzinne, o których mówił Warren. Wkrótce była w stanie wymienić nawet dalszych krewnych wraz z tytułami i nazwami ich majątków ziemskich. Warren domyślił się, że temat rozmowy nie był dla dziewczyny nowością.

Im dłużej przebywał z Nadia, im dłużej patrzył na nią, tym bardziej był pewien, że w żyłach jej płynie błękitna krew. Pomimo iż nigdy nie mówiła o sobie, przeczuwał, iż ukrywa jakąś tajemnicę związaną z przeszłością, o której nie chce opowiadać. Wiele oddałby za to, żeby móc poznać ten sekret.

Nie była to jednak chwila odpowiednia na skłanianie Nadii do zwierzeń. Poza tym czy miał prawo wtrącać się w nie swoje sprawy? Mogła przecież przyjąć to jako zwykłą, nieposkromioną ciekawość.

Należało dołożyć starań, aby wszyscy najbliżsi Warrena byli przekonani, że jest on w Nadii bardzo zakochany i zamierza ożenić się z nią jak najszybciej. Powinni również uważać ją za idealną kandydatkę na przyszłą panią Wood.

- Kiedy byliśmy jeszcze w Paryżu - zaczął - planowałem, że powiem w Anglii, iż jest pani węgierską księżniczką. Po namyśle uznałem jednak takie posunięcie za zbyt ryzykowne. Zawsze może znaleźć się ktoś, kto zna węgierskie książęce rodziny.

- To prawda - przyznała Nadia z powagą. - O wiele bezpieczniej będzie nazywać mnie hrabianką. Nigdzie na świecie nie widziałam tylu hrabiów, co na Węgrzech.

Warren słyszał niegdyś, że jeśli nawet taki węgierski hrabia posiadał dziesięcioro dzieci, każde z nich miało prawo do tytułu. W Anglii dziedziczył go jedynie najstarszy syn arystokraty.

Widząc, że Warren wygląda na lekko rozczarowanego, Nadia dodała szybko:

- Nie widzę powodu, dla którego nie mógłby pan powiedzieć, że moja matka pochodziła z książęcej rodziny.

- To brzmi już lepiej - ożywił się Warren.

- W pobliżu granicy Rosji z cesarstwem austrowęgierskim - zaczęła Nadia z wahaniem - mieszka wiele rodzin, w których żyłach płynie królewską krew. Mimo to nie uczestniczą w rządzeniu państwem...

- Wiem o tym - powiedział uśmiechając się Warren. - Ten pomysł z książęcym pochodzeniem pani matki jest naprawdę bardzo dobry. Czy mogłaby pani podać jakieś nazwisko dużej książęcej rodziny?

- Oczywiście - odpowiedziała Nadia. - Na przykład... Rakoczy. Tylu ich jest wśród arystokracji, że nikt na pewno się nie zorientuje, z której gałęzi rodu mogłaby pochodzić moja matka.

- A jakie nadamy jej imię?

- Może Olga?

- Świetnie! - wykrzyknęła Warren. - Księżniczka Olga! Jako córka jej i bogatego właściciela ziemskiego, hrabiego Victora Ferencsa, stanowi pani idealną partię dla przyszłego markiza Wood!

- Jak najbardziej! - powiedziała Nadia unosząc brwi. - Obawiam się tylko, że moja rodzina może uznać, iż to markiz Wood jest dla mnie niezbyt odpowiednią partią!

Obydwoje jednocześnie wybuchnęli śmiechem. Patrząc na uroczą, jasną twarz Nadii, Warren pomyślał już chyba po raz setny z ulgą, że ta niezwykła dziewczyna nie zdołała zrealizować tego, co zamierzała, wpatrując się nie tak dawno w leniwy nurt Sekwany.

Do domu lady Elizabeth dotarli tuż po północy. Nadia sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej, mimo iż nie poskarżyła się ani słowem.

Kiedy wysiedli z powozu, który przywiózł ich ze stacji kolejowej w pobliżu Buckwood, lady Wood czekała na progu domu.

- Powinnaś już dawno spać, mamo! - powiedział z wyrzutem Warren, podchodząc do niej szybko i całując w oba policzki. - Wcale nie musiałaś czekać na mnie tak długo!

- Nie mogłabym zmrużyć oka, dopóki nie ujrzałabym cię całego i zdrowego - odpowiedziała matka. - Mój kochany chłopcze! Jakże się cieszę, że nareszcie jesteś w domu!

Pocałowała go serdecznie jeszcze raz, a później spojrzała ze zdziwieniem na Nadię.

- Mamo - powiedział Warren uroczystym tonem zwracając się ku Nadii - pozwól, że przedstawię ci hrabiankę Nadię Ferencs. Jestem bardzo szczęśliwy mogąc oznajmić, że zgodziła się ona zostać moją żoną!

Wiedział, że wiadomość ta zaskoczy matkę. Tak jak się jednak spodziewał, lady Elizabeth nie dała tego po sobie poznać i skinąwszy głową z pełną wdzięku godnością powiedziała:

- Mam nadzieję, mój synu, że będziecie bardzo szczęśliwi! - Następnie podała Nadii rękę mówiąc: - Cieszę się, że będę miała synową. Pragnę przyjąć cię, dziecko, jak córkę do naszego domu.

Mówiła głosem tak łagodnym i serdecznym, że w oczach Nadii pojawiły się łzy. Warren domyślił się, że dziewczyna pomyślała w tej chwili o własnej, tak niedawno zmarłej matce.

Chcąc pomóc Nadii rozproszyć niewesołe myśli, zaczął opowiadać o tym, jak poznał obecną narzeczoną jadąc z Edwardem do Afryki i jak szybko okazało się, że uczucie, które ich łączy, to coś więcej niż przyjaźń.

Warren powiedział też, że Nadia czekała na niego w Marsylii, dokąd przyплыł okrętem wprost z Afryki.

- Oczywiście była tam wraz ze swoją ciotką - dodał prędko, bo dopiero teraz przyszło mu to na myśl. - Chciałem zabrać je do Anglii obie, ale krewna Nadii musiała niestety wrócić na Węgry.

- Słyszac twoje nazwisko, domyśliłam się, że pochodzisz z Węgier - powiedziała lady Elizabeth do Nadii. - Podobno kobiety w tym kraju są bardzo piękne. Teraz mogę się o tym przekonać na własne oczy!

- Dziękuję pani - szepnęła dziewczyna.

- Nadia jest bardzo wyczerpana podróżą - wtrącił się nagle Warren. - Proponuję, żeby czym prędzej udała się na spoczynek. Jutro opowiemy ci wszystko dokładniej, mamó.

- Ależ oczywiście, mój kochany.

Matka Warrena zaprowadziła Nadie do sypialni na piętrze. Wezwawszy pokojówkę zleciła jej pomóc dziewczynie w ułożeniu się do snu. Sama wróciła do salonu, gdzie wraz z Warrenem usiedli naprzeciwko siebie w fotelach przy kominku.

- Tak się cieszę, że zdążyłeś na czas, aby wziąć udział w pogrzebie - powiedziała patrząc na syna z czułością. - Twoje zaręczyny będą dla całej rodziny pierwszą radosną wiadomością od kilku tygodni. Byliśmy bardzo wstrząśnięci nagłą śmiercią Raymonda. I teraz ten biedny Artur...

- Trudno mi było w to wszystko uwierzyć, kiedy czytałem twój list - powiedział Warren.

- I mnie trudno jest pogodzić się z tą myślą - skinęła głową matka. - Wiedz jednak, mój synu, że oczy wszystkich członków naszej rodziny skierowane są na ciebie. Nie wolno ci zawieść ich nadziei.

- Oczywiście, mamó - powiedział Warren i wstając z fotela dodał: - Jestem jednak teraz zbyt zmęczony, aby o tym myśleć. To była bardzo wyczerpująca podróż. Jeżeli pozwolisz, pójdę już spać, a o szczegółach porozmawiamy jutro.

- Nawet pomimo zmęczenia wyglądasz bardzo korzystnie - zauważyła matka patrząc na niego uważnie. - Podoba mi się zwłaszcza ten brązowy odcień skóry.

- Ach, chodzi ci o moją opaleniznę? Nie jest już taka wyraźna. Kilka miesięcy temu wyglądałem jak rodowity Arab!

- Jesteś teraz jeszcze bardziej przystojny niż kiedyś. Sądzę jednak, że słyszałeś to już od tej czarującej młodej damy, która przyjechała razem z tobą!

- Nadia jest trochę nieśmiała, mamó. Poza tym wygląda mizernie, bo niedawno dość ciężko chorowała.

- Wygląda przede wszystkim bardzo młodo i jest pełna wdzięku - odpowiedziała matka.

Warren wiedział, że lady Elizabeth była zawsze niezwykle szczerą w swoich sądach i nigdy nie uciekała się do próżnych pochlebstw dla zjednania sobie kogoś. Poczł zadowolenie na myśl, że Nadia spodobała się matce. Tymczasem lady Wood, po chwili milczenia, powiedziała ostrożnie:

- Muszę cię jednak o czymś uprzedzić. Nie chcę, żebyś poczuł się zaskoczony. Magnolia Keane przebywa obecnie w Buckwood.

Warren osłupiał ze zdumienia.

- Ona jest w Buckwood? Jak to możliwe?

- Przeniosła się tam po wypadku Raymonda wraz z jedną ze swoich starszych krewnych, którą nazywa opiekunką. Nosi żałobę i opowiada wszystkim, jak bardzo pogrążona jest w cierpieniu. Sekretarz stryja Artura mówił mi jednak, że bez przerwy pyta, kiedy wrócisz. Najwyraźniej bardzo liczy na spotkanie z tobą.

- Czy zjawiała się u ciebie, gdy mnie nie było?

- Owszem, ale tylko raz. Nie życzyłam sobie jej przyjąć.

- Nie próbowała widzieć się z tobą później?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Sądzę, że kiedy usłyszała o twoim wyjeździe, chciała koniecznie dowiedzieć się, dokąd i dlaczego wyjechałeś. Przekazałam jej przez pokojówkę, że nie przyjmuję nikogo, kto nie został przeze mnie zaproszony.

Warren wiedział, że lady Elizabeth potrafi bardzo skutecznie pozbywać się natrętów.

- Rozumiesz chyba, mamó, że nie mam ochoty widzieć się teraz z Magnolią - powiedział. - Nigdy ci tego nie mówiłem, ale to właśnie ona była powodem mojego nagłego wyjazdu z Anglii. Zerwała nasze sekretne zaręczyny oświadczając, że ma zamiar poślubić Raymonda!

- Wiedziałaś o tym - odpowiedziała spokojnie matka.

- Wiedziałaś o tym? Skąd? - Warren nie posiadał się ze zdumienia.

- Och, mój drogi! Naprawdę myślisz, że nie wiem, ile to jest dwa razy dwa? Poza tym trudno jest zmusić służbę, żeby nie plotkowała bez przerwy po kątach.

Warren odetchnął głęboko.

- Chcesz powiedzieć, że cała służba w Buckwood wiedziała, w jaki sposób Magnolia wystawiła mnie do wiatru?

- Niestety tak, mój kochany - odpowiedziała matka, kiwając głową ze współczuciem. - Mogę zrozumieć, co wtedy czułeś! Jeśli chcesz znać całą prawdę, wiedz, że nigdy jej nie lubiłam ani nie miałam do niej zaufania.

- Jesteś zatem o wiele bardziej bystra ode mnie!

- Nie dziw się - odparła uśmiechając się lady Wood. - Kobieta może oczarować mężczyznę, ale nigdy nie uda jej się oszukać innej kobiety. Zawsze podejrzewałam, że Magnolii chodzi o pozycję społeczną przyszłego męża. Ta kobieta nie jest zdolna do szczerych, bezinteresownych uczuć!

Warren westchnął ze smutkiem.

- Sprawiałaś, że poczułem się jak głupiec - powiedział. - Sam nie wiem, jak mogłem być taki naiwny!

- Nie ma powodu, abyś robił sobie wyrzuty - zapewniła go matka. - Dziękuję Bogu, że znalazłeś kogoś, kto cię pokochał i chce poślubić dla ciebie samego, a nie dla twojej pozycji w drzewie genealogicznym rodu!

Warren miał nadzieję, że jego śmiech zabrzmiał szczerze.

- Według tego, co słyszałem od Nadii, drzewo genealogiczne naszego rodu jest jeszcze całkiem młodą sadzonką w porównaniu z tym, które opisuje historię jej rodziny - powiedział.

- Wcale się temu nie dziwię - odparła lady Elizabeth. - Naród węgierski zawsze szczyił się swoimi pradziejami. Mój drogi, jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że tym razem trafiłeś na odpowiednią kandydatkę na żonę. Mam nadzieję, iż będziecie bardzo szczęśliwi!

Tuż przed zaśnięciem Warren przypomniał sobie te słowa i zamyślił się głęboko. Czy naprawdę powinien zaczynać nowy rozdział swojego życia od okłamywania matki, która zawsze ufała mu bezgranicznie?

Uświadomił sobie jednak, że obecność Nadii jest znakomitym pretekstem do natychmiastowego wyproszenia Magnolii z Buckwood. Pomyślał też, iż uczyni to z największą przyjemnością.

- Niech лихо porwie tę przewrotną istotę! - mruknął czując narastającą złość. - Jak ona śmiała zjawić się w Buckwood w żałobie po Raymondzie, jakby byli już po ślubie! Przed całą rodziną odegrała scenę ogromnego żalu i rozpacz, aby zaraz potem zasiąść do pisania listu do mnie!

Czy nie popełniał jednak błędu nie doceniając zdeterminowania Magnolii? Znał ją na tyle dobrze, aby wiedzieć, że nie należy do osób, które ustępują łatwo z placu boju. Mogła zacząć desperacką i bezpardonową walkę o uzyskanie upragnionej pozycji.

„Nie ma żadnego powodu, aby się jej obawiać” - powiedział do siebie Warren wzruszając ramionami.

Nie był tego jednak całkiem pewien.

## Rozdział 4

Greyshott pojawił się w domu lady Wood dokładnie o wpół do ósmej rano, tak jak ustalili z Warrenem poprzedniego dnia. Był to starszy już mężczyzna o szpakowatych włosach i statecznym, budzącym zaufanie wyglądzie. Odkąd Warren pamiętał, Greyshott zawsze pracował u stryja Artura jako główny sekretarz. Wczoraj wieczorem czekał na stacji kolejowej, aby powitać nowego pana na Buckwood. Warren kończył właśnie śniadanie.

- Dzień dobry, Greyshott! - powiedział uśmiechając się. - Wczoraj wieczorem bardzo późno poszedłem spać. Mimo to jestem gotów udźwignąć ciężary, które zamierza pan zapewne złożyć teraz na moich barkach!

Sekretarz uśmiechnął się.

- Postaram się, aby nie przytłoczyły pana zbyt, milordzie - powiedział.

- Proszę więc usiąść i przedstawić cały plan dzisiejszej uroczystości - powiedział Warren poważniejąc.

Greyshott zasiadł za stołem odprawiwszy gestem lokaja, który nachylił się nad nim z dzbankiem pełnym kawy.

- Chciałbym wiedzieć przede wszystkim, kto przebywa teraz w Buckwood - zaczął Warren, gdy służba opuściła jadalnię. - Proszę powiedzieć mi też, ilu gości możemy spodziewać się na noc.

- Przeczuwałem, że milord zapyta o to - odpowiedział Greyshott. - Obawiam się niestety, że to długa lista. Do czasu pogrzebu pańskiego kuzyna nie wiedziałem nawet, że rodzina Wood liczy aż tyle osób!

- Zawsze stanowiliśmy dość liczną rodzinę - odparł Warren. - Z większością moich dalszych krewnych nie zetknąłem się prawdopodobnie nigdy w życiu.

Sekretarz wręczył mu plik kartek z wypisanymi nazwiskami bliżej i dalej spokrewnionych z lordem Arturem wujów, ciotek, stryjecznych siostr oraz ich małżonków. Obok osób będących członkami rodu Wood na liście umieszczono też nazwiska bliskich przyjaciół zmarłego, którzy przybyli, aby złożyć mu ostatni hołd.

- Mam wrażenie, że dom pęknie w szwach, jeśli umieścimy ich wszystkich naraz w jednym miejscu - zauważył nowy pan na Buckwood.

- Można temu zapobiec - odpowiedział Greyshott. - Niektórych gości trzeba będzie przenieść do sąsiednich majątków.

Warren skinął głową, gdyż był to ogólnie przyjęty zwyczaj.

- Proszę więc zająć się tym niezwłocznie - powiedział przeglądając dalej listę.

Nagle wzrok jego zatrzymał się na dwóch nazwiskach umieszczonych u dołu strony:

*Panna Magnolia Keane*



*Pani Douglas Keane*

Warren spojrział na sekretarza. Przez chwilę milczał, jak gdyby starannie ważąc w myśli słowa, które zamierzał wypowiedzieć.

– Nie widzę powodu, aby panna Keane miała przebywać w posiadłości – oświadczył. – Jeśli tak bardzo pragnie uczestniczyć w pogrzebie lorda Artura, niech przeniesie się do hotelu lub do jakichś mieszkających w pobliżu przyjaciół!

W miarę jak mówił, ton jego głosu stawał się coraz ostrzejszy. Greyshott nie odezwał się ani słowem.

– Sądzę, że domyśla się pan, iż dama, z którą przybyłem, jest moją narzeczoną – ciągnął Warren. – Pragnęlibyśmy jak najszybciej ogłosić oficjalnie nasze zaręczyny. Nie chcąc łączyć tego z pogrzebem stryja postanowiliśmy przełożyć tę ważną dla nas uroczystość na później. Chciałbym jednak, mister Greyshott, aby wyjaśnił pan wszystkim członkom mojej rodziny, w jakim charakterze przebywa tu hrabianka Ferencs!

Wydawało mu się, że sekretarz spojrział na niego z zaskoczeniem. Dodał więc:

– W mojej sytuacji takie oświadczenie brzmiałoby niezręcznie, więc wolałbym, aby to wyszło od pana.

– Oczywiście zrobię, jak milord sobie życzy – skinął głową Greyshott. – Jeśli wolno mi jednak udzielić panu jednej rady: myślę, że wyproszenie z Buckwood panny Keane nie jest obecnie najlepszym posunięciem.

– Dlaczego?

– Będzie się czuła bardzo urażona. Poza tym jest w majątku postacią bardzo popularną od czasu pogrzebu biednego pana Raymonda. Wszyscy wiedzą, że byli sekretnie zaręczeni.

Warren zacisnął usta hamując gniew.

– Nie rozumiem zatem, dlaczego ich zaręczyny nie zostały ogłoszone oficjalnie! – powiedział gwałtownie. – Przecież nie było żadnych przeszkód, aby uczynić to w marcu lub kwietniu!

– Panna Keane bardzo chciała, żeby to nastąpiło jak najszybciej – wyjaśnił spokojnie Greyshott – ale sir Artur nalegał, żeby wstrzymać się z tym oświadczeniem aż do Bożego Narodzenia.

- Dlaczego tak mu na tym zależało? - spytał Warren zdumiony, unosząc brwi.

Sekretarz wahał się przez chwilę.

- Proszę powiedzieć mi prawdę, mister Greyshott. Muszę ją znać! - powiedział stanowczo młody markiz.

- Myślę, że lord Artur nie lubił panny Keane. On... on domyślał się, że skoro przybyliście razem do Buckwood, zamierzał pan ją poślubić, mi-lordzie.

Warren nie posiadał się ze zdumienia.

- Skąd, na litość boską, stryj mógł o tym wiedzieć?

- Nikt nie powstrzyma plotek szerzących się wśród służby - powiedział cicho sekretarz. - Myślę, że stryj obawiał się o pana. Jest trochę prawdy w tym, co mówią, iż chętniej widziałby pana na miejscu swojego syna!

- I dlatego nie lubił Magnolii? - pytał Warren z niedowierzaniem kręcąc głową.

- Wiem, że błagali go obydwójce, aby zmienił decyzję. On jednak był nieugięty. Oświadczył, że jeśli wytrwają w swym postanowieniu do Bo-żego Narodzenia, pozwoli im ogłosić zaręczyny na dorocznym balu my-śliwskim.

Warren wiedział, jak stanowczy potrafił być stryj Artur. Wyobraził też sobie, nie bez satysfakcji, bezsilną wściekłość Magnolii.

Kiedy Raymond zginął, wszystkie jej plany rozsypały się jak domek z kart.

- Po tym, co usłyszałem od pana, uważam, że obecność tej panny jest w Buckwood wysoce niepożądana! - powiedział twardo Warren, patrząc stalowym wzrokiem na sekretarza. - Im szybciej poprosi ją pan o opuszczenie posiadłości, tym lepiej dla nas wszystkich!

Po wyrazie twarzy Greyshotta poznał jednak, że tamten nie ustąpi tak łatwo.

- Czyżby Raymond sporządził jakiś zapis na jej korzyść w akcie ostatniej woli? - spytał Warren ostrym tonem.

- Prawdopodobnie należała na to - odpowiedział Greyshott. - Lord Artur dowiedział się jednak o wszystkim od prawników młodego hrabiego i zakazał mu dokonywania takich zapisów.

Nie chcąc dalej słuchać o przewrotności Magnolii, Warren zerwał się z krzesła.

- Nie życzę sobie widzieć tej osoby, Greyshott - oświadczył stanowczo.  
- Proszę jej powiedzieć, że jestem tu z moją narzeczoną! Poza tym potrzebuję pokojów, które zajmuje panna Keane wraz ze swą krewną!

- Zrobię, jak milord każe - powtórzył sekretarz głosem, w którym Warren wyczuł nutę niepokoju.

Zakończywszy rozmowę z Greyshottem, młody markiz polecił, aby osiodłano mu konia. Wkrótce pędził poprzez pola w stronę domu, który nie tak dawno należał jeszcze do sir Artura. Kiedy ujrzał z oddali imponującą fasadę posiadłości, pomyślał, że to chyba niemożliwe, aby to całe bogactwo miało należeć teraz wyłącznie do niego.

Widząc połyskujące w słońcu setki okien zrozumiał nagle, jak wielka odpowiedzialność spoczęła niespodziewanie na jego barkach. Musiał teraz dbać nie tylko o ten stary dom wraz z jego mieszkańcami, ale i pielęgnować stare rodowe tradycje kultywowane od wieków przez wszystkich jego przodków.

Jadąc stępą znalazł się wkrótce na obszernym dziedzińcu, na którym stało kilka powozów. Kiedy wszedł do olbrzymiego hallu pełnego greckich posągów i chorągwi upamiętniających bitwy, w których uczestniczyli członkowie rodziny Wood, usłyszał szmer wielu głosów. Posiadłość, zazwyczaj pogrążona w majestatycznej ciszy, w chwilach ważnych dla rodziny stawała się miejscem tłumnym i gwarnym.

Głosy dobiegały z salonu. Zdążając w tamtym kierunku, Warren ujrzał przez otwarte drzwi garderoby wielką ilość wierzchnich okryć i cylindrów poukładanych równo na specjalnych, szerokich ławach. Mimo woli uśmiechnął się. Zarówno widok tych ubrań, jak i gwar dobiegający z sąsiedniej sali, a nawet zapach tego domu - wszystko było mu tak dobrze znane i tak bardzo drogie! Otworzył skrzydło ciężkich drzwi prowadzących do salonu i ruszył na spotkanie z rodziną.

Minęła przeszło godzina, zanim zdołał wyrwać się z czułych objęć ciotek i kuzynek, które zawsze rade były przytulić serdecznie swego przystojnego krewnego. Prawa ręka bolała go też nieco od kordialnych uścisków męskich przedstawicieli rodu. Czuł się trochę znużony tak wylewnym przyjęciem przez tych, których los spoczywał od tej pory w jego rękach. Mimo to ucieszył się z faktu, że wszyscy wydawali się zadowoleni z takiego obrotu sprawy.

Ojciec Warrena, lord John, cieszył się za życia wielkim poważaniem wśród rodziny, a jego jedyne go syna wszyscy krewni rozpieszczali i psuli bez umiaru. Na szczęście Warren był zawsze samodzielny i rozsądnym dzieckiem, co uchroniło go od zbytniego egocentryzmu.

Młody markiz przeszedł do gabinetu, gdzie stryj zazwyczaj załatwiał wszystkie sprawy związane z majątkiem. Po drodze uświadomił sobie, że żaden z krewnych nie wspomniał ani słowem o jego zaręczynach. To oznaczało, że rodzina nie wiedziała jeszcze nic o Nadii. Ciekawe, jakie wrażenie zrobi na nich jego domniemana narzeczona, kiedy już przedstawi ją wszystkim.

Matce oraz służbie polecił, aby nie przerywano snu Nadii, dopóki sama się nie obudzi. Uznał, że dziewczyna nie musi brać udziału w pogrzebie. Wystarczy, jeśli pojawi się na uroczystym obiedzie, który był zaplanowany po zakończeniu ceremonii.

Warren pomyślał, że obecność Nadii będzie dużą niespodzianką dla całej rodziny. Nikt jednak nie powinien czuć się tak zaskoczony jak Magnolia.

Greyshott oczekiwał już na markiza w gabinecie. Wręczył mu szczegółowy plan nabożeństwa, pogrzebu oraz listę gości zaproszonych na obiad.

- Niektórzy przybędą wprost na pogrzeb - powiedział sekretarz. - Panu, milordzie, pozostawiłem zadysponowanie, jak usadzić ich przy stole podczas przyjęcia.

- Czy rozmawiał pan z panną Keane?

- Tak, rozmawiałem - odparł Greyshott. - Odmówiła jednak opuszczenia Buckwood, dopóki nie zobaczy się z panem.

- Powiedziałem już, że nie życzę sobie... - zaczął Warren.

W chwili, gdy to mówił, otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła Magnolia.

Pierwszą myślą Warrena, było, że jest ona jeszcze piękniejsza niż wtedy, kiedy widział ją po raz ostatni.

Zatrzymawszy się na moment w drzwiach, Magnolia rzuciła mu szybkie spojrzenie, po czym z gracją podeszła bliżej. Mimo iż ubrana była w prostą czarną suknię, w jej zachowaniu i wyglądzie było coś, co wyraźnie rozdrażniło Warrena i spowodowało gwałtowny przypływ niechęci do niej.

Mrucząc słowa usprawiedliwienia Greystott szybko opuścił pokój.

Kiedy tylko zamknęły się drzwi, Magnolia powiedziała swym aksamitnym, tak dobrze znanym Warrenowi głosem:

– Nareszcie jesteś z powrotem. Och, kochany, mam wrażenie, że nie widzieliśmy się przez całą wieczność!

Gdy Magnolia pojawiła się w drzwiach, Warren zerwał się z biurka. Teraz jednak usiadł z powrotem na krześle i chłodno powiedział:

– Jestem bardzo zaskoczony widząc panią tutaj!

– Panią? Ależ... gdybym wyjechała po pogrzebie Raymonda, straciłabym okazję spotkania się z tobą. Czy nie dostałeś mojego listu, który wysłałam do Paryża?

– Otrzymałem pani list. Nadszedł trzy dni przed moim przyjazdem do hotelu.

Przez mgnienie oka wydawało się Warrenowi, że dostrzegł cień zaskoczenia na twarzy Magnolii. Rzęsy jej zatrzepotały szybko jak skrzydła spłoszonego ptaka. Panny Keane nie można było jednak łatwo zbić z tropu.

– Napisałam ten list krótko po twoim wyjeździe – oznajmiła spokojnie.

– Nie mogłam go jednak wysłać nie wiedząc, gdzie jesteś ani kiedy zamierzasz wrócić.

– A potem tak się złożyło, że Raymond miał wypadek na koniu, czy tak?

Magnolia wykonała bezradny gest swymi pięknymi, pełnymi ekspresji dłońmi.

- Dlaczego mówisz do mnie w ten sposób? - spytała ze skargą w głosie. - Mówiłam ci już tyle razy, że cię kocham. Zawsze będę cię kochać. Czy nie mógłbyś wybaczyć mi jednej małej chwili słabości? - Westchnęła głęboko. - Kiedy ujrzałam ten piękny dom... nie mogłam już myśleć o niczym innym. Sam przecież mówiłeś, że wyglądam w nim jak...

Jej cichy, łagodny głos brzmiał niegdyś w uszach Warrena jak najpiękniejsza muzyka. I teraz młody markiz miał wrażenie, że omotują go delikatne, jedwabiste nici. Jeszcze chwila, a nie będzie miał siły ich zerwać...

- Szkoda twego czasu, Magnolio! - przerwał jej twardo. - Nie mam ochoty wysłuchiwać dalszych kłamstw! Prosiłem pana Greyshotta, żeby polecił ci opuścić Buckwood. Żądam, abys uczyniła to jak najszybciej!

- Pan Greyshott powiedział mi też, że przyjechałeś razem z narzeczoną. Czy... to prawda? - spytała Magnolia.

- Greyshott zawsze mówi prawdę. Ja też.

- I ty rzeczywiście zamierzasz poślubić kogoś innego, a nie... mnie?

Wypowiadając ostatnie słowo Magnolia przechyliła przekornie swą uroczą główkę. Jej głos zadrżał lekko, jakby z trudem wstrzymywała śmiech.

Zupełnie niespodziewanie dziewczyna okręciła się wokół własnej osi miękim, kocim ruchem i nagle znalazła się tuż przy Warrenie. Unosząc ku niemu olbrzymie, błyszczące oczy zbliżyła swoje usta do jego warg.

- Warrenie, Warrenie - szepnęła cicho. - Kocham cię i ty też nadal mnie kochasz. Ani ty, ani ja nie będziemy nigdy w stanie zapomnieć żaru naszych pierwszych pocałunków!

W mgnieniu oka zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnawszy jego głowę do swojej pocałowała gorąco w same usta. Warren czuł jej spragnione wargi na swoich, jej całe ciało namiętnie tulące się do niego. Powietrze wokół wydawało się przesycone delikatnym, kuszącym zapachem jej perfum. I nagle zrozumiał, że to wszystko jest mu obojętne. Magnolia nie miała już swej dawnej władzy nad nim. W tej samej chwili przestał się obawiać jej uwodzicielskich sztuczek i tego, że kiedykolwiek jeszcze mógłby stracić dla niej głowę.

Zacisnąwszy palce wokół jej nadgarstków uwolnił się od namiętnego uścisku.

- Szkoda twego czasu, Magnolio! - powtórzył.

Przekonawszy się, że jej zabiegi istotnie nie odniosły żadnego skutku, Magnolia spojrzała na Warrena z niedowierzaniem, które w sekundę później zmieniło się w rozczarowanie i bezsilny gniew.

W ciężkim milczeniu, które zapadło, dziewczyna gorączkowo szukała w myśli odpowiednich słów.

- Naprawdę mam wyjechać z Buckwood? - spytała w końcu.

- Nalegam, aby uczyniła to pani niezwłocznie! Obecna sytuacja pani w tym domu jest wysoce niezręczna, ponieważ wasze zaręczyny z Raymondem nie zostały oficjalnie ogłoszone!

Warren wciąż trzymał jej nadgarstki w swoich dłoniach. Wyrwała mu rękę i potarła jedną z nich, jakby jego dotyk sprawił jej ból.

- A ja wierzyłam, że mnie kochałeś - powiedziała.

- Kochałem cię - odpowiedział szybko Warren. - Kochałem całym sercem i całą duszą, dopóki nie przekonałem się, że zależało ci tylko na tytułach i majątku!

- To nieprawda! - wykrzyknęła Magnolia. - I teraz Kocham cię tak jak jeszcze nigdy przedtem!

- Tylko dlatego, że mnie straciłaś - stwierdził Warren kpiąco. - A ty nie lubisz przegrywać.

- Straciłam cię? Czyżby?

Głos Magnolii znów przybrał delikatne i słodkie tony, jak gdyby postanowiła dokonać jeszcze ostatniej, desperackiej próby.

- Dobrze wiesz, że jestem zaręczony - powiedział Warren głosem pełnym satysfakcji. - Zamierzam ożenić się z kobietą, którą Kocham i której mogę bezgranicznie zaufać! - Ostatnie słowa Warren wypowiedział z naciskiem i patrząc na Magnolię chłodno dodał: - Żegnaj, Magnolio. Mam teraz dużo pracy. Wybacz pani, że jej nie odprowadzę.

Magnolia cofnęła się o krok, jak gdyby uderzył ją w twarz. Potem podeszła wolno do drzwi. Zanim jednak nacisnęła klamkę, odwróciła się raz jeszcze.

- Przykro mi, Warrenie, że traktujesz mnie w ten sposób! - powiedziała. - Nie sądź jednak, że zapomnisz o mnie tak łatwo. Z żadną kobietą nie będziesz nigdy czuł się tak szczęśliwy jak niegdyś ze mną! - Odechnawszy głęboko, uniosła głowę i rzuciła mu prosto w twarz: - Kiedy będziesz całował swoją narzeczoną, przypomnisz sobie moje pocałunki. Dotykając jej skóry, pomyślisz za każdym razem, że nie jest tak gładka jak moja. Będziesz tęsknił za dźwiękiem mojego głosu i biciem mojego serca tuż przy twoim!

Przez krótką chwilę wydawało się Warrenowi, że znów ulegnie hipnotycznemu urokowi tego aksamitnego, wibrującego namiętnością głosu. W porę jednak uświadomił sobie, że cała ta scena, w której Magnolia użyła swego uwodzicielskiego kunsztu, przeznaczona była nie dla niego samego, lecz dla nowego markiza Wood.

- Żegnaj, Magnolio! - powiedział stanowczo i usiadł za biurkiem.

Rzuciła mu jeszcze powłóczyście spojrzenie, po czym znikła za drzwiami.

Warren siedział przez kilka minut bez ruchu. Kiedy upewnił się, że Magnolia nie wkroczy ponownie do pokoju, podszedł do okna i otworzył je na oścież. Wydało mu się nagle, że w gabinecie jest bardzo duszno. Czuł się trochę jak ktoś, kto balansuje na skraju przepaści. Jeden nierozważny krok mógł oznaczać klęskę.

Pomyślał, że może zachował się przed chwilą trochę zbyt pompatycznie. Jeśli jednak Magnolia grała przed nim starannie wyreżyserowaną rolę, dlaczego nie miałby odpłacić jej tym samym?

Stał w oknie oddychając głęboko. Wciąż jeszcze miał wrażenie, że brak mu powietrza i coś dławi go nieznośnie w gardle.

Nadia zeszła do salonu około godziny jedenastej, lekko zawstydzona faktem, że spała tak długo. W hallu na dole oczekiwał na nią jedynie lokaj. Skłoniwszy się powiedział:

- Lady Elizabeth poleciła mi przeprosić panią w jej imieniu, milady. Czuje się jednak tak zmęczona przeżyciami wczorajszego wieczoru, że zejdzie do salonu dopiero w porze lunchu.



- Oczywiście, rozumiem to - odpowiedziała Nadia. - Sama spałam bardzo długo.

- Należało się tego spodziewać - odparł stary sługa. - Podróż z Paryża musiała być bardzo męcząca.

- O tak, bardzo - westchnęła Nadia.

Otworzyła ciężkie dębowe drzwi i weszła do salonu, w którym przez otwarte, wysokie, francuskie okna widać było klomby pełne kwiatów. Był to typowy angielski ogród różany. Purpurowe, białe, żółte i kremowe kwiaty znajdowały się właśnie w pełni rozkwitu i Nadia patrzyła na nie jak urzeczona.

Słońce stało już wysoko i najmniejszy nawet wietrzyk nie poruszał liśćmi różanych krzewów. Wokoło trwała cisza przerywana czasami sennym brzęczeniem pszczoł lub kłaskaniem ukrytego w listowiu ptaka.

Nadia zamarła w bezruchu bojąc się nawet mrugnąć. Miała dziwne wrażenie, że za chwilę ten czarowny obraz zniknie, a ona znajdzie się z powrotem w małej, nędznej izdebce, którą zajmowały w Paryżu wraz z matką.

Na samo wspomnienie ostatnich dni matki na ubogim, brudnym poddaszu, drobnymi ramionami Nadii wstrząsnął dreszcz.

Przed godziną pokojówka przyniosła jej do łóżka tacę ze śniadaniem. Dziewczyna długo wpatrywała się w misternie grawerowany srebrny kieliszek do jajka, kruchą filiżankę z chińskiej porcelany i śnieżnobiałą serwetkę z wyhaftowanym w rogu monogramem sir Johna. Chciało jej się płakać.

Przypomniała sobie tanie, byle jak przyrządzone posiłki, które zmuszona była jeść jej matka w czasie choroby. Nadia uczyniłaby wszystko, aby tylko zapewnić jej lepsze jedzenie. Może, gdyby jej się to udało...

- Och, mam, gdybyś tylko była tutaj ze mną... - westchnęła z głębi serca.

Szybko jednak uniosła głowę. Na nic się nie zdało przywoływanie widma ponurej przeszłości. Trzeba było myśleć teraz o tym, jak należy zachować się w nowej sytuacji.

- Mam szczęście - powiedziała sobie zupełnie tak, jak niedawno mówił do siebie Warren. - Mam naprawdę ogromne szczęście.

Gdyby Warren nie uratował jej przed śmiercią w nurtach Sekwany, leżałaby zapewne teraz w jakiejś wspólnej mogile wśród innych nędzarzy, jako samobójczyni pogrzebana w nie poświęconej ziemi.

To, co się zdarzyło tamtego wieczoru nad Sekwaną – to był cud. Widać dusza matki czuwała nad nią z zaświatów.

Nadia zmusiła się do zjedzenia wszystkiego, co przyniosła jej pokojówka. Nie miała apetytu. Czując jednak jeszcze zmęczenie po wyczerpującej podróży, wiedziała, że jeśli nie będzie jadła, wkrótce całkiem opadnie z sił.

– Powinnam pomóc mu teraz tak, jak on mi pomógł – przekonywała samą siebie. – Muszę być silna i zachować trzeźwość umysłu!

Wczoraj wieczorem była tak zmęczona, że wszystko wirowało jej przed oczyma i sama nie była pewna, czy to jawa, czy sen. Teraz widziała już, że otaczający ją świat jest jak najbardziej realny. Miesiące, które przeżyła w ustawicznym strachu i wciąż pogłębiającej się nędzy, pozostawiły jednak ślad w jej sercu. Na próżno tłumaczyła sobie, że przyjechała do Anglii pod zupełnie innym nazwiskiem i nie ma już się czego obawiać. Powinna teraz jedynie przyjąć z wdzięcznością niespodziewany podarunek, jaki zgotował jej los, i dokładnie wypełniać polecenia młodego markiza.

Nadia przypomniawszy sobie, jak bardzo zaskoczyła ją wiadomość, że Warren jest kolejnym markizem Wood. Chciało jej się śmiać i jednocześnie czuła, że w każdej chwili gotowa jest się rozplakać. To wszystko było tak niewiarygodne!

Czy wtedy, gdy stojąc na flisackiej kładce zbierała się na odwagę, aby uczynić ostatni krok naprzód, mogła choćby pomyśleć o takiej odmianie losu? Czy przez ułamek sekundy potrafiłaby ujrzeć siebie zamiast w zimnych nurtach Sekwany – we wspaniałej angielskiej posiadłości pełnej służby i pięknych przedmiotów? Sądziła, że nigdy już nie powróci do otoczenia, jakie знаła dobrze ze swego dzieciństwa.

A teraz – w szafie w jej pokoju na górze wisiały eleganckie, uszyte ze znakomitych materiałów suknie. Mieszkając z matką w Paryżu nie śmiała nawet marzyć, że będzie to kiedyś znowu możliwe.

– To nie może być prawda. Ja chyba tylko śnię – szepnęła Nadia do siebie.

Jeśli był to tylko sen, należało się spieszyć. Obejrzeć wszystko dokładnie, nacieszyć się tym dawno zapomnianym życiem... zanim nastąpi przykry moment przebudzenia.

I Nadia zaczęła z dziecinną gorliwością chłonać widok rozświetlonego słońcem różanego ogrodu, zieleni drzew otaczających stare ceglane mury posiadłości. Starła się wszystko dobrze zapamiętać, aby później móc odtworzyć w pamięci fragmenty tego wspaniałego snu.

Matka często opowiadała jej o słynnych angielskich ogrodach. Nadia nie widziała nigdy żadnego z nich, ale stwierdziła, że widok, który rozciąga się przed jej oczami, odpowiada w pełni wyobrażeniom, jakie o nich miała na podstawie zasłyszanych opowieści.

Było tu tak pięknie! Nadii wydało się nagłe, że jej lęki i obawy odsuwają się od niej bardzo daleko.

- Jestem w Anglii i nic mi już nie grozi - powiedziała na głos.

Słońce grzało mocno i dziewczyna postanowiła wrócić do salonu. Przeszedłszy przez taras, zatrzymała się w progu wąskich, przeszklonych drzwi. Tutaj też wszystko wyglądało tak, jak opisywała jej matka: wygodne sofy i głębokie fotele, stoliki, na których ustawiono mnóstwo kunsztownie wykonanych przedmiotów, tabakierki, porcelana drezdeńska, fotografie w srebrnych ramkach. Oczywiście na ścianach wisiały portrety, a nad dużym marmurowym kominkiem - obrazy sławnych malarzy angielskich. Na jednym z nich widniała grupa osób w strojach z minionego wieku. Tuż za nimi rysowały się mury okazałej posiadłości. Nadia domyśliła się, że jest to Buckwood.

Wczoraj wieczorem było zbyt ciemno, aby dostrzec z okien powozu siedzibę rodziny Wood. Nadia żywiła nadzieję, że Warren oprowadzi ją po niej dzisiaj. Domyślała się, ile znaczy dla niego to miejsce. Zawsze, ilekroć mówił o Buckwood, twarz rozjaśniała mu się, a w głosie brzmiało wzruszenie.

Nadia zamyśliła się głęboko. Znała Warrena tak krótko, a wydawało jej się, że potrafi czytać w jego sercu. Był nie tylko niezwykle przystojnym i atrakcyjnym mężczyzną, lecz również wyróżniał się wyjątkowym taktem, poczuciem humoru i szczerością. Czy to w ogóle możliwe, myślała Nadia, aby jakakolwiek kobieta mogła postąpić okrutnie z kimś takim jak

Warren? Swoim czułym, wrażliwym sercem zdolna była pojąć ogrom bólu i cierpienia, z którym zmierzyć się musiał jej dobroczyńca. Nie potępiała go za to, że pragnął zemsty. Pomyślała tylko, że jego zgorzkniałość stanowi jedyną rysę w nieskazitelnym zdawałoby się wizerunku.

- To zupełnie tak - szepnęła cicho - jakby ktoś rozmyślnie uszkodził ten piękny obraz wiszący nad kominkiem...

Podszedłszy bliżej stwierdziła, że rodzinę Wood na tle Buckwood sportretował sam Gainsborough. Uśmiechnęła się, gdy przyszło jej na myśl, że pewnego dnia jakiś znany malarz też wykona obraz przedstawiający Warrena na tle domu, który tak ukochał.

Nagle Nadia usłyszała, że ktoś wszedł do salonu. Odwróciła się przekonana, że to Warren, i znieruchomiała w zaskoczeniu.

Przy drzwiach stała młoda kobieta tak piękna i tak różna od wszystkich istot rodzaju żeńskiego, które Nadia widziała w swoim życiu, że osłupiała dziewczyna zapatrzyła się na nią z mimowolnym zachwytem.

Nowo przybyła ubrana była w czarną suknię wydatnie podkreślającą wspaniałe linie biustu i bioder. Zarówno w stroju, jak i w postawie tej kobiety było coś teatralnego, jak gdyby nigdy nie schodziła ze sceny.

Wokół szyi nieznajomej widniały dwa wspaniałe rzędy pereł, a kapelusz ozdobiony był czarnymi strusimi piórami. Skóra jej miała ten sam mleczny odcień bieli co perły w naszyjniku. Czarne, ocienione długimi rzęsami oczy wpatrywały się w Nadię uważnie.

Poruszając się z gracją nieznajoma przeszła przez salon i stanęła naprzeciwko nieruchomej wciąż Nadii.

- Sądzę, że to pani jest tą osobą, której wydaje się, że poślubi Warrena! - stwierdziła ze wzgardą.

Gwałtowność jej słów oraz nieuprzejmy ton, w jaki zostały wypowiedziane, sprawiły, że Nadia przez dłuższą chwilę nie mogła znaleźć właściwej odpowiedzi. Bojąc się jednak, że jej wahanie zostanie odebrane jako słabość, odparła szybko:

- Jesteśmy zaręczeni z Warrenem.

- A więc niech pani pozwoli sobie powiedzieć - mówiła Magnolia dalej - że nic z tych planów nie wyjdzie. Upierając się przy nich, może pani gorzko pożałować!

Mówiąc nie podnosiła głosu. Jednak pasja odbijająca się aż nadto wyraźnie w jej oczach sprawiła, że Nadie przeszył zimny dreszcz.

- Nie... nie bardzo rozumiem, co ma pani na myśli - powiedziała czując, że tamta z pewnością dosłyszała drżenie jej głosu.

- Jeśli pani o tym nie wie, to informuję, że nazywam się Magnolia Keane. Warren jest, był i będzie mój. Jeśli wydaje mu się, że zdoła ode mnie uciec, to jest w wielkim błędzie. A jeśli chodzi o panią...

Tu Magnolia zmierzyła pełnym wzgardy spojrzeniem drobną postać Nadii.

- Wracaj tam, skąd przybyłaś, i znajdź sobie innego mężczyznę! - rzuciła. - Mojego nie dostaniesz na pewno!

- Nie wiem... o czym pani mówi! - krzyknęła Nadia.

Magnolia okręciła się wokół własnej osi i powoli, z dobrze wyreżyserowaną godnością, podeszła do drzwi. Odprowadzając ją wzrokiem, Nadia stwierdziła, że biodra, talia i ramiona Magnolii poruszają się przy każdym kroku dziwnym, węzowym ruchem. Nikt ze znajomych jej osób nie chodził w ten sposób.

Drzwi zamknęły się za Magnolią i Nadia została sama. W salonie trwała niczym nie zmacona cisza i dziewczynie wydało się nagle, że scena, która rozegrała się tu przed chwilą, to tylko przywidzenie... Ale nie było wątpliwości - w powietrzu wciąż jeszcze unosił się delikatny, egzotyczny zapach kwiatu magnolii.

Nadia pomyślała, iż rozumie teraz, dlaczego porzucony przez Magnolię Warren chciał popełnić samobójstwo. Potrafiła pojąć, jak wielkie było uczucie, którym ją darzył. Wiedziała też, że dla kobiety takiej jak Magnolia miłość nie była cichym, pełnym czułości szczęściem, lecz niszczącym, gwałtownym płomieniem, który pochłaniał wszystko, co znalazło się na jego drodze...

- Wszystko już rozumiem - szepnęła Nadia. - Lecz... jeśli ona nadal chce go poślubić, to co ja tu właściwie robię?

Obawiała się, że nadal nie pojmuje zamiarów Warrena. Kiedy w Paryżu mówił jej o swoim wielkim zawodzie i rozczarowaniu, była pewna, że stracił swoją ukochaną na zawsze. Nadia nie spodziewała się, że spotka

tę kobietę tutaj, i bez wątpienia nie była przygotowana na pełną grózb i wyrzutów scenę.

Czuając, że nogi uginają się pod nią, dziewczyna usiadła w fotelu i oddała się rozmyślaniom. Wkrótce jej bystry, inteligentny umysł zaczął kojarzyć pewne fakty, co sprawiło, że sytuacja stała się nieco jaśniejsza. Według słów Warrena, Magnolia porzuciła go, aby poślubić kogoś, kto miał tytuł szlachecki. A więc musiał to być ten kuzyn, który spadł z konia! Teraz kiedy tytuł odziedziczył Warren, Magnolia postanowiła wrócić do niego za wszelką cenę. Wydawało się jednak, że on nie miał na to ochoty. Był zbyt dumny i niezależny, aby stać się posłuszną marionetką w rękach kobiety, nawet jeśli była tak piękna jak Magnolia.

- Ona jest zachwycająca, ale niebezpieczna! - mruknęła Nadia do siebie.

Wspominając gniewne błyski w oczach nieznajomej, Nadia odczuwała taki sam rodzaj strachu, jaki towarzyszył jej przez ostatnie miesiące. Dawno już minęła nieopisanie krótka chwila, przez którą wydawało się jej, że pozostawiła to uczucie daleko za sobą. Nadia poczuła, że drży.

Drzwi salonu otworzyły się i wszedł Warren.

Wyglądał bardzo korzystnie w swym stroju do konnej jazdy. Ujrawszy go Nadia stwierdziła, że cieszy ją jego widok i że w jego obecności czuje się jak gdyby trochę bardziej bezpieczna.

- Myślałam właśnie o panu - powiedziała westchnawszy mimowolnie z ulgą.

Warren zamknął starannie drzwi za sobą i podszedł szybkim krokiem do Nadii.

- Czego tu chciała ta kobieta? - spytał niespokojnie. - Czy... sprawiła pani jakąś przykrość?

- Skąd...skąd pan wie, że ona tutaj była?

- Wjeżdżając na dziedziniec minąłem jej powóz. Od razu domyśliłem się, że przybyła tu, aby prawić impertynencje mojej matce... albo pani.

- Pańska matka jeszcze nie zeszła na dół.

- A więc, Nadiu, proszę mi powiedzieć, czego chciała od pani ta kobieta.

Warren mówił gniewnym, ostrym tonem i zaciskał pięści. Nadia zdrżała, a jej szczupła, jasna twarz zbladła jeszcze bardziej. Spostrzegłszy to, Warren zdołał się opanować.

- Przestraszyła panią, prawda? - spytał znacznie łagodniejszym tonem. - Mój Boże, to ostatnia rzecz na świecie, której bym sobie życzył. Tak mi przykro, Nadiu. Jakiż głupiec ze mnie; mogłem przewidzieć, że tak się stanie!

- Jak... to możliwe?

- Poleciałem jej, aby natychmiast opuściła mój dom. Była niesamowicie wściekła, mogłem więc się domyślić, że przyjedzie wyładować swoją złość na pani!

- Ona... ona jest bardzo piękna.

- Kiedyś też tak myślałem.

- A... teraz?

Nadia rzuciła mu przelotne spojrzenie i stwierdziła ze zdumieniem, że Warren się uśmiecha.

- Przekonałem się, że nie ma już władzy nade mną - powiedział z ulgą.

- Miło mi, że cieszy to pana.

- Ale ona obraziła panią! Nie wybaczę jej tego nigdy!

- Ależ nie. Już wszystko w porządku. Tylko... byłem taka zaskoczona. I... ona mówiła, że pan należy do niej.

- Gdyby ona wiedziała, jak bardzo się myli! - wykrzyknął Warren, po czym dodał z westchnieniem: - Wiem, że nie powinienem pani tego mówić, ale jeśli mamy działać dalej wspólnie, musi pani wiedzieć o wszystkim. W głębi duszy obawiałem się, że kiedy ujrzę ją znowu, mogę okazać się nie dość silny, aby nie ulec jej naprzykrzaniom...

- I... pana obawy nie sprawdziły się?

Warren przypomniał sobie obojętność, z jaką przyjął niespodziewany pocałunek Magnolii, i powiedział:

- Jestem wolny. Nareszcie wyzwolony!

Podszedł do okna, ogarniając jasnym spojrzeniem obsypany kwiatami ogród, majestatyczne dęby stojące od wieków na straży posiadłości i

połyskującą z oddali taflę jeziora. Świat odzyskał znowu dla niego swe piękno.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Warren pomyślał, że warto jest żyć, i poczuł się mile podekscytowany pytaniem, co też przyniesie mu przyszłość.

Nagle tuż za plecami usłyszał cichy i niepewny głos:

– Może... nie jestem już panu dłużej potrzebna i... powinnam teraz odejść.

Warren odwrócił się gwałtownie i ujrzał, że Nadia wpatruje się w niego wzrokiem pełnym napięcia i głęboko utajonego smutku. Zrozumiał, że dziewczyna obawia się, iż każe jej opuścić posiadłość tak, jak zażądał tego od Magnolii.

– Skądże znowu! – wykrzyknął z przekonaniem. – Gdyby teraz pani wyjechała, Magnolia upewniłaby się, że moje zaręczyny były jedynie mistyfikacją, i rozpoczęłaby całą grę od nowa!

– A więc... mam zostać?

– Nalegam na to! Takie były warunki naszej umowy. Pamięta pani? Powiedziałem: „Zostanie pani tak długo, jak to będzie konieczne.”

– I to... naprawdę jest konieczne? Nie mówi pan tego tylko z litości dla mnie?

– Jest mi pani nadal potrzebna – oznajmił Warren stanowczo. – I mówię to z pobudek czysto egoistycznych.

Widząc, że Nadia odetchnęła z ulgą, dodał:

– Kiedy służyłem w armii, nauczono mnie, że nigdy nie należy lekceważyć wroga. Obym się mylił, ale mam przeczucie, że to nie koniec kłopotów z Magnolią.

– Ja też... się tego obawiam – szepnęła Nadia. – Czy jest pan pewien, że... ona nie jest w stanie zranić pana znowu?

– O tym jestem absolutnie przekonany! – odparł Warren. – Nie może mnie już niczym dotknąć teraz, kiedy moje serce zamknęło się przed nią na zawsze!

– Wydaje mi się jednak – powiedziała Nadia z wahaniem – że istnieje wiele sposobów, aby zadać ból osobie, którą się znienawidziło. Ona może być niebezpieczna.



- Nonsens! - wykrzyknął Warren. - Przestałem wierzyć w upiory i czarownice, odkąd wyrosłem z dzieciństwa!

Nadia roześmiała się.

- Bardzo się ich kiedyś bałam! - powiedziała.

Nagle spoważniała i spuściła wzrok. Patrząc na nią Warren zrozumiał, że nie powiedziała całej prawdy. Najwyraźniej strach był uczuciem, którego doznawała nie tylko w dzieciństwie. Musiała doświadczyć go również dużo, dużo później. Być może całkiem nie tak dawno...

Warren znów poczuł nieprzepartą chęć spytania o przyczynę jej lęku. Podejrzewał, że dręczyły ją obawy, które nie zniknęły w momencie śmierci jej matki. Najpewniej to one właśnie było przyczyną tego, że tamtego wieczoru znalazła się nad Sekwaną. Młody markiz nie chciał jednak zrażać Nadii do siebie zbyt dużą ciekawością. Uznał, że należy uszanować jej prawo do zachowania tajemnicy. Może pewnego dnia sama zechce mu ją wyjawić...

- Zamierzałem właśnie zaprosić panią na uroczysty obiad, który zaplanowano po zakończeniu ceremonii - powiedział zmieniając temat. - Chciałbym przedstawić panią moim krewnym. Niektórzy z nich przybędą dopiero na pogrzeb. Zanim to jednak nastąpi, mamy jeszcze sporo czasu. Proponuję, abyśmy udali się na małą przejażdżkę. Mam zamiar oprowadzić panią po posiadłości.

Nadia klasnęła w dłonie.

- Naprawdę? - wykrzyknęła i twarz jej się rozjaśniła. - Będę mogła to wszystko zobaczyć?

- Zapraszam panią serdecznie.

Nadia wydała cichy okrzyk radości.

- Jakże się cieszę! - uśmiechnęła się do Warrena. - Proszę poczekać minutkę. Pójdę tylko na górę po kapelusz.

- A więc czekam - odparł Warren. - Nie traćmy czasu. Szkoda każdej chwili.

Nadia bez słowa wybiegła z salonu.

Warren usłyszał jej szybkie kroki oddalające się po marmurowej posadzce hallu. Uśmiechnął się do siebie. Nie przypuszczał nawet, że ta dziewczyna potrafi cieszyć się jak dziecko. Reakcja Nadii była tak szczerą

i spontaniczna, że ani przez chwilę nie wątpił, jak wielką radość sprawił jej swoim zaproszeniem.

– Postąpiłem bardzo roztropnie sprowadzając ją tutaj – mruknął do siebie zadowolony. – Jej obecność znacznie pomoże mi w uwolnieniu się od Magnolii!

Bardzo ciekaw był też, co powiedzą o Nadii jego krewni. Jednego był pewien: Nadia wydawała się o wiele lepszą kandydatką na przyszłą markizę niż Magnolia. Nieraz przekonał się już, że kobiety odnosiły się do jego byłej narzeczonej z dystansem, jeśli nie z jawną niechęcią. Kiedy był jeszcze w niej zakochany, myślał, że to z powodu wyjątkowej urody Magnolii. Teraz dostrzegał coś więcej – w całej postaci i zachowaniu panny Keane było coś teatralnie sztucznego, co drażniło wiele osób.

Przyszła żona markiza Wood powinna oczywiście być piękna. Warren przeczuwał jednak, że od kolejnej pani na Buckwood oczekuje się czegoś więcej – naturalnej, budzącej szacunek dystynkcji. Tego nie można było się nauczyć, z tym należało się urodzić. O takiej kobiecie można było powiedzieć z całym przekonaniem – „prawdziwa lady”.

Warren odkrył ze zdziwieniem, że taka właśnie jest Nadia. Postanowił, że dowie się, kim byli Charringtonowie i co sprawiło, że rodzina Nadii znalazła się w tak rozpaczliwym położeniu. Nazwisko „Charrington” było dość często spotykane. Warrenowi wydawało się, iż zetknął się kiedyś z kimś, kto tak się nazywał.

„Na razie rozpytam się wśród przyjaciół – zdecydował nagle. – A kiedy pojedę do Londynu, muszę koniecznie porozmawiać o tym z sekretarzem White'ów. Ten człowiek ma historię wszystkich rodzin w małym palcu!”

Słyszac, jak Nadia zbiega szybko ze schodów, Warren przypomniał sobie, że nazywa się ona teraz Ferencs i występuje tu jako węgierska hrabianka. Przyszło mu do głowy, że słyszac o jej pochodzeniu, wszyscy będą spodziewali się, iż potrafi ona wspaniale jeździć konno. Brak tej umiejętności mógłby wzbudzić poważne podejrzenia.

Na dziedzińcu czekał na nich lekki dwukołowy powóz zaprzężony w parę wspaniałych koni. Pomagając Nadii wsiąść, Warren powiedział jakby od niechcienia:

– Ciagle zapominam o to zapytać: czy lubi pani konną jazdę?

Odwróciwszy się Nadia spojrzała mu prosto w oczy.

– Niepokoi się pan, czy aby moje umiejętności jeździeckie zdołają przekonać wszystkich o węgierskim pochodzeniu? – spytała unosząc brwi.

Warren poczuł się lekko zakłopotany rozszyfrowaniem jego intencji.

– Czyta pani w moich myślach – stwierdził uśmiechając się.

– Oczywiście! Tak jak pan czyta nieraz w moich!

– Proszę zatem rozwiązać moje wątpliwości.

– Nie powinien się pan obawiać. Umiejętności jeździć konno bardzo dobrze, dawno jednak nie miałam ku temu okazji. Wiem, że tej umiejętności się nie zapomina. Mimo to nie będę miała łatwej przeprawy z pańskimi końmi pełnej krwi!

– Musi pani jak najszybciej spróbować!

Nastąpiła chwila milczenia.

– Powiem panu teraz coś, za co być może będzie się pan gniewał – powiedziała cicho Nadia. – Wiem, że to był chyba zbyt daleko idący kaprys, ale... w Paryżu poleciłam pani Blanc zamówić dla mnie strój do konnej jazdy...

Warren roześmiał się głośno, szczerze rozbawiony jej zmieszaniem.

– Kłopot z panią, Nadiu, polega na tym, że wciąż mnie pani zaskakuje – powiedział. – Ja tu się zamartwiam, że nie potrafi pani nawet siedzieć na koniu, a tymczasem okazuje się, iż ma pani gotowy strój na tę okoliczność!

– Być może udało mi się przewidzieć, czego będzie pan spodziewał się ode mnie – odpowiedziała Nadia. – Ale zapewniam, że zwrócę panu kiedyś wszystkie pieniądze, które zmuszony był pan na mnie wydać! – Rozłożywszy dłonie w bezradnym geście dodała: – Jednak na razie... jest to niemożliwe.

– Proszę o tym natychmiast zapomnieć! – oświadczył surowo Warren. – To ja jestem pani dłużnikiem. Moja wdzięczność za to, co zgodziła się pani dla mnie zrobić, nie ma granic. Nie potrafię wyrazić, jak wiele znaczy dla mnie jej obecność tutaj!

Kiedy skończył mówić, Nadia podniosła na niego wzrok. Przez chwilę w milczeniu patrzyli sobie prosto w oczy. Warren ze zdumieniem odkrył, że

rozmyśla nad tym, jak miłą i naturalną rzeczą byłoby teraz nachylić się i pocałować Nadię.

Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Jeden z koni przy powozie zarżał nagle i Warren drgnął, jak przebudzony z głębokiego snu.

– A teraz pokażę pani Buckwood! – oświadczył nienaturalnie ożywionym tonem. – I ręczę, że nie dozna pani rozczarowania!

## Rozdział 5

Podczas przyjęcia, które odbyło się po pogrzebie, wielu krewnych podchodziło do Warrena, aby pogratulować mu zaręczyn. To, co mówili, nie było jedynie prawieniem komplementów. Wszyscy wydawali się szczerze zachwyceni Nadią, jej delikatną urodą i pełnym taktu sposobem bycia.

Warren zauważył też, że Nadia szczególnie uprzejmie odnosiła się do tych osób, które reszta rodziny uważała za nudziarzy niegodnych zainteresowania. Bawiła ożywioną rozmową stare, samotne ciotki, którymi od lat już nikt nie interesował się podczas zjazdów rodzinnych. Ku zdumieniu Warrena nie tylko nie zaszkodziło to jej opinii, lecz nawet zjednało powszechną sympatię. Jakże różne było zachowanie Nadii od afektowanych występów Magnolii, która zawsze lubiła być w centrum zainteresowania i kokietowała każdego mężczyznę, jaki znajdował się w zasięgu jej wzroku!

Po południu wszyscy członkowie rodziny Wood zaczęli rozjeżdżać się do swoich domów. Po obowiązkowych pożegnaniach Warren pojechał przez park wprost do domu swojej matki. Lady Elizabeth wraz z Nadią siedziały w salonie popijając herbatę.

– Nie sądzisz, że jest dość późno, mój kochany? – zagadnęła go matka, gdy tylko pojawił się w drzwiach. – Mimo to postanowiłyśmy z Nadią wypić sobie jeszcze po filiżance herbaty. Należy się to nam po tak ciężkim dniu.

- Byłaś wspaniała, mammo! - powiedział Warren nachylając się nad matką i całując ją. - Mam nadzieję, że wydarzenia dzisiejszego dnia nie wyczerpały cię zbyt!

- Nie mogłam powstrzymać łez na pogrzebie! - powiedziała cicho lady Wood. - Byłam taka przywiązana do Artura! Z drugiej strony cieszę się, że nie cierpiał przed śmiercią tak długo jak twój świętej pamięci dziadek!

Warren poczuł zimny dreszcz na myśl, że mógłby kiedyś i on umierać w tak strasznych cierpieniach jak ojciec stryja Artura. Podczas swej afrykańskiej wyprawy oswoił się trochę z myślą o śmierci. Żywił jednak cichą nadzieję, że przyjdzie ona w swoim czasie - nagle, szybka i niespodziewana, na przykład na polu bitwy.

Otrząsnął się z niewesołych myśli, którym sprzyjały zakończone niedawno uroczystości pogrzebowe.

- Wprost nie chce mi się wierzyć - powiedział uśmiechając się blado - że wszyscy ci ludzie już się rozjechali. Cisza, która zapanowała teraz w domu, jest wręcz niesamowita!

Dopiero w tej chwili Warren zrozumiał, w jakim napięciu działał przez cały dzień. Podświadomie czuł kierowane ku niemu pytające spojrzenia. Dalszy los wielu obecnych na dzisiejszej uroczystości osób zależał od tej pory wyłącznie od niego.

Prawdę mówiąc nie przywykł jeszcze do swej nowej roli. Postanowił działać niezwykle ostrożnie i nie podejmować pochopnych decyzji. Podczas uroczystości wiedział, że we wszystkim może liczyć na doświadczenie wiernego Greyshotta oraz sympatię oddanych mu osób. Od tego momentu większość spraw musi już jednak załatwiać sam.

- Najlepiej zrobisz, jeśli usiądziesz tu teraz i napijesz się herbaty wraz z Nadia - przerwała matka jego rozmyślania. - Ja natomiast pójdę już do siebie na górę.

- Czy czujesz się bardzo zmęczona, mammo? - spytał Warren troskliwie.

- Nie, mój drogi, ale nienawidzę pogrzebów! Na każdym z nich okazuje się, że połowa naszych krewnych jest zupełnie nie do zniesienia!

Nadia roześmiała się i śmiech jej zabrzmiał bardzo dźwięcznie.

- Może dlatego, że wszyscy są ubrani na czarno! - zauważyła. - Mój ojciec nie znosił czerni. Mówił, że to ponury kolor przeznaczony dla melancholików.

Spojrzała na Warrena i obydwoje jednocześnie przypomnieli sobie madame Blanc mówiącą, że każda kobieta wygląda w żałobie jak wrona.

- Zostanę tu z Nadią, mamó - zwrócił się Warren do lady Elizabeth.

- Bardzo dobrze, mój synu - odpowiedziała matka. - Zostawiam ją więc pod znakomitą opieką. Moja droga - zwróciła się do Nadii - chciałam ci powiedzieć, że bardzo podobała mi się suknia, którą miałaś na sobie przy obiedzie. Uważam, że była bardzo odpowiednia na tę okazję i powinna zadowolić nawet najgorsze plotkarki w naszej rodzinie. Mimo to obawiam się, że po dzisiejszym dniu i tak wśród naszych krewnych aż huczy od różnych plotek.

- To prawda - odpowiedział Warren kiwając posępnie głową.

Oczy pociemniały mu z gniewu, gdy przypomniał sobie zachowanie Magnolii na pogrzebie.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom pojawiła się jednak na uroczystości. Kiedy wszyscy siedzieli już na wyznaczonych miejscach w kościele, ukazała się nagle w bocznej nawie, natychmiast zwracając na siebie powszechną uwagę. Jeden z odźwiernych podszedł ku niej szybko, a ponieważ Warren nie wyznaczył dla niej miejsca, usadowił ją w rodzinnej ławce, tuż za plecami młodego markiza.

Warren był pewien, że spóźnienie Magnolii było starannie zaplanowane. Również jej ubiór świadczył o tym, że swoim pojawieniem się chciała wywołać sensację. Jej suknia była równie elegancka jak ta, którą miała na sobie poprzedniego dnia. Tym razem zarówno krój, jak i materiał były bardziej fantazyjne. Efekt był taki, że wszyscy znajdujący się w kościele uczestnicy pogrzebu nie mogli oderwać od niej wzroku.

Uszyta z czarnej tafty suknia uwydatniała wszelkie powaby figury Magnolii. Wrażenie było tym większe, że twarz skrywała czarna woalka upięta na małym aksamitnym kapelusiku. Warren pomyślał z niesmakiem, że ubiór ten byłby raczej bardziej odpowiedni dla wdowy niż dla kogoś, kto przychodzi na pogrzeb zupełnie obcej osoby, w dodatku nie

zaproszony. Prawdopodobnie w tej samej sukni Magnolia wystąpiła na pogrzebie Raymonda.

Czuł zapach jej perfum, gdyż siedziała tuż za nim.

Zdawał sobie sprawę z jej obecności za swymi plecami i ona wiedziała o tym doskonale. Przez całe nabożeństwo starał się myśleć o czymś innym, jednak nawet nie mógł skupić uwagi na słowach pastora.

Trumna została wyniesiona na cmentarz na ramionach oficerów pułku kawalerii, którego dowódcą był niegdyś lord Artur. Podążając na przędzie orszaku żałobnego Warren zauważył, że Magnolia wciąż przesuwając się coraz bliżej niego, trzymając w dłoni wiązanek białych storczyków.

Kiedy opuszczono trumnę do grobu, panna Keane postąpiła krok naprzód i dramatycznym ruchem rzuciła swój bukiet na wieko. Następnie uniosła obie ręce ku twarzy i zachwiała się, jakby za chwilę miała osunąć się na ziemię. Stojący najbliżej niej Warren odruchowo podtrzymał ją za ramiona, a czując, że Magnolia upada, chwycił ją mocniej i na wpół niosąc odciągnął od grobu. W tej samej chwili wydało mu się, że dostrzega spod gęstej woalki jej uśmiechnięte drwiąco usta. A więc to znowu była starannie wyreżyserowana scena! Przekazał ją czym prędzej innym członkom rodziny i wrócił na swoje miejsce kipiąc z gniewu. Jak mógł pozwolić, aby wciągnięto go w tak perfidną grę! Był przekonany o tym, że opis tego sensacyjnego wydarzenia znajdzie się nazajutrz we wszystkich miejscowych gazetach!

Nie poczuł się wcale zaskoczony, gdy po powrocie do domu zastał Magnolię rozpartą wygodnie w najlepszym fotelu w salonie, podczas gdy jedna z pokojówek podawała jej tacę z solami trzeźwiącymi.

Nie miał zamiaru podejść do niej. Wkrótce jednak otoczyło Magnolię spore grono słuchaczy, którym zwierzała się żalonym, choć dobrze słyszalnym głosem, jak bardzo brakuje jej lorda Artura.

- Zawsze był taki dobry dla mnie! - skarżyła się. - Ale teraz nie ma go już wśród nas, a ja będę musiała opuścić ten dom, który jest tak bardzo mi drogi!

Ostatnie jej słowa utonęły w rozpaczliwym, powstrzymany szlochu. Warren spostrzegł, że kilku krewniaków spojrzało w jego stronę, jak gdyby spodziewając się, że właśnie on powinien rozwiązać ten problem.

Podobne sytuacje powtarzały się aż do rozpoczęcia obiadu, kiedy Magnolia zdecydowała się wreszcie opuścić towarzystwo. Jej odejście spowodowało znów niemałą sensację, a połowa obecnych mężczyzn rzucała się, aby odprowadzić ją do powozu.

Warren wydał głębokie westchnienie ulgi.

– No, teraz przynajmniej nie będzie już miała żadnego pretekstu, aby tu powrócić! – powiedział do siebie.

Jednak natrętnie przeczucie mówiło mu, że Magnolia nie zrezygnuje tak łatwo... Wkrótce pojawiła się Nadia i Warren dał wszystkim do zrozumienia, że data ich ślubu zostanie ogłoszona tak szybko, jak to tylko możliwe. Nadia nie była w żałobie, gdyż Warren uznał, że nie musi jej przywdziewać, skoro nawet nie znała lorda Artura.

Żegnając rozjeżdżającą się do swoich domów rodzinę Warren powtórzył:

– Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się w bardziej radosnych okolicznościach!

Na co większość krewnych stawiała jakby umówione pytanie:

– Masz na myśli swój ślub, Warrenie?

– Zamierzamy przedtem wydać małe przyjęcie z okazji naszych zaręczyn – odpowiadał z uśmiechem. – Nie będzie to żaden wielki bal, lecz zwykłe garden-party. Spodziewajcie się zaproszenia w początku sierpnia!

– Z góry dziękujemy! Przyjedziemy na pewno! – odpowiadali wsiadając spieszenie do swoich powozów. Warren wiedział, że cieszyła ich perspektywa ponownego spotkania w gronie rodzinnym, w posiadłości tak wspaniałej jak Buckwood.

Patrząc na Nadię siedzącą po przeciwnej stronie małego stolica, na którym podawano herbatę, Warren stwierdził, że wygląda uroczo. Jej suknia była prosta, lecz jednocześnie bardzo elegancka. Stanowiła widomy dowód tajemnej sztuki kroju, którą paryskie krawcowe opanowały do perfekcji.



Policzki Nadii nabrały już rumieńców i twarz jej, jakkolwiek nadal bardzo szczupła, promieniała jakąś wewnętrzną radością. Niezwykle duże oczy błyszczały spod długich rzęs. Warren zastanawiał się, czy jest to na pewno ta sama dziewczyna, którą kilka dni temu uratował od śmierci w nurtach Sekwany.

- Jutro muszę objechać konno okoliczne farmy – powiedział patrząc na Nadie. – Proponuję, abyśmy udali się wspólnie na tę przejażdżkę.

Nadia nie potrzebowała słów, aby udowodnić, jak bardzo pomysł ten przypadł jej do gustu. Jej twarz rozjaśniła się ze szczęścia, a błyszczące oczy patrzyły na Warrena z wdzięcznością.

- Obawiam się, że będzie to zajęcie dość męczące – zauważyła lady Elizabeth. – Jeśli chcesz odwiedzić, farmy, musisz dotrzeć do wszystkich. Gdybyś kogoś pomiął, będzie niepokieszony. Zwłaszcza że pojedziesz z Nadia...

- Wiem o tym doskonale – roześmiał się Warren. – Odkąd pamiętam, zawsze kiedykolwiek zawitałem na którąś z farm, słyszałem: „Dlaczego pańska matka tak dawno u nas nie była? Proszę jej powiedzieć, że mamy tu specjalnie przygotowany dzem własnej roboty!”

- Albo słój pikli, albo baryłkę miodu lub świeżo uwędzoną szynkę! – dorzuciła śmiejąc się matka. – Tutejsi wieśniacy są tacy gościnni!

Lady Elizabeth pochyliła się, aby uścisnąć serdecznie ramię Nadii.

- Wiem, że cię pokochają, moja droga – powiedziała uśmiechając się. – Patrzyłam dziś z zadowoleniem, jak serdecznie i uprzejmie odnosiłaś się do starszych członków naszej rodziny!

Nadia roześmiała się.

- Moja mama powtarzała mi zawsze, że jeśli na przyjęciu ktoś samotniony siedzi w kącie, to bardzo źle świadczy o pani domu! – powiedziała wesoło.

- To prawda! Większość młodych osób wybiera jednak towarzystwo rówieśników uważając, że starość jest nudna i nieciekawa.

Lady Elizabeth spojrzała na Warrena, który zrozumiał, że matka w ten sposób chce mu powiedzieć, iż pochwała jego wybór. Po raz kolejny młody markiz pogratulował sobie w duchu, że do roli swej rzekomej narzeczonej wybrał kogoś, kto tak dobrze wywiązuje się ze swego zadania. Był jednak

lekko zdumiony faktem, iż matka zaaprobowała Nadię tak prędko i bez zastrzeżeń. Po tym jak wyznała mu, że nie lubi Magnolii, Warren zważył, czy jakakolwiek kobieta uzyska jej przychylną ocenę jako przyszła pani Wood.

Warren wypił filiżankę herbaty i zamierzał poprosić o następną, gdy do pokoju wkroczył lokaj niosąc na srebrnej tacy niewielką paczkę.

- Cóż to takiego, Jamesie? – spytała lady Wood.
- Przysłano to dla wielmożnej hrabianki Ferencs, milady.

James skłonił się i podał pakunek na tacy Nadii, która spojrzała zaskoczona na niespodziewaną przesyłkę.

- To... dla mnie? – spytała z niedowierzaniem.
- Czyżby to był pierwszy z prezentów ślubnych? – zażartował Warren.

Nadia zdjęła z tacy paczuszkę i wyczuła, że pod ozdobnym papierem kryje się jakieś pudełko.

Do tej pory była przekonana, że zaszła tu jakaś pomyłka. Do strojnej kokardy przyczepiony był jednak bilecik, na którym wyraźnie wypisano dużymi literami: „HRABIANKA NADIA FERENCS”.

- Otwórzmy to! – zaproponował Warren. – Najwidoczniej któryś z naszych krewnych postanowił przysłać prezent mojej narzeczonej. Dziwi mnie tylko, że tak się z tym pospieszył!

- Nie bądź taki nieuprzejmy dla tych pocziwców! – upomniała go matka. – Przy byle okazji zawsze cię rozpieszczali nadmiarem prezentów. A ty narzekałeś, kiedy trzeba było usiąść i napisać do każdego z nich list z podziękowaniem, choć nie zawsze byłeś zadowolony!

- O, pamiętam to dobrze! – powiedział Warren z przekąsem. – Powtarzałaś mi wtedy: „Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby!”

W czasie kiedy Warren wraz z matką wymieniali żartobliwe uwagi, Nadia rozpakowała prezent, który okazał się elegancką bombonierką. Czekoladki pochodziły ze sklepu Guntera na Berkeley Square, gdzie Warren często kupował niegdyś słodczyce dla matki. Ostatnio jednak lekarze zabronili lady Elizabeth spożywania potraw zawierających zbyt dużo cukru.

Nadia obejrzała uważnie pudełko, zajrzała do środka i powiedziała:

- Nie ma żadnego śladu, kto mógłby mi to przysłać!

- Możemy zapytać o to służącego, który odebrał paczkę przy drzwiach  
- odparł Warren.

Nadia otworzyła wieczko i uniosła papierową serwetkę.

- Wyglądają doprawdy bardzo zachęcająco! Proszę bardzo! - wyciągnęła rękę z pudełkiem w stronę Warrena i jego matki.

- Nie, dziękuję - młody markiz potrząsnął głową. - Może po kolacji.

- A mnie nie wolno jeść czekolady - oświadczyła lady Elizabeth. - Spróbuj, moja droga, smacznego!

- O nie! Wypiłam chyba zbyt dużo herbaty! - zaprotestowała Nadia.

Warren spojrzał na nią uważnie. Ostatnio spostrzegł, że Nadia sprawia wrażenie, jakby zmuszała się do przełknięcia każdego kęsa. Widocznie jedzenie zbyt dużych ilości naraz wciąż jeszcze sprawiało jej trudność.

Nadia zamierzała odłożyć bombonierkę na stolik, gdy lady Wood powiedziała:

- Spójrzcie tylko na tę żarłoczną Bertę!

Wraz z Warrenem wbiegły do salonu dwa psy. Od czasu, kiedy pojawił się w domu, nie odstępowały go niemal na krok. Obydwa należały kiedyś do stryja Artura.

Jeden z nich, rasowy spaniel, był ulubionym psem myśliwskim lorda Wood. Natomiast Berta, która zajmowała niegdyś pierwsze miejsca w psich wyścigach, miała już łapy zniekształcone przez reumatyzm i posiwiały ze starości pysk. Podążała jednak wszędzie za Warrenem, starając się dotrzymać mu kroku. Teraz też siedziała tuż przy jego krześle i uniósłszy się na tylnych łapach wlepiła łakomy wzrok w bombonierkę.

Widząc, że Nadia wydaje się zdziwiona zachowaniem Berty, lady Elizabeth pospieszyła z wyjaśnieniem:

- Biedny Artur w ostatnich latach niezmiernie polubił słodczyce. Bardzo utył i to najpewniej stało się przyczyną jego ataku serca. Dosłownie bez przerwy objadał się czekoladkami.

Uśmiechnęła się patrząc na Bertę.

- Berta poszła w ślady swego pana - dodała. - Wprost wyłazi ze skóry na widok czekoladek.

- A więc dostanie najsmaczniejszą! - powiedziała Nadia wyjmując jedną z nich, wyglądającą bardzo apetycznie i umieszczoną w samym środku pudełka.

Berta chwyciła ją w locie i oblizawszy się szeroko zaczęła prosić o więcej.

- Wystarczy już - stwierdził Warren. - I tak jest strasznie gruba!

- Jeszcze tylko jedną - uśmiechnęła się do niego Nadia i podała psu czekoladkę na dłoni.

Berta pożarła ją w mgnieniu oka. Nagle ciałem suki wstrząsnął dreszcz, za chwilę drugi i trzeci. Wijąc się w spazmatycznych drgawkach, Berta upadła na dywan i po chwili znieruchomiała przewróciwszy się na plecy. Jej oczy martwo patrzyły przed siebie.

Nadia krzyknęła przerażona:

- Co jej się stało? Czy to atak padaczki?

Warren uklęknął przy Bercie i przyłożył dłoń do klatki piersiowej zwierzęcia.

- Nie żyje! - powiedział.

- To niemożliwe! - zaprotestowała lady Elizabeth. - Dlaczego miałyby skonać... tak szybko?

- Ponieważ została otruta! - odparł Warren ściągając brwi.

Ujął matkę pod ramię i delikatnie odciągnął w stronę drzwi.

- Chciałbym, abyście teraz obydwie udały się do swych pokoi na górze - powiedział łagodnie, choć stanowczo. - Zamierzam niezwłocznie posłać po weterynarza, który zbada zarówno psa, jak i czekoladki. Coś niedobrego się tu dzieje. Nie chcę, żebyście się denerwowały!

- Ale ja już jestem zdenerwowana! - wykrzyknęła lady Elizabeth. - Któż mógłby być aż tak podły, żeby przysłać Nadii zatrute czekoladki!?

Warren milczał, mimo iż doskonale znał odpowiedź.

Odprowadził matkę do drzwi, Nadia podążała za nimi. Jej twarz była kredowobiała. Serce trzepotało w piersi jak mały, przerażony ptak. A więc znowu musi się bać? Czy nie było już dla niej bezpiecznego miejsca na świecie? Przez ostatnie trzy lata nie opuszczało jej uczucie strachu. Czy tak już miało być aż do końca?

Na piętrze Nadia rozstała się z lady Wood, która oświadczyła, że idzie uciąć sobie małą drzemkę. Na dole słychać było szybkie kroki i stanowczy głos Warrena.

Nadia weszła do swego pokoju. Położyła się na łóżku, ale nie była w stanie nawet zmrużyć oka. Leżała nieruchomo, patrząc przez otwarte okno na tańczące wśród konarów drzew promienie chylącego się ku zachodowi słońca i słuchając radosnego szczebiotu ptaków.

- Jak to się mogło stać? - pytała samą siebie.

Gdyby nie Berta, być może sama leżałaby teraz martwa! A Warren? Co by się stało, jeśliby nie odmówił, gdy go częstowała? Nadia poczuła, że drży, mimo iż w pokoju było bardzo ciepło. Przykryła się wełnianym pledem, lecz niewiele to pomogło.

I to wszystko zdarzyło się właśnie teraz, gdy zaczęła powoli odzyskiwać dawno utracone poczucie bezpieczeństwa! Tak dobrze było jej w tym domu, wśród życzliwych ludzi, a lady Elizabeth tak bardzo przypominała jej własną matkę! Obecność Warrena od początku wpływała na Nadie kojąco.

Zatrute czekoladki! Jak to się stało? Kto mógł tak bardzo pragnąć jej śmierci? Znała jedną odpowiedź na to pytanie: to mogli być tylko ci, którzy podążali wytrwale jej tropem przez ostatnie trzy lata!

Dygocząc cała ze strachu, Nadia padła na kolana.

- O Boże! - modliła się unosząc twarz ku niebu. - Nie pozwól, abym zginęła w ten sposób. Nie chcę umierać tak młodo!

Kiedy przebrzmiały słowa jej modlitwy, Nadia zamyśliła się głęboko. Czy to możliwe, że zaledwie kilka dni temu chciała odebrać sobie życie? Co takiego zaszło, że zapragnęła żyć znowu?

Być może to Warren był sprawcą tej zmiany. Zabrał ją ze świata, gdzie wszystko było jednym pasmem nędzy, upokorzeń i bólu, a wprowadził do jasnej krainy pełnej kwiatnych ogrodów, wspaniałych domów i eleganckich strojów.

I nagle okazało się, że za tą świetlistą zasłoną znajduje się to, co znała już tak dobrze: ciemność, przerażenie i śmierć. Mało brakowało, aby spróbowała jednej z zatrutych czekoladek! Miała ochotę zmusić się do tego, gdyż wiedziała, że okazując apetyt sprawi przyjemność Warrenowi.

Nadeszła pora kolacji. Zawoławszy pokojówkę, Nadia przebrała się i zeszła do salonu. Jej twarz była blada, a w oczach czaił się smutek. Nie zamierzała jeść kolacji. Chciała tylko życzyć dobrej nocy lady Elizabeth. Jednak pokojówka matki Warrena powiedziała, że pani śpi tak mocno, iż nie miała śmiałości jej budzić.

- A może ona umarła? - szepnęła do siebie Nadia drżąc na całym ciele. - Gdyby coś jej się stało z mojego powodu, miałabym ją na sumieniu!

Po wejściu do salonu Nadię zaskoczył widok Warrena stojącego przy jednym z wysokich okien z kieliszkiem szampana w dłoni. Skrzypnęły drzwi i młody markiz odwrócił się w jej stronę. Jeden rzut oka na zatroskaną twarz dziewczyny wystarczył mu, aby zrozumieć, co dzieje się w duszy Nadii.

Bez słowa podał jej trzymany w ręku kieliszek, a sam odwrócił się do małego stoliczka, gdzie w kubelku z lodem znajdowała się butelka szampana. Warren nalał sobie następną porcję trunku i stanął naprzeciw Nadii.

- I co... pan ustalił? - spytała ledwo dosłyszalnym głosem.

- Dokładnie to, co podejrzewałem - odparł. - Czekoladki zawierały truciznę, którą wstrzyknięto do nich bardzo przemyślnie. Nie sposób było domyślić się, co kryje ich wnętrze, dopóki nie objawiły swojego śmiertelnicznego działania!

Nagły dreszcz grozy wstrząsnął drobnym ciałem Nadii.

- Muszę stąd uciekać! - powiedziała szybko. Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej, bo... jeśli już wiedzą, gdzie jestem, to... wkrótce uderzą znowu. Nie zniosłabym, gdyby ktoś z was miał... zginąć przeze mnie.

Mówiła beładnie nerwowym, urywanym głosem. Na twarzy Warrena odmalowało się zdumienie.

- O czym pani mówi, Nadiu? - spytał zaskoczony.

Spojrzała na niego z roztargnieniem, a potem spuściła wzrok. Nie doczekawszy się odpowiedzi na swoje pytanie Warren oznajmił:

- Dam sobie głowę uciąć, że te czekoladki zostały przysłane przez pannę Magnolię Keane!

Zaskoczenie, które pojawiło się nagle w oczach Nadii, upewniło go w podejrzeniu, że dziewczyna miała zupełnie kogo innego na myśli.

- Jest pan... tego pewien? - spytała otwierając szeroko oczy. - Czy może pan powiedzieć, że jest tego pewien... całkowicie?

- Jak najbardziej - oświadczył Warren z mocą. - Weterynarz twierdzi, że wprowadzenie trucizny do czekoladek bez pozostawienia śladu wymagało wprawnej ręki albo... działania z ogromną determinacją!

Nadia odetchnęła głęboko.

- Ale dlaczego... panna Keane miałyby życzyć sobie mojej śmierci? - spytała nieco przytomniejszym tonem.

- Ponieważ nie widziała innego wyjścia z sytuacji! - odpowiedział Warren twardo.

- Ach tak... oczywiście! Jak to niemądrze z mojej strony, że nie pomyślałam o tym! - powiedziała Nadia niemal z ulgą, co zadziwiło wielce Warrena. - To prawda mówiła, że należy pan do niej i że nigdy nie pozwoli na to, abym... zajęła jej miejsce.

- Proszę powtórzyć mi dokładnie, co mówiła ta kobieta!

Przez moment Nadia zawahała się, lecz rzuciwszy spojrzenie na spochmurniałą twarz Warrena, postanowiła uczynić zadość jego życzeniu.

- Na początku spytała: „To właśnie pani próbuje wyjść za Warrena?”

- I jaka była pani odpowiedź?

- Że jesteśmy zaręczeni.

- A co się dalej stało? - indagował Warren nie znoszącym sprzeciwu tonem.

- Panna Keane oświadczyła mi, że jeśli będę nadal trwała w swoim zamiarze, gorzko tego pożałuję.

Nadia pamiętała tę rozmowę bardzo dobrze. Jeszcze teraz potrafiłaby odtworzyć w wyobraźni wszystkie szczegóły tamtej sceny. Jakże była niemądra, nie domyśliwszy się od razu, że to Magnolia mogła źle jej życzyć, widząc w niej najgroźniejszą rywalkę! Co prawda nigdy nie przyszłoby Nadii na myśl, że jakakolwiek angielska lady może zachować się w ten sposób. Nie przypuszczała też, że otoczona wierną i czujną służbą w domu matki Warrena może być narażona na tego typu niebezpieczeństwo.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jest mi przykro z powodu tego, co zaszło między panią a tą kobietą - powiedział Warren patrząc z troską na Nadie. - Myślałem, że spróbuje zemścić się na mnie, chociaż nie miałem pojęcia, co jej przyjdzie do głowy. Nigdy nie podejrzewałem, że będzie usiłowała zgładzić panią!

- Może... byłoby lepiej... gdyby jednak zdecydował się pan ją poślubić - szepnęła Nadia ledwo dosłyszalnym głosem. - Przecież kochał ją pan... kiedyś.

Urwała pojawiając, że słowa te, wypowiedziane pod wpływem nagłego impulsu, nie mają nic wspólnego z tym, czego życzyła Warrenowi. Czy ten szlachetny i prawy człowiek mógłby związać się z kobietą, która dla osiągnięcia własnych celów nie zawahała się przed próbą morderstwa?

Warren także nie wydawał się zachwycony taką perspektywą. Ściągnawszy surowo brwi, powiedział ostrym tonem:

- Nie kiwnąłbym nawet palcem, aby uratować Magnolię od szubienicy. Skończyłaby na niej niechybnie, gdyby nie chodziło tu tylko o tę biedną Bertę!

- Czy weterynarz nie mógł już nic dla niej zrobić?

- Berta padła na miejscu. To samo stałoby się z panią po spróbowaniu choćby jednej z tych czekoladek! - Zaciskając pięści Warren dodał: - Magnolia nie spodziewała się, że będę w domu matki, kiedy posłaniec przyniesie bombonierkę. Przypuszczała, iż pożegnania z rodziną zajmą mi czas aż do wieczora. Wiedziała też, że mamie nie wolno jeść czekolady - mówił z narastającym gniewem. - Pozostała więc tylko pani. Magnolia liczyła na to, że kiedy przyniosą bombonierkę, będzie pani sama!

Widząc przerażenie malujące się w oczach Nadii Warren stwierdził:

- To cud, że pani żyje, Nadiu. A ja jestem bezradny, bo nie mam żadnego dowodu, że to sprawka Magnolii!

Nadia podbiegła do niego i chwyciła go obiema rękami za ramię.

- Jakie to straszne! - wykrzyknęła. - Przecież... częstowałam pana tymi czekoladkami! A gdyby pan nie odmówił...

- Biedna stara Berta uratowała nas oboje - przerwał jej Warren łagodnie. - Poleciałem już, aby pochowano ją na starym psim cmentarzu,



gdzie spocznie obok wielu innych wiernych czworonożnych przyjaciół naszej rodziny!

Nadia uśmiechnęła się po raz pierwszy, od kiedy weszła do salonu.

- Pamiętam, że u nas... też był cmentarz dla psów - powiedziała. - Kiedy byłam małą dziewczynką, chodziłam tam, aby zostawiać kości na ich grobach. Wierzyłam głęboko, że nocą, kiedy nikt nie patrzy, psy będą mogły je sobie zjeść. I rzeczywiście, rano nigdy już kości nie było...

- A... gdzie był ten cmentarz? - spytał nagle Warren.

Nadia rzuciła mu szybkie, spłoszone spojrzenie i puściła jego ramię.

- Mówimy przecież o tej biednej starej Bercie - powiedziała szybko. - Jutro pójdę zobaczyć, gdzie ją pochowano.

- Wspominała pani także o swoich psach - Warren nie dawał za wygraną. - Jakie one były?

- Ja... ja wolę o tym nie mówić! - odparła Nadia wprost. - Chciałabym, aby powiedział mi pan, jak mam ustrzec się ataków ze strony panny Keane. Może dla pana dobra... powinnam wyjechać?

Mówiąc te słowa, wiedziała jednak, że niczego więcej nie pragnie, jak tylko pozostać tutaj. Przez krótką chwilę obawiała się, że Warren przyjmie jej propozycję. Jednak on, domyślając się, co dzieje się w duszy dziewczyny, ujął jej dłoń serdecznym, krzepiącym gestem.

- Proszę mnie posłuchać, Nadiu - powiedział poważnie. - Przynależem sobie, że zaopiekuję się panią, i dotrzymam słowa. Potrafię zapobiec podobnym wypadkom w przyszłości.

Czując, że jej ręka drży lekko, dodał:

- Czy nadal mi pani ufa?

- Pan wie, że tak jest - odpowiedziała Nadia cicho.

Przez długą chwilę milcząc patrzyli sobie w oczy.

Podczas kolacji Nadia starała się spróbować choć po trochu z każdego dania. Po posiłku wraz z Warrenem wrócili do salonu.

Cały horyzont zabarwił się purpurą, a ostatnie promienie zachodzącego słońca kładły długie cienie na starannie przystrzyżonych trawnikach w ogrodzie. Nadia i Warren niemal instynktownie podążyli w kierunku tego bajkowego widoku. Wyszedszy na taras przystanęli za-

chwyceni i obydwójce jednocześnie zadali sobie pytanie, czy to możliwe, że gdzieś na tym świecie czai się zdrada i niebezpieczeństwo...

Wolno ruszyli przed siebie żwirową ścieżką, po której obu stronach spoglądały na nich wykute w kamieniu rzeźby.

- Tak bardzo chciałbym, aby czuła się tu pani szczęśliwa - powiedział Warren z głębi serca.

- W tej chwili jestem szczęśliwa! - odpowiedziała Nadia. - Nie obawiam się już panny Keane ani... nikogo innego.

Warren spojrział na nią uważnie. Już od dawna podejrzewał, że istnieje jakiś powód do niepokoju, o którym dziewczyna wolała nie mówić. Domyślał się, że jest on związany z jej przeszłością. Nie chciał jednak zmuszać Nadii do wyjawienia mu swej tajemnicy w obawie, aby nie pomyślała, że kieruje nim tylko ciekawość. Już raz odmówiła mu ujawnienia faktów z przeszłości.

Wydawała się taka delikatna i krucha, że trudno było pojąć, jak udało jej się przeżyć ciężkie próby losu, którym została poddana w ostatnich miesiącach.

- Nie miałem dotąd okazji powiedzieć, jak wspaniale odegrała pani wczoraj swoją rolę! - powiedział Warren. - Wszyscy nasi krewni byli panią wprost oczarowani. Mówili mi, że mam niebywałe szczęście i że Buckwood wkrótce będzie miało wspaniałą panią!

- Wszyscy byli dla mnie bardzo mili - uśmiechnęła się Nadia. - A pana matka jest... po prostu cudowna!

- Ona mówi, że takiej właśnie żony zawsze pragnęła dla mnie.

- Jestem pewna, że ciężko przeżywa ostatnie wydarzenia!

- Po rozmowie z weterynarzem wyjawiałem jej moje podejrzenia. Powiedziała, że wszystkiego można się spodziewać po panie Keane.

- I na pewno obawia się... tak jak ja... że ona może pana skrzywdzić.

- Nie sędzę, aby Magnolia pragnęła mojej śmierci - zauważył Warren. Nadia wydała cichy okrzyk i chwyciła markiza za ramię.

- Ale... jeśli nie spełni pan jej żądań... i nie ożeni się z nią, nawet jeśli udałoby się jej mnie pozbyć, ona... znenawidzi pana i zapragnie się zemścić... tak jak pan teraz.

Ostatnie słowa wypowiedziała bardzo cicho. Warren usłyszał je jednak.

- Mam nadzieję - rzekł ujmując dłoń Nadii - że nie opuści mnie pani w potrzebie i że będę mógł liczyć na pani pomoc, tak jak do tej pory?!

Nadia nie zwróciła uwagi na żartobliwy ton, jakim zostały wypowiedziane te słowa.

- Czy ja naprawdę jestem w stanie pomóc panu w czymkolwiek? - spytała z powątpiewaniem.

- Dobrze pani wie, że tak - odparł Warren stanowczo. - Gdyby nie było pani tutaj, Magnolia znalazłaby już jakiś sposób na to, aby przekonać moich krewnych, że mam obowiązek ożenić się z nią. Tego właśnie obawiałem się najbardziej i dlatego zdecydowałem się poprosić panią o pomoc!

Nadia milczała przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała z wahaniem:

- Zastanawiam się, czy nie powinnam już wyjechać, ale... chyba nie jest to teraz najlepszy pomysł...

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknął Warren. - Potrzebuję pani tutaj, na miejscu. Proszę, aby nadal grała pani rolę mojej narzeczonej, dopóki nie będziemy całkiem pewni, że Magnolia zaniecha swoich sztuczek! - Po chwili milczenia dodał odrobinę mniej pewnym tonem: - A może wymagam zbyt wielkiego poświęcenia? Wiem, pomimo iż nie chce mi pani nic powiedzieć na ten temat, że wycierpiała pani już aż nadto w swoim życiu. Chyba nie mam prawa żądać od pani narażania się na ataki ze strony obłąkanej z zazdrości kobiety...

Nadia uśmiechnęła się na te słowa i Warren pomyślał, że ta pozornie tak słaba i krucha istota obdarzona jest wielką siłą wewnętrzną i hartem ducha.

- Obiecał pan przecież opiekować się mną - powiedziała przekornie.

- I zamierzam dopełnić przyrzeczenia! - oświadczył Warren. - Proszę tylko, aby pani została. Miałem nadzieję, że będę mógł poradzić się pani także i w innych problemach, z którymi zetknąłem się jako nowy właściciel Buckwood. Co dwie głowy to nie jedna...

- Obawiam się, że znacznie mnie pan przecenia - odparła Nadia. - Jestem przekonana, iż doskonale da pan sobie sam radę ze wszystkimi

trudnościami. Polubiłam ten dom i zostanę tu chętnie, o czym pan wie doskonale.

Spojrząwszy jej w oczy Warren ujrzał w nich skrywany głęboko niepokój. Jeśli Nadia wciąż jeszcze obawiała się zemsty Magnolii, postanowiła o tym więcej nie mówić.

- Błagam, aby pani została! - powiedział z uśmiechem, któremu niewiele kobiet potrafiłoby się oprzeć. - Niezależnie od naszej umowy byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdyby zdecydowała się pani mnie opuścić!

- Nie uczynię tego zatem. - Nadia skinęła głową z udaną powagą.

- A teraz proszę iść już spać! - oświadczył Warren. - Matka poleciła mi wysłać panią wcześniej do łóżka, gdyż na pewno pada pani ze zmęczenia. Powinna pani dużo spać i... dużo jeść!

Nadia roześmiała się i Warren pomyślał mimo woli, jak bardzo jej dźwięczny śmiech pasuje do uroczego miejsca, w którym się znajdowali.

- Nigdy nie zapomnę, jak bardzo był pan zaskoczony, ujrząwszy mnie po raz pierwszy w jednej z tych eleganckich paryskich sukien! - powiedziała wesoło. - Wiem, że powinnam jeść więcej, aby się nieco zaokrąglić. Musi pan jednak okazać mi trochę cierpliwości.

- Skoro tylko znajdę czas - powiedział Warren pogrążony we własnych rozmyślaniach - wybiorę się do Londynu po nowe, wspaniałe ubrania i przywiozę wszystko, co tylko pani zapagnie!

Mówiąc to zapomniał, że Nadia nie jest podobna do innych znanych mu kobiet, których jedynym marzeniem są wciąż nowe stroje i błyskotki. Zdumiał się więc, gdy dziewczyna nagłym, stanowczym ruchem oswobodziła swoją dłoń z jego dłoni i wyprostowawszy się powiedziała:

- Proszę... bardzo proszę. Przyjełam od pana w Paryżu nowe ubrania, ponieważ trudno byłoby mi inaczej odegrać rolę narzeczonej. Nie oczekuję jednak już... niczego więcej. Proszę mnie nie obrażać takimi propozycjami!

Warren zamyślił się na chwilę.

- Skoro wszyscy uważają panią za moją narzeczoną, oczekują też, że będę obsypywał panią prezentami, które są zawsze dowodem miłości! - powiedział.

- Nie! - odpowiedziała Nadia głosem nie dopuszczającym żadnej dyskusji, jakiego Warren nigdy dotąd nie słyszał z jej ust. Ponieważ milczał zaskoczony i jak gdyby lekko urażony, Nadia uznała, że powinna się wytłumaczyć:

- Prosząc mnie o odegranie roli pańskiej narzeczonej mówił pan, że nadaję się do niej, ponieważ jestem damą. Nie czułabym się nią, gdybym przyjęła od pana cokolwiek poza tym, co jest niezbędne do spełnienia mojego zadania!

Mówiła powoli i z godnością, starannie dobierając słowa. Nagle opuściła głowę i głosem, w którym zabrzmiała jakaś dziecinna nuta, dodała:

- Wiem, że mojej mamie nie spodobałoby się to. Dlatego proszę... niech pan nie stawia mnie w kłopotliwej sytuacji!

Słyszac jej drżący, niepewny głos, Warren skapitulował.

- No dobrze, Nadiu. Będzie tak, jak pani sobie życzy - powiedział. - Proszę jednak pozwolić sobie powiedzieć, że jest pani najbardziej niezwykłą i zaskakującą spośród znanych mi kobiet. Odwagi też pani nie brakuje!

Mówiąc to zauważył, że policzki Nadii zabarwia nagle mocny, niespodziewany rumieniec. Powieki jej pozostały opuszczone, gdyż nie śmiała teraz spojrzeć Warrenowi w oczy. Mimo to markiz pomyślał, że jest wyjątkowo uroczą dziewczyną.

Stwierdził też z zaskoczeniem, że to urok zupełnie innego rodzaju niż ten, który posiadała Magnolia.

## Rozdział 6

Przechadzając się powoli wokół bawialni Nadia podziwiała wiszące na ścianie portrety. Wiedziała, że każdy z nich stanowi część historii tego domu. Przyglądała im się więc pilnie pragnąc, aby pozostały jej w pamięci na długie lata.

Warren chętnie opowiadał o tym, w jaki sposób trafiały tutaj kolejne obrazy, a także wskazał płótno, które jego ojciec i matka dostali w prezencie ślubnym.

- Wszystkie przedmioty w tym pokoju stanowią pamiątkę wspólnego życia moich rodziców - powiedział. - Zajmują także należne im miejsce we wspomnieniach z mojego dzieciństwa. Matka strzeże ich jak największego skarbu.

- W każdej z tych rzeczy zawarta jest cząstka miłości, jaka panowała i panuje w waszej rodzinie - szepnęła Nadia.

Słyszając te słowa Warren uśmiechnął się i pomyślał, że tylko ona mogła uczynić takie spostrzeżenie. Ostatnio zdarzało mu się myśleć o Nadii coraz częściej, bez żadnej wyraźnej przyczyny. Wiedział, że każdy dzień przeżyty w tym domu jest dla dziewczyny szczęściem, którego nie potrafiła wyrazić słowami, lecz które tak łatwo można było wyczytać z jej oczu. Być może właśnie dlatego nie chciała wspominać strasznych, wypełnionych cierpieniem dni i okoliczności, które stały się przyczyną śmierci jej matki.

Istotnie, Nadia czuła się tak, jakby z samego dna piekieł trafiła nagle do opromienionego słonecznym blaskiem raj.

- Jak mogłam kiedykolwiek pragnąć śmierci, skoro istnieją na ziemi miejsca takie jak to? - pytała samą siebie.

Wiedziała jednak, że szczęście nigdy nie trwa wiecznie i że nadejdzie w końcu czas, kiedy trzeba będzie pożegnać ten dom i jego życzliwych mieszkańców.

Czasami budziła się w nocy myśląc, jak wspaniały był dzień, który właśnie się skończył, i ciesząc się z góry na ten, który nadchodził. Zawsze wtedy zadawała sobie pytanie, ile jeszcze takich dni pozostało do momentu, gdy Warren uzna, że jej rola dobiegła końca.

Nie chciała myśleć o tym, co będzie później. Postanowiła cieszyć się każdą chwilą spędzoną w domu matki Warrena. I dlatego tak pilnie przyglądała się wiszącym w bawialni i salonie portretom. Bardzo chciała zachować je we wspomnieniach na całe życie.

„On ma wszystko, o czym tylko można marzyć!”, pomyślała kiedyś o Warrenie i zaraz zawstydzila się tego niespodziewanego odruchu zazdrości.

- Jakże bardzo chciałabym być jedną z tych namalowanych na portrecie postaci! - mówiła wzdychając bezwiednie. - Pozostałabym wtedy tu na zawsze towarzysząc tym wspaniałym ludziom w ich dalszym życiu!

Myśl ta spodobała się Nadii tak bardzo, że wyobraziła sobie całą historię, jak to darowałaby swoją duszę i serce obrazowi namalowanemu przez jakiegoś słynnego malarza.

- Najlepiej byłoby, gdyby tłem do tego portretu był nie dom, lecz ogród - mruknęła, całkiem pochłonięta grą swojej wyobraźni.

Wyszędłszy na taras spojrzała na rząd kamiennych rzeźb ustawionych wzdłuż żwirowej ścieżki, którą nie tak dawno przechadzała się wraz z Warrenem.

Nagle wydało się Nadii, że zza drewnianych, znajdujących się w ceglany murze drzwi dobiega jakiś dziwny hałas. Dziewczyna wiedziała, że prowadzą one do sadu, w którym zaczynały już rumienić się pierwsze tego lata jabłka.

Zaciekawiona niezwykle odgłosem Nadia podbiegła do bramki i nacisnąwszy masywną klamkę pchnęła jedno z ciężkich skrzydeł. Skrzypnęły zawiasy. Dziewczyna zajrzała do sadu, a nie ujrawszy niczego, zdecydowała się postąpić kilka kroków naprzód. Wokół panowała cisza.

Zupełnie niespodziewanie, nie wiadomo skąd na głowę Nadii spadła jakaś ciemna, szorstka tkanina. Omotała jej szyję i ramiona w mgnieniu oka, zanim dziewczyna zdołała krzyknąć. Czyjeś ręce pochwyciły ją mocno, uniemożliwiając jakąkolwiek obronę, i uniosły szybko w nieznanym kierunku.

W tym samym czasie Warren w swym gabinecie przeglądał pilnie cały plik korespondencji. Były to głównie listy od nowych dzierżawców tych majątków, które pozostawały puste przez okres choroby stryja Artura. Szczególną uwagę markiza zwrócił raport zarządcy majątku w Devonshire.

Zapoznawszy się z treścią przygotowanych dla niego sprawozdań, Warren zamyślił się głęboko. Wiedział, że wkrótce będzie musiał odwiedzić osobiście wszystkie posiadłości, a szczególnie stajnie w Newmarket, gdzie trzymano najlepsze konie wyścigowe stryja.

Każdy dzień przynosił mu nowe obowiązki. Z królewskiego dworu nadeszło wiele zaproszeń od bardzo ważnych osobistości. Warren zdawał sobie sprawę z tego, że żadnego z nich nie może zlekceważyć. Właśnie otwierał kolejny list oznaczony pieczęcią używaną przez królewskich urzędników, gdy do gabinetu wszedł Greyshott.

– Myślę, że chciałby pan dowiedzieć się o tym jak najprędzej, milordzie – powiedziała kłaniając się sekretarz. – Rozmawiałem przed chwilą z weterynarzem. Potwierdził on moje wcześniejsze podejrzenia, że trucizna, którą wstrzyknięto do czekoladek, pochodziła z tego domu!

Warren zmarszczył brwi. Kiedy Greyshott powiedział mu o tym poprzedniego dnia, nie chciał uwierzyć i zażądał dowodów. Teraz przypomniał sobie jednak: stryj Artur nigdy nie pozwalał strzelać do koni lub psów, które były zbyt stare albo zbyt chore, aby żyć dalej. Wolał, jak sam mówił, „pozwoić im zasnąć”. Przekonał więc miejscowego weterynarza, żeby spreparował silną truciznę, która działałaby w bardzo krótkim czasie po połknięciu jej przez zwierzę.

Prawdę mówiąc Warren sam zachodził w głowę, gdzie mogła Magnolia w tak szybkim czasie zdobyć śmiertelną truciznę... Greyshott, którego Warren zdecydował się wtajemniczyć w sprawę zatrutych czekoladek, rozpoznał też bombonierkę, którą stryj Artur kazał zamówić u Guntera na krótko przed atakiem serca.

Sekretarz zdradził mu, że lord Wood przechowywał truciznę w zamkniętej na klucz szafie w zbrojowni, do której nikt nie wchodził bez jego pozwolenia.

– Skąd panna Keane mogła o tym wiedzieć? – dopytywał się Warren.  
– Sądzę, że od pańskiego kuzyna, milordzie – odpowiedział Greyshott.  
– Mógł też zdradzić jej to przypadkiem lord Artur. Sam słyszałem kiedyś ich rozmowę o tym, jak trudno jest rozstawać się z ukochanymi zwierzętami. – Zamyśliwszy się na chwilę dodał: – Tak jest, teraz przypominam sobie dokładnie. Podczas pobytu panny Keane w Buckwood markiz zmuszony był skrócić cierpienia psa, który nic już nie mógł jeść z powodu guza w gardle.



- A więc to tak było - pokiwał głową Warren. - Panna Keane musiała zdobyć tę truciznę wkrótce po tym, jak pan przekazał jej moje polecenie, aby opuściła ten dom!

Greyscott milczał przez chwilę.

- Nie chciałem pana niepokoić w dzień pogrzebu, ale już wtedy zauważyłem, że ktoś wyłamał zamek od szafy w zbrojowni! - powiedział.

Sprawa była całkiem jasna. Warren postanowił więc zająć się dalszymi raportami od dzierżawców. Spory ich plik przyniósł mu właśnie Greyscott wraz z innymi dokumentami, które należało podpisać. Warren polecił sekretarzowi poczekać, aż zapozna się w spokoju z ich treścią.

- Wrócę tu za pół godziny, milordzie - oświadczył Greyscott i zniknął za drzwiami.

Nieoczekiwanie okazało się jednak, że listy są wyjątkowo długie. Warren uporał się zaledwie z kilkoma z nich, kiedy usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi.

- Za wcześnie pan przyszedł, Greyscott! - powiedział nie unosząc wzroku znad dokumentów. - Jeszcze nie skończyłem.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, Warren spojrział w stronę drzwi i drgnął zaskoczony. Na progu pokoju stała Magnolia, która najwyraźniej zdecydowała się już porzucić ciężką żałobę i przywdziała ubiór jeszcze bardziej kokieterijny niż zazwyczaj. Jej uszyta z różowego szyfonu suknia miała wymyślny, oryginalny krój, a szeroki, letni kapelusz zdobiły kwiaty i wstążki w tym samym kolorze. Przez długą chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Potem Warren podniósł się niechętnie zza biurka.

Kołysząc wdzięcznie przy każdym kroku biodrami, Magnolia podeszła niespiesznie do niego i stanęła po drugiej stronie zavalonego papierami blatu.

- Co pani tu robi, Magnolio? - spytał Warren. - Czyż nie powiedziałem wyraźnie, że nie życzę sobie jej obecności w tym domu?

- Ale ja stale tęsknię za twoją obecnością, najdroższy Warrenie - odpowiedziała. - Sądzę, że kiedy wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia, uznasz, że warto było poświęcić mi chwilę uwagi!

– Nie interesują mnie kolejne pani kłamstwa! – oświadczył Warren podniesionym tonem. – Nie mamy już sobie nic do powiedzenia. Proszę odejść i zostawić mnie w spokoju!

Usiadł z powrotem na krześle patrząc na nią z nie ukrywaną niechęcią. Przez cały czas zastanawiał się usilnie, czy ma rzucić Magnolii w twarz oskarżenie o usiłowanie zabójstwa Nadii, czy lepiej będzie nic nie mówić na ten temat.

Niepokoił go sposób, w jaki przyglądała mu się zza długich, ciemnych rzęs. W jej oczach był triumf, którego nie rozumiał i który sprawił, że serce jego napełniło się niepokojem.

Magnolia położyła na biurku trzymaną w ręku kartkę papieru. Powoli, jakby rozkoszując się przeciąganiem tej sceny w nieskończoność, zaczęła zdejmować swe długie skórzane rękawiczki.

Nagle uniosła do góry lewą dłoń.

– Widzisz, mój drogi, co nałożyłam dzisiaj dla ciebie? – spytała.

Zaskoczony Warren rozpoznał na jej serdecznym palcu pierścionek, który niegdyś dostała od niego. Pamiętał doskonale, jak wybierał go długo u jubilera na Bond Street. Przed wręczeniem Magnolii pierścionka ucałował go podobnie jak i jej serdeczny palec mówiąc:

– Ponieważ nie możemy obecnie ogłosić naszych zaręczyn ani wyznaczyć daty ślubu, przyjmij ode mnie ten pierścionek na dowód, że należymy już do siebie na wieki!

– Och, mój ukochany, bardzo tego pragnę! – wykrzyknęła wtedy Magnolia.

– Przrzeknij, że nigdy mnie nie opuścisz – mówił dalej Warren. – A ponieważ nie możesz nosić tego pierścionka za dnia bez narażania się na kłopotliwe pytania, proszę, abyś zakładała go w nocy, kiedy leżysz już w łóżku i myślisz o mnie przed zaśnięciem!

– Wiesz dobrze, mój drogi, że tak zrobię.

Wyciągnąwszy rękę przed siebie przyglądała się z zachwytem, jak promienie słoneczne schwywane w sieć osadzonych w złocie diamentów rozsiewają wokoło różnokolorowe blaski. Wyglądała przy tym tak cudownie, że Warren niewiele myśląc porwał ją w ramiona i całował aż do utraty tchu.

Wspomnienie tej sceny powróciło teraz niezwykle wyraźnie. Wzdrygnął się z niesmakiem i rzucił ostro:

- Powiedziałem już: proszę wyjść! Jeśli nie opuści pani natychmiast tego pokoju, będę zmuszony zadzwonić na służbę!

- Wątpię, żebyś miał ochotę dzwonić na kogokolwiek, gdy wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia - wycedziła Magnolia.

Ująwszy w dwa palce kartkę papieru, z którą tu przyszła, uniosła ją do góry mówiąc:

- To jest dyspensa od biskupa na natychmiastowe zawarcie małżeństwa!

- O czym, do licha, pani mówi? - wykrzyknął Warren zrywając się ponownie zza biurka.

- To takie oczywiste - odparła Magnolia. - Po prostu pojedziemy i weźmiemy ślub natychmiast. Wydałam już odpowiednie polecenia. Pastor oczekuje nas na plebanii!

- Pani chyba oszalała! Prędzej poślubiłbym samego diabła! - Warren podniósł głos jeszcze bardziej i uderzył pięścią w blat biurka.

Magnolia była całkiem spokojna. Powolnym ruchem podsunęła mu przed oczy otrzymany od biskupa dokument tak, aby mógł zapoznać się z jego treścią.

- Jeśli nie ożenisz się ze mną natychmiast, kobieta, którą przywiozłeś tu jako swoją narzeczoną, zginie! - oświadczyła twardo.

Warrenowi zabrakło tchu i przez chwilę miał wrażenie, że serce zamarło mu w piersi. Kiedy wreszcie się opanował, spytał:

- Czy mogę dowiedzieć się dokładniej, co mają znaczyć pani słowa?

- Proszę bardzo! - odparła Magnolia ze zwycięskim uśmiechem. - Tej dziewczyny nie ma już w twoim domu, Warrenie. Przebywa teraz w miejscu, którego nie odnajdziesz nigdy. Dopóki nie weźmiesz ze mną ślubu, ona nie dostanie nic do jedzenia! Radzę ci więc pospieszyć się z podjęciem decyzji!

Zapadło ciężkie milczenie.

- Nie wierzę pani! - krzyknął Warren.

Magnolia spojrzała na niego spod opuszczonych rzęs i uśmiechnęła się. Warren poczuł, że nogi uginają się pod nim. Nie musiał żądać dowodów. Wiedział, że ta kobieta nie żartuje.

Magnolia przechyliła głowę tak, jak czyniła zawsze chcąc ukazać piękną linię swej łabędziej szyi.

- Ta, którą nazywasz swoją narzeczoną, została zabrana z ogrodu twojej matki, Warrenie, i przewieziona do pewnego bardzo dobrze wybranego miejsca. Jeśli wydaje ci się, że zdołasz do niego dotrzeć, to ręczę, że nigdy ci się to nie uda!

Powoli wzruszyła ramionami.

- Nawet gdybyś poruszywszy niebo i ziemię zdołał ją odnaleźć, i tak będzie już za późno. Do tego czasu ona niechybnie umrze z głodu!

Odetchnąwszy głęboko Warren potrząsnął głową, jak gdyby wciąż nie wierzył własnym uszom. Spojrzał na dokument, który Magnolia położyła przed nim na biurku, i upewnił się, że jest to istotnie pozwolenie na natychmiastowy ślub wystawione na nazwisko jego i panny Keane.

Warren nie miał żadnych wątpliwości, że Magnolia jest zdolna do spełnienia swojej groźby. Jej triumfujący wzrok świadczył o tym, iż uznała już go za pokonanego.

- Oczywiście zdajesz sobie sprawę z tego, że twoje postępowanie jest zwykłym szantażem - powiedział cicho. - Być może moglibyśmy porozmawiać o innym rozwiązaniu całej tej sprawy?

Magnolia roześmiała się głośno.

- Pięknie powiedziane! Nie pragnę od ciebie niczego więcej, mój ukochany, poza tym, żebyś niezwłocznie uczynił mnie swoją żoną!

Warren nagle zapragnął wykrzyknąć jej prosto w twarz, że nikt i nic nie jest w stanie zmusić go do tego. Ujrzał jednak tuż przed oczami bladą, wymizerowaną twarzyczkę Nadii, tak jak wyglądała tego wieczoru, kiedy powstrzymał ją przed skokiem do Sekwany. Wspomniał swoje zmieszanie, kiedy przekonał się, że dziewczyna głodowała przez ostatnie miesiące. Podczas tych paru dni wspólnego pobytu w Buckwood obserwował, jak z wolna jej policzki wypełniają się i nabierają rumieńców, a oczy odzyskują dawny blask. Z coraz większym zdumieniem odkrywał, że Nadia jest piękna. A kiedy się śmiała lub kierowała ku niemu rozjaśniony

szczęściem wzrok, nie mógł wprost uwierzyć, że jest to ta sama przerażona, nieszczęśliwa istota, która przysłała na brzeg Sekwany, aby odebrać sobie życie.

Warren doskonale zdawał sobie sprawę, że Nadia nie zdołała jeszcze odzyskać sił i że kilka dni spędzonych w ciężkich warunkach wystarczy, aby ją zabić.

– Szkoda twego czasu, Warrenie! – powiedziała Magnolia, jakby czytając w jego myślach. – Pomimo całej twojej inteligencji i sprytu, tym razem ja jestem górą!

Warren milczał zacisnąwszy mocno usta.

– Ach, mój ukochany! – powiedziała Magnolia zupełnie innym tonem. – Wynagrodzę ci to stokrotnie, kiedy już będę twoją żoną! Znajdziesz we mnie wspaniałą towarzyszkę życia i kobietę, o której zawsze marzyłeś! Zachichotała nagle i dodała rozmarzonym głosem: – Nikt nie jest bardziej czułym i namiętnym kochankiem od ciebie. Wiem dobrze o tym, że nasze ciała zawsze tęskniły do siebie. Będąc już markizą, uczynię wszystko, abyś był najszcześniejszym człowiekiem na ziemi!

Rzuciwszy Warrenowi kuszące spojrzenie spod rzęs, Magnolia stwierdziła, że on jej zupełnie nie słucha. Nieobecny, roztargnionym wzrokiem błądził wokoło, szukając ratunku jak schwytań w potrzask zwierzę.

– Powiedz mi, co zrobiłaś z Nadią! – powiedział niemalże błagalnym tonem.

– Dowiesz się, kiedy tylko wyjdziemy z kościoła po zawarciu małżeństwa. Teraz pojedziemy na plebanie moim powozem, a ty polecisz, aby za nami udał się ktoś ze służby. Po zakończeniu ceremonii powiem mu, gdzie ma szukać tej dziewczyny, i rozkażę, aby mi się nie pokazywała na oczy!

Głos Magnolii brzmiał twardo. Spojrzawszy na nią Warren zrozumiał, jak bardzo ta kobieta musiała nienawidzić Nadii za to, że zajęła jej miejsce. Widać było, że nie zawaha się ani przez chwilę wydając na rywalkę wyrok śmierci.

Markiz ponownie spojrzał na leżący na stole dokument z pieczęcią biskupa. Gorączkowo zastanawiał się, jak ma zareagować. Przyszło mu

na myśl, że mógłby zadzwonić na służbę, wezwać Greyshotta i zorganizować zakrojone na szeroką skalę poszukiwania Nadii. Takie postępowanie spowodowałoby jednak zapewne mnóstwo domysłów i plotek, a nawet mogłoby zainteresować wścibskich reporterów. Warren wiedział, że powinien wystrzegać się posunięć, które naraziłyby na szwank dobre imię rodziny Wood.

Poza tym markiz przeczuwał, że nawet gdyby użył do poszukiwań wszystkich dostępnych mu środków, szansa odnalezienia Nadii żywej była bardzo niewielka.

Tereny położone wokół Buckwood zajmowały tysiące hektarów. Podczas wyprawy Warrena do Afryki Magnolia przebywała tu dostatecznie długo, aby dobrze poznać bliższe i dalsze okolice. Mogła znaleźć setki dogodnych kryjówek nadających się do uwięzienia Nadii.

Wzrok Warrena padł na elegancki, oprawny w złoto komplet do pisania listów. W ostatnich czasach podobne przyrządy znajdowały się na biurku każdego szanującego się dżentelmena. Był więc tam duży złoty kałamarz, misternie grawerowana podstawka do piór, suszka i niewielka świeczka w miniaturowym lichtarzyku służąca do rozgrzewania wosku, którym pieczętowano listy. Tuż obok leżała złota linijka, para złotych nożyc i rozcinacz do kopert o złotej rękojeści i ostrej stalowej klindze. Na każdej sztuce kompletu widniał herb rodziny Buckwood.

W mgnieniu oka Warren zrozumiał, że istnieje dla niego tylko jedno wyjście z sytuacji. Spojrzał na Magnolię. Patrzyła na niego z uśmiechem, który wydał mu się drwiący.

– Proszę podać mi rękę! – powiedział głośno i wyciągnął ku niej prawą dłoń.

Magnolia nie wydawała się zaskoczona tym żądaniem. Bez słowa podała mu rękę, na której błyszczał otrzymany niegdyś od Warrena pierścionek.

Warren błyskawicznie pochwycił z biurka rozcinacz do kopert i zdecydowanym ruchem przejechał jego ostrzem po grzbiecie dłoni Magnolii. Z głębokiej rany natychmiast popłynęła szerokim strumieniem krew.

Zaskoczona Magnolia krzyknęła przeraźliwie spoglądając na zranioną dłoń. Próbowwała ją uwolnić z żelaznego uścisku Warrena, lecz on trzymał

mocno za nadgarstek. Kilkoma zwinnymi krokami obszedł biurko i znalazł się tuż przy Magnolii patrząc jej prosto w twarz. Ściskając drugą ręką ozdobny sztylet podsunął go tuż przed oczy panny Keane.

- Jak śmiałeś mnie skaleczyć! - krzyknęła Magnolia. - Jaka to straszna rana!

- To jeszcze nic w porównaniu z tym, co cię czeka, jeśli nie powiesz mi natychmiast, gdzie jest Nadia! - powiedział Warren spokojnie.

- Moja ręka krwawi!

Warren spostrzegł, że krew ze skaleczonej dłoni Magnolii spływa także i po jego palcach.

- Tak, istotnie, rana jest głęboka - stwierdził. - Jeśli nie spełnisz niezwłocznie mojego żądania, okaleczę w ten sam sposób twoją twarz: najpierw z jednej, a potem z drugiej strony!

- Nie ośmielisz się! - syknęła Magnolia, lecz w oczach jej pojawił się strach.

- Posunęłaś się zbyt daleko - powiedział Warren. - Nie zawaham się ani sekundy przed uczynieniem tego, co zamierzam. Jeśli nie wyjawisz mi natychmiast, gdzie przebywa Nadia, oszpecę cię na zawsze. Mam zaczynać?

Zbliżył ostrze jeszcze bliżej do twarzy Magnolii, tak że niemal dotknęło jej policzka.

Magnolia szarpnęła się silnie, lecz Warren trzymał ją mocno. Pojęła, że nie ma żadnych szans w walce z nim i że słowa jego nie są jedynie pustymi groźbami. Poczuła, jak ogarnia ją obezwładniające przerażenie.

- A więc dobrze - powiedziała cicho. - Ona jest w starej kopalni.

- Nie kłamiesz?

- Nie.

- Jeśli okaże się, że mnie oszukałaś - ostrzegł Warren - odnajdę cię wszędzie, aby spełnić moją groźbę!

Magnolia milczała patrząc w bok.

- Ostrzegam cię, Magnolio! - dodał młody markiz. - Mam wielką ochotę dać ci nauczkę na przyszłość. Najlepiej byłoby, gdyby twoja uroda nie zaślepiła już więcej żadnego naiwnego głupca!

Mówiąc to Warren puścił jej rękę tak gwałtownie, że Magnolia zachwiała się i omal nie upadła na podłogę. Nie zwracając już na nią uwagi markiz odrzucił rozcinacz do kopert i wypadł z gabinetu trzasnąwszy drzwiami.

Dwaj mężczyźni, którzy porwali Nadie z sadu, ponieśli ją szybko do stojącego opodal powozu.

Rzuciwszy ją brutalnie na siedzenie, sami zajęli miejsca tyłem do kierunku jazdy i zatrzasnęli drzwi. W tej samej chwili powóz ruszył gwałtownie.

Nadia nie śmiała nawet się poruszyć. Brakowało jej tchu poprzez gęstą, szorstką tkaninę, którą owinięto jej głowę. Czuła, jak drży cała, a serce łomocze nieprzytomnie w piersi. Chciała krzyżeć, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wyschnięte gardło nie było w stanie wydać żadnego dźwięku. Gdyby nawet udało się Nadii krzyknać, porywacze na pewno zdecydowaliby się ogłuszyć ją uderzeniem w głowę.

Dziewczyna była pewna, że porwali ją ci sami ludzie, którzy od miesięcy tropili wytrwale ją i jej matkę po całej Europie. Zbyt przerażona, aby myśleć o ratunku, modliła się już tylko o szybką śmierć. Postanowiła jednak do końca nie tracić zimnej krwi i nie prowokować złoczyńców do gwałtownych czynów.

– Boże, pozwól mi umrzeć jak najprędzej! – modliła się rozpaczliwie, aby w następnej chwili zwrócić się w myślach do Warrena. – Ratuj mnie! Ratuj!

Wiedziała, że wzywa go na próżno. Czasami wydawało jej się, że powinna czym prędzej wymyśleć jakiś sposób na odebranie sobie życia, zanim oprawcy zaczną ją torturować. Nie starała się nawet opanować drżenia, jakie co chwila wstrząsało jej ciałem, ani łez płynących bez ustanku po policzkach.

Nagle usłyszała, jak jeden z porywaczy zwraca się do drugiego:

– Daleko to jeszcze?

– Niedaleko – odparł tamten. – Musi to gdzieś tutaj.

Nadia poczuła ogarniającą ją falę niespodziewanej ulgi. Twardy szkocki akcent wyraźnie wyczuwalny w mowie obydwu opryszków nie



pozostawiał cienia wątpliwości! Ci mężczyźni z całą pewnością nie pochodzili z kontynentu! A więc kim byli i dlaczego ją porwano?

Nadia zdołała w końcu opanować obezwładniające ją do tej pory przerażenie i starała się myśleć logicznie. Magnolia Keane! To na pewno ona wynajęła tych bandytów, żeby usunęli niewygodną rywalkę!

Jeśli tak sprawy się miały, to Warren prędzej czy później dowie się o wszystkim. Nadia czuła, że markiz nie zawaha się ani chwili i czym prędzej pospieszy na pomoc. Nie musiała już obawiać się niechybnej śmierci. Bała się nadal tych brutalnych, nieokrzesanych mężczyzn, tego, co Magnolia poleciła z nią zrobić, ale zaczęła mieć nadzieję.

Błagam cię, przybądź! Uratuj mnie!, słała ku Warrenowi gorące prośby wierząc, że ulecą ku niemu poprzez dzielącą ich przestrzeń. I nagle, jak przecinająca ciemność błyskawica, olśniła ją myśl, że go kocha. Kochała go przez cały czas, od pierwszej niemal chwili, nie zdając sobie z tego sprawy!

Wydawało jej się, że tylko lubi na niego patrzeć, rozmawiać z nim, jeździć na konne przejażdżki... Ale za każdym razem, gdy wchodził do salonu lub jadalni, jej serce biło szybciej, a świat wokół stawał się jaśniejszy i bardziej radosny.

Kocham go!, myślała zaskoczona, lecz czymże ja jestem dla niego? Jedyne przypadkowo napotkaną osobą, która zgodziła się pomóc mu uwolnić się od tej podstępnej i podłej kobiety! Dzięki Bogu, że zdążył poznać się na Magnolii, zanim zdołała złapać go w swoje sidła!

Przypomniawszy sobie, jak łakomstwo starej Bertie uratowało ją od niechybnej śmierci, Nadia znów poczuła głęboko w piersi nieznośny, gniotący ból, po którym całe ciało ogarniało lodowate zimno. Wiedziała już, że to strach przed śmiercią. Doznała go tej nocy po otruciu psa, kiedy leżała nie mogąc zasnąć aż do świtu. Następnego dnia pojechała wraz z Warrenem odwiedzać okoliczne farmy. Stwierdziła wtedy ze zdumieniem, że w jego obecności potrafi bardzo szybko zapomnieć o swoim lęku.

A teraz Magnolia znów zapragnęła pozbyć się rywalki i jedyną osobą, która mogła przyjść Nadii z pomocą, był Warren! Ocal mnie! Uratuj!, wołała z głębi swego serca.

Bała się, że porywacze dostali polecenie, aby ją zabić, i że Warren przybędzie za późno. Wkrótce jednak wytłumaczyła sobie, że gdyby chcieli ją zgładzić, zrobiliby to, gdy weszła sama do sadu. A więc była im potrzebna żywa!

Wieźli ją już dość długo, a sądząc z ich rozmowy, zmierzali do konkretnego celu. Prawdopodobnie mieli zamiar ją uwięzić, a może trzymać w zamknięciu tak długo, aż umrze z głodu i pragnienia.

Była to kolejna przerażająca perspektywa, lecz Nadia uczepliła się kurczowo tej jednej myśli, że Warren zdoła przejrzeć nikczemny plan Magnolii i zrobi wszystko, aby go udaremnić.

To była rozgrywka między Warrenem a Magnolią, walka na śmierć i życie. Po jednej stronie żądza zaszczytów i bogactwa, po drugiej – nienawiść, która była niegdyś miłością. Nadia wierzyła głęboko, że Bóg nie pozwoli, aby w tym pojedynku zło zatriumfowało nad sprawiedliwością.

Powóz zatrzymał się nagle i dziewczyna usłyszała, jak jeden z porywaczy mówi:

– No, przyjechali my na miejsce. Poczekaj no, chłopie, nie tak prędko. Pierwej trza nam drzwi otworzyć!

Obydwaj wysiedli z powozu zostawiając Nadię samą.

W ciszy, która nagle zapadła, słyhać było tylko parskanie koni i kaszel siedzącego na koźle woźnicy. Nadii przyszło na myśl, że mogłaby teraz spróbować uwolnić się od derki, którą ją owinięto. Obawiała się jednak, że woźnica dostrzeże jej ruchy i zaalarmuje pozostałych bandytów. Kto wie, co zrobią, gdy się zorientują, że próbowała ucieczki!

– Och, Boże, jak ja się boję! Tak strasznie się boję! – wyszeptała i zaraz potem dodała tonem tej samej żarliwej modlitwy: – Warrenie... uratuj mnie, proszę! Kocham cię!

Powtarzała te słowa, dopóki nie zabrakło jej tchu.

Potem pomyślała, że Magnolia z pewnością użyje jakichś sztuczek, aby zmusić Warrena do małżeństwa, a spotkawszy się z odmową bez wątplenia zapragnie zemsty.

„Ona jest szalona i bezwzględna!”, pomyślała Nadia i nagle serce jej zamarło z lęku, gdyż usłyszała zbliżające się głosy obydwu mężczyzn.

Jeden z nich wyciągnął ją z powozu i postawiwszy na ziemi popchnął, by szła przodem. Nadia poczuła, że grunt pod jej stopami gwałtownie się obniża. Schodząc w dół z głową wciąż owiniętą derką nieraz potykała się o ostre, wystające kamienie. Czasami z trudem udawało się jej zachować równowagę. Nagle teren wyrównał się.

– Stójże już! Idziem nazad! – powiedział nagle jeden z bandytów, a jego głos odbił się głośnym echem od pobliskich ścian, tak jakby znajdowali się w nisko sklepionym pomieszczeniu.

Niespodziewanie pchnięta silną dłonią, Nadia upadła na ziemię, kłacząc się dotkliwie o ostre krawędzie skały. Obydwaj porywacze spieszenie oddalili się w stronę, z której nadeszli. Wkrótce ich głosy ucichły, a Nadia usłyszała łoskot zatrzaskiwanych drzwi i zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. W kilka chwil później zaturkotały w oddali koła oddalającego się powozu.

Dopiero wtedy Nadia ośmieliła się poruszyć. Czym prędzej uwolniła głowę i ramiona od zwojów grubej, szorstkiej tkaniny. Przez jedną straszną chwilę wydało się jej, że oślepla, gdyż po usunięciu derki wokół niej nadal panowała ciemność. W kilka sekund później Nadia zdołała jednak dostrzec blady odbłask światła gdzieś w oddali.

Powietrze wokół przesycone było wilgocią i zapachem stęchlizny. Nadia postanowiła udać się w kierunku tego słabego światła, gdyż wydawało jej się, że właśnie tam powinny znajdować się drzwi.

Wyciągając na oślep ręce przed siebie, zaczęła ostrożnie wstawać. Pamiętając, jak głośnym echem rozbrzmiewały w tym pomieszczeniu głosy porywaczy, uniosła ramiona w górę i natychmiast dłonie jej dotknęły zimnej, wilgotnej skały.

Wyprostowawszy się, niemal sięgnęła głową kamiennego sklepienia. Postanowiła poruszać się bardzo ostrożnie, na wszelki wypadek pochylając się do przodu. Podniosła leżącą u jej stóp derkę i powoli, krok za krokiem, zaczęła posuwać się w stronę smugi bladego światła. Co chwila przystawała, wolną ręką badając przestrzeń wokół siebie. Tak jak podejrzewała, źródłem światła okazała się szpara pod masywnymi, wykonanymi z drewnianych belek drzwiami.

A więc była to kopalnia! Nadia pociągnęła nosem, lecz nie wyczuła charakterystycznego zapachu pyłu węglowego. Najwyraźniej szyb był już opuszczony od dawna.

Dziewczyna z całej siły pchnęła ciężkie drzwi, które ani drgnęły.

– Ratunku! Na pomoc! – krzyknęła Nadia uderzając pięściami w szorstkie belki.

Cisza. Jedynie pulsujące echo jej głosu milkło powoli w czeluściach szybu. Była tu całkiem sama. Nawet ci, którzy ją uwięzili, oddalili się w nieznanym kierunku.

Ciałem Nadii wstrząsnął lodowaty dreszcz strachu. A więc taka sądzona jej była śmierć! Jeśli Warren jej nie odnajdzie, będzie konała długo z głodu i pragnienia, a ciało jej pozostanie tu na długie miesiące, może nawet lata!

Nadia upuściła trzymaną w ręku derkę i osunęła się na nią wsparta ramieniem o drzwi. Ukrywszy twarz w dłoniach zaczęła słać gorące prośby, lecz nie do Boga, a do tego, ku któremu wyrывało się jej serce.

– Uratuj mnie, Warrenie! – powtarzała bez końca. – Przybądź tu, zanim będzie za późno! Kocham cię! Nie chcę umierać... bo wtedy nie zobaczę cię już nigdy więcej.

## Rozdział 7

Na dziedzińcu Buckwood stał jak zwykle gotowy do drogi kabriolet. Warren używał go zazwyczaj wtedy, gdy chciał odwiedzić któryś z sąsiadnich majątków lub udać się do domu lady Elizabeth.

Nie zwlekając ani chwili młody markiz wskoczył na kozioł i pochwycił lejce. Stajenny, który trzymał konie za uzdy, uskoczył czym prędzej w bok i powóz ruszył gwałtownie z miejsca.

Warren pamiętał, gdzie znajdowała się stara kopalnia, i miał nadzieję, że zdoła dotrzeć tam najkrótszą drogą. Zastanawiał się, w jaki sposób Magnolia poznała to odludne miejsce. Prawdopodobnie stało się to podczas sezonu polowań na lisy. Zwierzęta te szczególnie upodobały sobie gęste krzewy, które porastały stare hałdy nieczynnej dawno kopalni.

Z drżeniem serca Warren wyobraził sobie Nadię zamkniętą w jednym z zapuszczonych, zatechłych szybów. Zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo musi być przestraszona i zatrwożona. Najbardziej obawiał się, że poczucie zagrożenia może pchnąć dziewczynę do desperackich czynów, tak jak niegdyś nad brzegiem Sekwany. Przejęty lękiem o życie Nadii pomyślał, że byłby zdolny zabić Magnolię z zimną krwią.

Warren zdał sobie sprawę, że sama myśl o cierpieniach Nadii sprawia mu niemal fizyczny ból. Nigdy dotąd nie doznawał takich uczuć. A przecież przysięgał sobie, że po bolesnych doświadczeniach z Magnolią nigdy już nie zwróci swego serca w stronę żadnej kobiety!

Kiedy spotkał Nadię, wzruszyła go jej bezbronność i zaimponowała odwaga. Sprawiała mu przyjemność myśl, że może pomóc tej ciężko doświadczonej przez los dziewczynie. Czy mógł wtedy przypuszczać, że tak niespodziewanie narodzi się w nim zupełnie inne, nie znane dotąd uczucie?

Sam przed sobą ukrywał fakt, że jest wprost urzeczony sposobem, w jaki Nadia wywiązała się ze swego zadania, najpierw wobec państwa Blanc, a następnie w domu lady Elizabeth i w Buckwood. Kiedy obserwował Nadię podczas uroczystości rodzinnej, przyszło mu na myśl, że w jej zachowaniu nie ma ani cienia sztuczności i że pozostając przez cały czas sobą, dziewczyna idealnie pasuje do roli, którą jej wyznaczył.

Poruszała się po olbrzymich komnatach Buckwood z pełnym godności wdziękiem, jak gdyby urodziła się tu i stale przebywała. Warren nieraz łapał się na tym, że przygląda się Nadii ukradkiem, zupełnie bezwiednie, i że sprawia mu to wielką przyjemność. Gdyby wtedy przyszło mu zastanawiać się nad tym, nigdy nie nazwałby swoich uczuć do Nadii miłością – tak różne były to doznania od tych, które czuł niegdyś do Magnolii.

Wtedy ogarniało go pragnienie zapierające dech w piersiach. Był przekonany, że tak właśnie objawia się miłość – jako wszechogarniający płomień tęsknoty ciała do ciała, ślepa, nieokiełznana żądza skierowana ku tej jednej wybranej osobie.

Zainteresowanie Warrena Nadią należało natomiast bardziej do sfery ducha niż ciała i jakkolwiek młody markiz dostrzegał i podziwiał jej

urodę, cenił również jej bystry umysł i żywą inteligencję. Ta dziewczyna zaskakiwała go na każdym kroku, wciąż będąc dla niego zagadką.

Warren bezustannie odczuwał płynącą z serca potrzebę opiekowania się Nadią i chronienia jej przed przewrotnością tego świata.

Westchnął z rozpaczą wyobraziwszy sobie, jaka musi być teraz przerażona i bezradna. Zapewne domyślała się, że w opuszczonej kopalni, w której ją uwięziono, nikt nie zdoła jej odnaleźć przez całe lata!

Warren znów powrócił myślami do Magnolii. Jakże straszną niszczycielską siłą władała ta kobieta, skoro w dość krótkim czasie udało jej się wprowadzić do cichego, spokojnego życia angielskiej prowincji grozę trucicielstwa i kidnapingu! Markiz wyrzucał sobie zbytnią lekkomyślność. Nie docenił tej diablicy. Nie przyszło mu na myśl, że doprowadzona do ostateczności może posunąć się do czynów tak szalonych i haniebnych.

W swym desperackim pragnieniu uzyskania za wszelką cenę tytułu markizy Magnolia sądziła, że uda jej się osiągnąć swój cel, zmuszając Warrena do wzięcia z nią ślubu. Gdy poczuła, że przegrywa, postawiła wszystko na jedną kartę, nie ukrywając, do jakich podłości może być zdolna.

- Skąd mogłem wiedzieć, że w tak pięknym ciele siedzi dusza diabła?  
- mruknął Warren do siebie.

Nagle przeszył go lodowaty dreszcz przerażenia. Uświadomił sobie bowiem, że Magnolia mogła posunąć się w swej nienawiści do Nadii tak daleko, iż nakazała wynajętym zbirom nie tylko porwanie dziewczyny. Cóż mogło powstrzymać tę bezwzględną kobietę przed wydaniem polecenia zabicia lub okaleczenia niewygodnej rywalki?

Warren nie był w stanie znieść tej myśli. Gdyby stracił Nadię, umarłoby dla niego wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Nic i nikt na świecie nie zdołałby już nigdy jej zastąpić.

Czując narastający wciąż niepokój jął ponaglać niecierpliwie konie, czego nie czynił nigdy dotąd. Starał się przypomnieć sobie, w którym miejscu powinien zjechać z traktu na znaną mu kamienistą drogę prowadzącą przez gęsty młodnik, potem przez zagajnik, aż do miejsca, gdzie

teren znacznie się obniżyć. Na dnie tego naturalnie powstałego wąwozu założono przed wielu laty kopalnię.

Warren pamiętał, że kiedy jeszcze był chłopcem, stryj mówił często, że stare, wyeksploatowane szyby nie przynoszą już dochodów i trzeba będzie je wreszcie zamknąć. Ludziom, którzy pracowali w kopalni, znalazł w końcu inną pracę. Obawiając się, że opuszczone szyby mogą stać się niebezpiecznym miejscem zabawy dla okolicznej dzieciarni, polecił założyć ciężkie drzwi na wejścia do wyrobisk i opieczetować je.

Warren dojechał do wyboistej drogi i ściągnąwszy nieco lejce postanowił nie narażać koni na tak zdradliwym gruncie. Po chwili znalazł się już w gęstym zagajniku, gdzie zdecydował, że dalej pójdzie pieszo.

Zeskoczywszy z kozła uwiązał lejce do drzewa i czym prędzej pobiegł w stronę wejścia do szybów. Jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że Nadia żyje, lecz uwięziona w wilgotnych czeluściach znajduje się w stanie krańcowego wyczerpania.

Wybiegłszy z zagajnika ujrzał na dnie wąwozu ukryte wśród gęstych krzewów wejście do kopalni. Było ono zasłonięte całkowicie przez ciężkie dębowe drzwi. Widząc zamek pod klamką Warren uświadomił sobie, że na pewno są zamknięte, i pożałował, że nie zażądał klucza od Magnolii. Bardziej prawdopodobne wydało mu się jednak, że bandyci, którzy porwali Nadię, cisnęli gdzieś klucz w trawę lub zabrali go ze sobą.

Markiz zbiegł po zboczach wąwozu, jak tylko mógł najszybciej. Dotarłszy do drzwi nasłuchiwał przez chwilę uważnie. Przez krótką, lecz przerażającą chwilę wydało mu się, że Magnolia oszukała go jednak i że Nadii tu nie znajdzie.

- Nadiu! Nadiu! - krzyknął ochryplym, nie swoim głosem przywierając twarzą do chropowatych desek.

Przez kilka sekund, które Warrenowi wydały się wiecznością, za drzwiami panowała cisza. Potem markiz usłyszał niewyraźny szmer i słaby, dobiegający gdzieś z dołu głos:

- Warrenie... czy to ty?

- Tak, jestem tutaj!

- Wiedziałam, że przyjdiesz po mnie... Modliłam się, żebyś mnie uratował...

- Zaraz cię uwolnię! - zakrzyknął. - Muszę tylko poszukać czegoś, czym mógłbym otworzyć te drzwi. Poczekaj!

Przyjrząwszy się zamkowi stwierdził, że wygląda na bardzo solidny i głęboko osadzony w dębowych belkach. Trudno byłoby wyłamać go bez użycia odpowiednich narzędzi.

Warren dokładnie obejrzał drzwi. Były wykonane w sposób bardzo prymitywny, prawdopodobnie przez miejscowego cieślę. Zamiast zawiasów miały dwa żelazne haki osadzone w wykutych w skale otworach. Aby je wyważyć, wystarczyłoby tylko unieść drzwi na dwa cale w górę.

Dziękując Bogu za tężyznę fizyczną, którą zawdzięczał pobytowi w Afryce, Warren wsunął dłonie pomiędzy dolną krawędź drzwi a skałę i z siłą, do której nie byłby zdolny jeszcze rok temu, szarpnął drewnianą konstrukcję do góry. Przez chwilę wydawało się, że zawiasy trzymają mocno, jednak zaraz potem drzwi zachwiały się i runęły z trzaskiem na ziemię. Wewnątrz stała Nadia mrużąc oczy od nagłego światła, które wtargnęło do jej więzienia.

Ujrząwszy Warrena, wyciągnęła ku niemu ramiona, a on pochwycił ją na ręce i wyniósł na zalaną światłem słonecznym polanę. Stanąwszy na trawie Nadia ukryła twarz na piersi Warrena i wybuchnęła długo powstrzymywanym płaczem.

- Tak... tak się bałam, że nie dowiesz się nigdy, gdzie jestem i... nie przyjedziesz po mnie - załkała. - Wołałam cię... przez cały czas, ale nie wiedziałam, czy mnie usłyszysz...

- Usłyszałem cię i odnalazłem - odpowiedział łagodnie Warren. - I przyrzekam ci, najdroższa, że nigdy już nie przydarzy ci się coś takiego!

Słyszac czule nazwanie, jakim ją obdarzył, Nadia uniosła na niego zdumiony wzrok. Jej wargi drżały, a z oczu wciąż płynęły łzy. Mimo to Warren stwierdził, że jego ukochana nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie jak teraz.

Powoli pochylił głowę ku jej twarzy i delikatnie dotknął jej warg swoimi. Nadia poczuła, że ziemia wiruje pod jej stopami. Oto w jednej chwili spełniło się wszystko, o czym nawet nie śmiała marzyć. Warren całował ją i było to najwspanialsze doznanie, jakiego kiedykolwiek doświadczyła w życiu!



Usta Nadii miękko poddały się pieśczołliwym dotknięciom warg Warrena. Dziewczyna poczuła, że drży, lecz już nie ze strachu, a z nie znanego jej dotąd uniesienia.

Warrenowi wydało się, że traci zmysły. Ten pocałunek był tak różny, tak dalece wspanialszy od wszystkiego, co zdarzyło mu się do tej pory! Chyba nigdy nie będzie miał dość siły, aby oderwać swe wargi od jej ust. Ostatnim przeblyskiem świadomości dotarło do niego, że Nadia jest na pewno krańcowo wyczerpana tym wszystkim, co przeszła.

- Moje najdroższe, jedyne kochanie, czy nic ci nie jest? - wyszeptał między pocałunkami. - Czy ci ludzie nie zrobili ci żadnej krzywdy?

- Och, Warrenie, jesteś tutaj! - powtarzała Nadia wciąż nie mogąc w to uwierzyć. - Tak się bałam, że nigdy mnie nie odnajdziesz!

- Odnalazłem cię. Żyjesz! Przysięgam ci, że już nigdy nic podobnego się nie wydarzy!

I całował ją długo, zachłannie, jak gdyby chciał upewnić się, że ona należy już tylko do niego i że nigdy jej nie utraci.

- Kocham cię! Kocham! - powtarzał bez końca.

Od chwili, w której to sobie uświadomił, wydawało mu się, że mógłby to mówić przez całą wieczność.

- Kocham cię ! - odpowiadała mu Nadia. - Kocham już od dawna. Nigdy jednak nie przypuszczałam... nie marzyłam o tym, że ty możesz mnie pokochać!

- Nigdy nie kochałem nikogo tak, jak ciebie! Jedynym celem mojego życia będzie odtąd chronić cię i strzec przed złem i ludzką nienawiścią. To, co się stało, nie powinno było mieć nigdy miejsca. Weźmiemy ślub jak najszybciej!

Ku swojemu zdumieniu Warren spostrzegł, że Nadia zamarła w jego ramionach i opuściwszy głowę ukryła szybkim ruchem twarz na jego piersi.

- Co się stało? - spytał zaskoczony. - Nie chcesz mnie poślubić? Dlaczego?

- Kocham cię z całego serca - odpowiedziała Nadia cicho. - Zawsze będę cię kochać. Nie istnieje dla mnie nikt inny na świecie poza tobą. Ale... nie mogę wyjść za ciebie.

- Dlaczego? - spytał chwytając ją silniej w ramiona.

Nie odpowiedziała, w milczeniu przytuliła się do jego ramienia.

- Musisz powierzyć mi swoją tajemnicę, najdroższa - powiedział Warren gorąco. - Przysięgam ci, że cokolwiek by to było, nic i nikt nie powstrzyma mnie przed uczynieniem cię moją żoną!

- Nie... nie! - szepnęła. - To... niemożliwe. To mogłoby ci tylko... zaszkodzić!

- Jedna rzecz rani mnie naprawdę - odparł Warren. - To, że nie kochasz mnie na tyle mocno, aby mi zaufać!

Poczuł, że Nadia drży, i ujrzał rozpacz w jej oczach.

- Dostyc już dzisiaj się nacierpiałaś - powiedział szybko. - Wróćmy do tej sprawy w domu. To miejsce nie jest zbyt odpowiednie do rozmów o naszej miłości!

- Każde miejsce, w którym mówisz mi... że mnie kochasz, jest najpiękniejsze na świecie! - uśmiechnęła się Nadia przez łzy. - Powiedz mi: czy ja śnię?

- To nie sen, najdroższa. Kocham cię tak, jak jeszcze nikt nikogo nie kochał - odparł Warren. - Chodźmy stąd! Nie chcę tu już być ani chwili dłużej!

Ująwszy Nadię za rękę, Warren pomógł jej wspiąć się na strome wzgórze, a potem przeprowadził bezpiecznie wśród cierni porastających zagajnik. Powóz czekał w miejscu, w którym Warren go pozostawił.

Kiedy mknęli już w stronę domu, Nadia rozglądała się wokoło radośnym wzrokiem. Straszny koszmar skończył się jak przerwany w połowie zły sen. Oto żyje i jest razem z Warrenem, a on wyznał jej swoją miłość!

Nadia wiedziała jednak, że nie wolno jej myśleć o szczęśliwej przyszłości. Kochając Warrena całym sercem nie miała prawa narażać jego życia lekkomyślnym postępowaniem. Ukochany nie mógł zostać uwikłany w jej kłopoty, które zaczęły się tak dawno i które jej matka przypłaciła życiem.

Muszę czym prędzej wyjechać i nie narażać go na niebezpieczeństwo!, mówiła sobie, ale już sama myśl o tym sprawiała jej nieznośny ból.

Wyprowadziwszy powóz na utarty trakt, Warren zmusił konie do szybszego biegu. Wiózł Nadię nie do domu swojej matki, lecz do Buc-

kwood. Rozmyślnie tak czynił, uważając, że właśnie tu powinni porozmawiać o przyszłości i podjąć decyzję o swoim wspólnym życiu.

Warren zatrzymał powóz tuż przed kamiennymi schodami domu i zeskoczywszy z kozła pomógł Nadii wysiąść. Delikatnie ją podtrzymując poprowadził ostrożnie przez obszerny hall do salonu, gdzie obydwójce usiedli na stojącej przy kominku sofie. Pokój pełen był kwiatów, a na szybach okien i w kryształowych świecznikach tańczyły promienie południowego słońca.

- Jak wiele przeszłaś dzisiaj, moja ukochana! - powiedział Warren, patrząc czule na Nadię. - Może chcesz się czegoś napić?

- Nie, nie chcę teraz nic. Pragnę tylko, żebyś był przy mnie i abym mogła uwierzyć, że ten koszmar naprawdę się już skończył!

Widząc, że Warren przygląda jej się badawczo, Nadia dodała:

- Muszę chyba strasznie wyglądać! Pewnie jestem brudna... przez długi czas miałam na głowie tę okropną derkę!

- Wyglądasz cudownie! - stwierdził Warren nie mogąc oderwać od niej wzroku. - Kochanie moje! Jakże jestem szczęśliwy, że cię znalazłem!

Nadia domyśliła się, że markiz mówi nie tylko o tym, co stało się dzisiaj, lecz także i o ich spotkaniu nad brzegiem Sekwany.

- Wydaje mi się... że przysporzyłam ci tylko mnóstwo kłopotów - szepnęła Nadia nieśmiało.

- Wszystko już szczęśliwie minęło! - odpowiedział Warren. - Chciałbym, żebyś zrozumiała, że najlepszy sposób, abyś wreszcie poczuła się bezpieczna, to jak najszybszy ślub. Wtedy Magnolia nie ośmieli się już nam przeszkodzić!

Trzymając dłoń Nadii Warren poczuł, że jej palce zaciskają się mocniej.

- O niczym nie marzę bardziej jak o tym, żeby być z tobą do końca życia - powiedziała dziewczyna cicho. - I właśnie dlatego, że cię kocham, nie mogę... narazić ciebie na śmiertelne niebezpieczeństwo.

- O czym ty właściwie mówisz? - spytał Warren.

Nadia zawahała się i opuściła głowę. Markiz domyślił się, że jego ukochana rozważa w duchu, czy wyjawić mu całą prawdę o sobie, czy zachować ją nadal w tajemnicy.

Nagle drzwi otworzyły się i do salonu wszedł Greyshott.

– Słyszałem, że pan wrócił, milordzie – powiedział skłoniwszy się Nadii. – Pomyślałem sobie, że chętnie zapozna się pan z najnowszymi wiadomościami ze świata. Właśnie dostarczono świeżą prasę!

Przeszedłszy przez salon sekretarz położył trzymane w ręku gazety na małym stoliczku przed kominkiem.

– Proszę sobie wyobrazić – mówił dalej – że car rosyjski Aleksander III zachorował ciężko na puchlinę wodną i jest bliski śmierci! Pamięta pan, milordzie, jak lord Artur był w roku 1882 na jego koronacji w Petersburgu?

– Tak, oczywiście, pamiętam! – odpowiedział Warren z roztargnieniem.

Nie był w stanie skupić w tej chwili myśli na niczym poza Nadią. Jakież więc było jego zdziwienie, gdy nagle usłyszał, jak dziewczyna pyta pełnym napięcia głosem:

– I naprawdę on... może niebawem umrzeć?

– Tak donoszą dzisiejsze gazety! – odparł Greyshott. – W „Morning Post” przeczytałem nawet, że lekarze stracili już wszelką nadzieję!

Przerwał patrząc z zaskoczeniem na Nadię, która nagłym ruchem ukryła twarz w drżących dłoniach. Widząc, że ukochana z trudem panuje nad sobą, Warren rzucił Greyshottowi szybkie spojrzenie. Jak zwykle pełen taktu, sekretarz wyszedł z salonu zamykając za sobą cicho drzwi.

Warren przysunął się bliżej do Nadii biorąc ją delikatnie w ramiona.

– Domyślałam się, że usłyszałaś przed chwilą coś bardzo ważnego dla siebie, najdroższa – powiedział cicho.

– Tak... to znaczy... jeśli car umrze... jestem uratowana! – szepnęła Nadia drżącym głosem. – Och, gdyby tylko mama żyła!

Warren przytulił ją do siebie nagłym, opiekuńczym ruchem.

– Wytłumacz mi to, kochanie – poprosił. – Wiem, że zamierzałaś i tak to uczynić, zanim wszedł tu Greyshott.

– Chcę, żebyś wiedział o wszystkim! – powiedziała Nadia. – Strasznie się czułam, gdy musiałam strzec przed tobą mojej tajemnicy!

– Uwolnijmy się więc od niej obydwójce!

Nadia spojrzała na ukochanego z ufnością i Warren spostrzegł, że pomimo płynących z oczu łez jej twarz poweselała. Pomyślał, że to nie tylko miłość dokonała tej niezwykłej przemiany w jej rysach. Straszliwe brzemie niepewności, co może przynieść jutrzejszy dzień, z którym musiała żyć przez ostatnie lata, nareszcie opadło z jej ramion.

Nadia odetchnęła głęboko i zaczęła mówić:

- Naprawdę nazywam się Nadia Korczanow. Moim ojcem był książę Iwan Korczanow.

- A więc jesteś Rosjanką! - wykrzyknął Warren.

- Tak, w połowie Rosjanką - sprostowała Nadia. - Podejrzewałeś przecież, że... nie jestem rodowitą Angielką.

- Byłem tego pewien - odparł Warren. - Opowiadaj jednak dalej swoją historię.

- Moja mama była córką brytyjskiego ambasadora przebywającego w Petersburgu. Poznali się z tatą na balu w ambasadzie i zakochali w sobie od pierwszego wejrzenia.

Mówiąc to Nadia spojrzała na Warrena z czułością, jakby chcąc dać mu do zrozumienia, że w tym punkcie ich losy przypominają historię jej rodziców.

- Aby się pobrać, musieli uzyskać pozwolenie od samego cara Aleksandra II, ponieważ mój tata spokrewniony był z rodziną cesarską - mówiła dalej. - Car bardzo niechętnie odniósł się do tych planów. W końcu zgodził się pod warunkiem, że po ślubie książę i księżna Korczanow zamieszkają w odległym majątku ziemskim mojego ojca, tuż przy granicy z cesarstwem austrowęgierskim.

Nadia zamyśliła się na chwilę, po czym podjęła dalej swoją opowieść:

- Tak się też stało. Byli bardzo, bardzo szczęśliwi i nigdy nie zdarzyło się im żałować, że zamienili rozrywki i intrygi dworskie na spokojne, ciche życie na prowincji.

- Czy to właśnie tam nauczyłaś się tak wspaniale jeździć konno? - spytał Warren.

- Dosiadałam koni również na Węgrzech - odpowiedziała Nadia z uśmiechem. - Ale to było tak dawno...

- Opowiadaj dalej, najdroższa.

- Byliśmy najszcześliwszą rodziną, jaką tylko można sobie wyobrazić. Pewnego dnia doszła jednak do nas wieść, że car Aleksander II został zamordowany. To był wielki cios dla mojego ojca, zwłaszcza że następcą tronu zaczął swoje rządy od poddania krytyce wszystkich reform, które zaczął wprowadzać w Rosji poprzedni władca. Warren zaczął słuchać ze wzmożoną uwagą.

- Pierwszym posunięciem Aleksandra III było obalenie nie zatwierdzonej jeszcze ustawy o wprowadzeniu pewnych form rządów przedstawicielskich w Rosji. Idea ta była szczególnie bliska sercu mojego ojca, który zawsze marzył o położeniu kresu okrucieństwom dokonywanym w Rosji od stuleci na tle sporów narodowościowych. Wkrótce stało się jasne, że Aleksander III dąży do przywrócenia dawnych porządków. - Nadia zniżyła głos i bardzo cicho dodała: - Najgorsze było to... że nowy imperator postanowił zniszczyć cały zamieszkujący na terenach Rosji naród żydowski...

Warren słyszał o tym i wiedział, że decyzje rosyjskiego władcy nie spotkały się z aprobatą w Anglii.

- Car wydał dekret, na którego mocy jedna trzecia Żydów miała ulec zagładzie, jedna trzecia całkowitej rusyfikacji, a reszta opuścić Rosję. - Nadia westchnęła głęboko i wyjaśniła: - Rozumiesz chyba, że do naszego położonego przy samej granicy majątku wkrótce zaczęli masowo napływać ci nieszczęśni ludzie, skuci łańcuchami i poganiani biczami przez konwojujących ich Kozaków. Widząc ich nędzę i skrajne wyczerpanie moja mama płakała po nocach. Ojciec starał się im pomagać, jak tylko mógł. Wszystkim ludziom z naszego majątku przykazano, aby korzystając z nieuwagi Kozaków dostarczali konwojowanym jedzenie, a nawet wspomagali pieniądze.

- I jak to się skończyło? - spytał Warren.

- Pewnej nocy przybył do nas jeden z przyjaciół ojca z Petersburga. Był to Żyd, bardzo zdolny i sławny chirurg, który operował kiedyś zarówno tatę, jak i wielu jego znajomych. Przyjechał prosić ojca o pomoc. Doniesiono mu bowiem, że wkrótce ma zostać aresztowany i poddany śledztwu. - Nadia spuściła głowę i szepnęła: - Wiadomo było, że oznacza to tortury i śmierć w straszliwych męczarniach.

- I twój ojciec uratował go?

- Tak, pod osłoną nocy przeprowadził swego przyjaciela wraz z żoną na austrowęgierską stronę. Dał mu też pewną sumę, która wystarczyła na rozpoczęcie nowego życia w zachodniej Europie. - Rozłożywszy w bezradnym geście dłonie, Nadia mówiła dalej: - Oczywiście znalazł się ktoś usłużny, kto doniósł o tym carowi. Aleksander III wpadł we wściekłość, że jednej z tak znanych żydowskich osobistości udało się zbiec. Jego gniew obrócił się przeciwko temu, kto dopomógł w ucieczce.

Warren pokiwał głową. Powoli stawało się jasne, jaki był koniec całej historii.

- Na dworze w Petersburgu przebywał także carewicz Mikołaj, który zawsze bardzo szanował mojego ojca - ciągnęła Nadia. - To bardzo dobrze wychowany młody człowiek o wrażliwym charakterze i niestety dość słabym zdrowiu. Zebrał w sobie jednak dość odwagi, aby przysłać do nas jednego ze swych zaufanych służących z ostrzeżeniem, że ojcu grozi niebezpieczeństwo.

- Istotnie, to było bardzo śmiałe posunięcie! - stwierdził Warren.

- Tak jest, zważywszy że Mikołaj żył zawsze w cieniu i pod całkowitą władzą swego ojca. W kilka godzin po otrzymaniu ostrzeżenia ojciec przeprowadził mamę wraz ze mną przez granicę. Wiedział, że jego aresztowanie jest kwestią najbliższych dni lub nawet godzin.

- Nie opuścił Rosji razem z wami?

- Błagałyśmy go o to obie, ale był nieugięty w swym postanowieniu. Mówił: „Nie będę uciekał z własnego kraju jak jakiś pospolity przestępca. Nie wierzę, żeby car skazał mnie na śmierć za przysługę, którą wyświadczyłem jednemu z moich przyjaciół!”

- Ale jednak zginął?

- Został zamordowany. Nie wiedziałyśmy nic o tym do momentu, kiedy car zażądał naszego natychmiastowego powrotu. Miałyśmy obie stanąć przed sądem pod zarzutem udzielania pomocy wrogom Rosji.

- A więc dlatego musiałyście się ukrywać!

- Nie było innego wyjścia, jeśli nie chciałyśmy podzielić losu ojca.

Głos Nadii załamał się nagle i Warren przytulił ukochaną mocniej do siebie.

- Jeśli czujesz się już zmęczona, dokończysz swoją opowieść kiedy indziej – szepnęła.

- Nie, nie! – Nadia energicznie pokręciła głową. – Chcę opowiedzieć ci wszystko teraz... zanim stanie się wspomnieniem zbyt strasznym, aby do niego powracać!

Warren pocałował Nadię w czoło podziwiając jej zdecydowanie i rozsądek.

- Wszystko, co działo się potem, przypominało zły sen – mówiła Nadia. – Przez pewien czas mieszkaliśmy u naszych węgierskich przyjaciół. Wkrótce jednak stało się jasne, że nie mamy prawa narażać tych poczciwych ludzi na kłopoty. Postanowiłyśmy, że najlepiej będzie pojechać do Francji, a następnie do Anglii, gdzie mieszkali krewni mojej mamy.

- To był dobry pomysł.

- Też tak myślałyśmy – odpowiedziała Nadia. – Niestety, bardzo szybko okazało się, że tajna carska policja nigdy nie daje za wygraną. Tajni agenci wytrwale podążali naszym śladem tak, że kiedy przekraczałyśmy francuską granicę, byli niemal tuż za naszymi plecami.

Nadia załkała kryjąc twarz w dłoniach. Po chwili jednak uniosła głowę, aby opowiadać dalej:

- Nie pamiętam dokładnie wszystkich szczegółów ale... to było straszne! Wiedząc, że agenci węszą za nami wszędzie, nie chciałyśmy narażać oddanych nam osób. Mogłyśmy zatrzymywać się u naszych przyjaciół na bardzo krótko. W ten sposób udało nam się przedostać do Francji, jednakże pieniądze, które miałyśmy ze sobą, topniały w przerażającym tempie. Mama zaczęła sprzedawać zabraną z domu biżuterię. Okazało się jednak, że w ten sposób zostawiamy za sobą aż nadto wyraźne ślady, i musiałyśmy przyspieszyć naszą ucieczkę.

- Domyślam się, że dotarliście do Paryża nie mając już prawie nic – powiedział Warren.

- Pozostało nam trochę ubrań i niewielka suma pieniędzy, za którą zdołałyśmy jeszcze wynająć pokój na poddaszu. Mama, która już od dłuższego czasu nie czuła się zbyt dobrze, ciężko zachorowała. – Rozłożywszy bezradnie dłonie, Nadia dodała: – Resztę historii już znasz. Mama



umarła, a ja zostałam sama bez środków do życia, bez mieszkania... Nie dziwisz się chyba, że także zapragnęłam umrzeć...

- Do końca życia będę dziękował Bogu, że zdołałem cię od tego odwieść! - wykrzyknął Warren. - Moja najdroższa! Wszystko, co złe, już się skończyło. Następca tronu Mikołaj jest twoim przyjacielem i objęcie przez niego władzy położy kres wszelkim prześladowaniom.

- Naprawdę myślisz, że nic mi już nie grozi?

- Będiesz bezpieczna, gdy zostaniesz moją żoną! - odpowiedział Warren. - Musimy wziąć ślub jak najszybciej nie czekając na śmierć starego cara! Na razie będziesz nadal występowała pod przybranym nazwiskiem!

Czule pocałował Nadie w policzek, po czym dodał:

- Chciałbym tylko, aby moja matka poznała prawdę o tobie przed naszym ślubem. Później, gdy będzie już całkiem bezpiecznie, opowiemy twoją historię reszcie rodziny i wszyscy będą mogli przekonać się o tym, jak odważną mam żonę!

- Moja... próba samobójstwa nie była chyba szczególnym aktem odwagi - szepnęła Nadia.

- Ale była nim niewątpliwie twoja decyzja o przyjeździe tutaj i odegraniu roli, którą ci powierzyłem!

Nadia podniosła na Warrena rozjaśniony wzrok.

- Uwielbiam cię, moja mała, śliczna rosyjska księżniczko! - powiedział Warren tuląc ją do serca. - Wszystkie twoje zgryzoty i lęki odchodzą bezpowrotnie w przeszłość! Czekają ci teraz wiele lat spokojnego życia w pewnej posiadłości w Anglii. Być może nawet kiedyś uznasz tę odmianę za nieco nudną! - dodał przekornie.

Nadia zarzuciła mu ręce na szyję i tuląc się do jego piersi szepnęła:

- Czy naprawdę wolno mi o tym marzyć? Wszystko, o czym mówisz, brzmi tak cudownie! Czasami boję się, że to tylko sen!

- Jeśli to sen, wkrótce stanie się jawą! - oświadczył Warren. - Zapewniam cię, najmilsza, że jako markiza Wood nie będziesz już musiała obawiać się ani tajnej policji carskiej, ani... oszalałych z zazdrości kobiet!

- Jak to możliwe, że jesteś tego tak bardzo pewien?

W odpowiedzi Warren roześmiał się beztrąsko. Wiedział, że udało mu się tym razem przestraszyć Magnolię nie na żarty i że ta kobieta będzie się starała trzymać od niego z daleka aż do końca życia. Najbardziej ze wszystkiego na świecie obawiała się oszpeceń. Nigdy nie będzie pewna, czy Warren zrezygnował ze spełnienia swojej groźby.

– Wierz mi, ukochana – powiedział. – Panna Keane nie zakłóci już więcej naszego szczęścia.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Przypomniał sobie dyspensę kościelną, którą udało się uzyskać Magnolii, gdy chciała go zmusić do jak najszybszego małżeństwa.

Warren wiedział, że arcybiskup Canterbury był bliskim przyjacielem stryja Artura. Tak się złożyło, że ten dostojnik kościelny przebywał w tych dniach w Londynie, gdzie miał uczestniczyć w uroczystościach żałobnych z okazji śmierci jednego ze znanych polityków. Młody markiz postanowił napisać czym prędzej do arcybiskupa z prośbą o wydanie identycznej dyspensy na natychmiastowy ślub z Nadia.

Miał nadzieję, że skoro tylko arcybiskup przychyli się do jego prośby, będą mogli wziąć cichy ślub w miejscowej kaplicy, z lady Elizabeth jako jedynym świadkiem. Później ogłoszą oficjalnie o swoim małżeństwie, jako przyczynę cichej ceremonii podając żałobę Nadii. Wtedy też zorganizują wielkie przyjęcie dla całej rodziny, tak jak obiecał to Warren swoim krewnym.

Młody markiz postanowił nie tracić czasu. Przysiągł sobie, że uczyni wszystko, aby od tej chwili Nadia nigdy już nie musiała się niczego lękać.

– Pozostaw mi troskę o naszą przyszłość, najdroższa – powiedział całując ją czule. – Poradzę sobie ze wszystkim, co stoi nam na drodze do szczęścia. Tobie zaś przykazuję jedynie kochać mnie z całego serca!

– Kocham cię całą swoją duszą! – zapewniła go Nadia. – Ale... czy to... aby na pewno rozważne z twojej strony, że chcesz się ze mną ożenić? Czy... twoi przyjaciele i krewni nie będą mieli pretensji do ciebie, że pojąłeś za żonę cudzoziemkę... i do tego poszukiwaną przez tajną policję carską?

– Na całym świecie istnieje tylko jedna rzecz, której się obawiam: to, że mógłbym cię stracić! – odparł Warren. – Chciałbym, abyś przestała już

myśleć o wszystkich kłopotach, których doznałaś po ucieczce z Rosji. Pamiętaj, że twoja matka była Angielką! – Przytuliwszy czule swój policzek do czoła ukochanej markiz mówił dalej: – Niezwłocznie odnajdziemy twoich angielskich krewnych. Dzięki nim zrozumiesz, że jesteś tu u siebie. Twój dom jest teraz w Anglii, ukochana, i tak będzie już zawsze: dla ciebie, dla mnie i dla naszych dzieci!

– Tak bardzo tego pragnę! – wykrzyknęła Nadia z głębi serca. – Nadal jednak trudno mi uwierzyć, że po tym, co wycierpiałam, mogę mieć znowu... swój dom.

– Uczynię wszystko, abyś uwierzyła w to jak najprędzej – przyrzekł Warren. – Och, najdroższa moja! Przysięgam, że nigdy już nic nie zamąci twojego szczęścia!

Tuląc Nadię w ramionach całował ją tak długo, aż obydwójgu wydało się, że wszystko wokół wiruje w zawrotnym tempie. Kiedy uniósł głowę, ostatnie promienie popołudniowego słońca wdarły się do salonu. Zza otwartych okien dobiegał radosny świergot ptaków.

– Kocham cię! – szepnął Warren zanurzając twarz we włosach Nadii.

– Wydawało mi się, że mówiłeś nie tak dawno, iż zamierzasz ożenić się z rozsądku – stwierdziła Nadia uśmiechając się przekornie.

– Zamierzam się ożenić, ponieważ cię kocham i pragnę. Nigdy dotąd nie przypuszczałem, że istnieją podobne uczucia.

– A... teraz?

– Teraz jestem... bardzo szczęśliwy, bardzo zakochany i bardzo mocno... o czymś przekonany!

– O czym?

– Myślę, że udało mi się odnaleźć prawdziwy, bezcenny skarb, o który muszę dbać i ochraniać go do końca moich dni!

– Czy ten skarb... to ja?

– Tak, moja śliczna!

Warren podniósł się z sofy i pomógł wstać Nadii.

– Chodźmy do mojej matki – powiedział. – Na razie tylko jej wyznamy całą prawdę o nas. Później muszę napisać list do arcybiskupa. Mam nadzieję, że najpóźniej pojutrze będziesz już moją żoną!

Uśmiechnął się z łobuzerskim błyskiem w oku i dodał:

- Po ślubie ogłoszę oficjalnie, że wyjeżdżam na inspekcję wszystkich odziedziczonych przeze mnie posiadłości. A naprawdę udamy się w podróż poślubną. Nareszcie sami!

Nadia westchnęła głęboko.

- To brzmi cudownie - szepnęła.

- Najpierw pojedziemy do Devonshire, gdzie mam bardzo miły i ślicznie położony domek. Nikt nam nie będzie tam przeszkadzał. Potem zabiorę cię do Leicestershire, żeby ci pokazać...

- Poczekaj, najdroższy, nie tak szybko! - uśmiechnęła się Nadia. - I tak wszystkiego nie zapamiętam. Musimy najpierw dobrze rozważyć nasze plany!

- Tu nie ma nic do rozważania! - oświadczył Warren. - Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie i tylko to liczy się w tej chwili. Jesteśmy wreszcie razem, a ja nie zamierzam już nigdy stracić cię z oczu!

Mówiąc to otoczył Nadię mocno ramionami i przytulił do piersi. Wiedziała, że ukochany myśli teraz o tych strasznych chwilach, gdy omal nie została otruta przez Magnolię i kiedy porwano ją i uwięziono w starej kopalni. Jej zaś stanął przed oczyma pewien wieczór nad Sekwaną. Tak niewiele brakowało, aby spełniła wtedy swoje desperackie zamiary...

- Trzy razy zostałam uratowana od śmierci - szepnęła. - I teraz... należę tylko do ciebie!

- Wkrótce obydwójce będziemy tego pewni! - uśmiechnął się Warren. - Nigdy nie przypuszczałem, że otrzymam od losu tak wspaniały podarunek!

Tyle było czułości w jego słowach, że Nadia uniosła twarz ku niemu pragnąc, aby pocałował ją znowu.

- Będę cię kochał, uwielbiał i szanował. I tak będzie już zawsze - szepnął Warren zbliżając swe usta do jej warg.

- Nie pragnę niczego więcej - odpowiedziała Nadia. - Moja miłość do ciebie będzie trwała, dopóki gwiazdy świecą na niebie!

I kiedy Warren pochyliwszy się pocałował ją gorąco i delikatnie zarazem, Nadia pomyślała, że nie pomylił się mówiąc, iż odnalazła znowu swój własny dom.